

William Faulkner

Intruz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szeryf z Lucasem Beauchamp zajechał przed więzienie w samo południe w niedzielę, choć już od sobotniego wieczora wszyscy w mieście (a prawdę mówiąc i w całym okręgu) wiedzieli, że Lucas zabił białego.

On już tam czekał. Przyszedł pierwszy i, udając że coś go tu sprowadza, bodaj przypadek, kręcił się w pobliżu i wystawał pod szopą przed zamkniętą kuźnią naprzeciwko więzienia, gdzie mniej było prawdopodobne, że wuj go zobaczy, jeśli, a*właściwie kiedy będzie szedł przez rynek na pocztę po listy, które przyszły o jedenastej. Gdyż i on znał Lucasa Beauchamp, to znaczy nie gorzej niż inni biali. Może nawet lepiej, wyjąwszy Carothersa Edmondsa (na którego ziemi, siedemnaście mil za miastem, Lucas mieszkał), bo on zjadł kiedyś obiad u Lucasa. Było to na początku zimy, cztery lata temu; miał wtedy ledwie dwanaście lat; Edmonds, przyjaciel jego wuja z czasów, kiedy obaj studiowali na uniwersytecie stanowym, gdzie wuj po powrocie z Harvardu i Heidelbergu starał się poduczyć prawa, żeby móc kandydować ■ na prokuratora okręgowego,

przyjechał dzień przedtem do miasta zobaczyć się z wujem w jakiejś urzędowej sprawie i został na noc.

— Zabieraj się ze mną jutro rano, pójdziesz na króliki — powiedział do niego wieczorem przy kolacji, po czym zwrócił się do matki: — Odeślę go jutro po południu. Nie puszczę go samego ze strzelbą, dam mu chłopaka. — I znów do niego: — Ten chłopak ma dobrego psa.

— On ma swojego chłopaka — wtrącił wuj, a Edmonds zapytał:

— Może jego chłopak też potrafi tropić króliki?

Na co wuj powiedział:

Możemy ci obiecać, że nie wejdzie w paradę twojemu.

Więc na drugi dzień rano on i Aleck Sander zabrali się z Edmondsem. Ranek był zimny, bo chwycił pierwszy mróz tego roku, żywopłoty stały sztywne od szronu, martwą wodę w przydrożnych rowach melioracyjnych powłókł cienki lód, a nawet Strumień Dziewiątej Mili przy brzegach skrzył się i migotał krucho jak cienkie szkło i z podwórza pierwszej farmy, jaką minęli, a potem z następnej i następnej, i następnej ciągnęła przez nieruchome powietrze woń drzewnego dymu i widać było na podwórkach parujące już żelazną gary, i kobiety w letnich jeszcze kapturkach albo w starych, piłśniowych, męskich kapeluszach i długich męskich paltach podkładające pod te gary drzewo, i mężczyzn w garncarskich fartuchach włożonych na kombinezony i przepa-

sanych drutem, ostrzących noże i kręcących się już koło chlewów, w których chrząkały i kwiczały wieprze nie tyle spłoszone czy zaniepokojone, ile czujne, jak gdyby przeczuwające z góry, choć niejasno, swoje tłuste i z samej natury wieprza wynikające przeznaczenie, gdyż nim zmrok zapadnie, zawisnąć miał[^] w całej okolicy ich upiorne, choć nie rozćwiartowane, bladeżółte jak lój, wypatroszone cielska, przychwyczone za tylne racice w pełni wściekłego biegu, niby strzały wymierzone z łuku prosto ku środkowi ziemi.

I nie wiedział, jak to się stało. Tamten chłopak, syn jednego z dzierżawców Edmondsa, starszy i wyższy niż Aleck Sander — z kolei wyższy od niego, choć byli rówieśnikami — czekał w domu z psem: był to prawdziwy pies do polowania na króliki, trochę miał w sobie z psa myśliwskiego, może i sporo, a może nawet najwięcej z psa myśliwskiego, mieszaniec, podpalany, prawdopodobnie gdzieś kiedyś spokrewniony z wyżłem, wy lizy wacz garnków, kundel, na którego dość było raz spojrzeć, żeby dostrzec pewne jego powinowactwo, jakby wspólnotę z królikami, niby powinowactwo, które, jak mówią, istnieje między Murzynem a mułem, a Aleck Sander przywiózł swoją maczugę — nasadzoną na krótki kij od szczotki nakrętkę do łączenia szyn kolejowych, którą potrafił ciskać, rozwirowaną jak śmigło, w pędzącego królika prawie tak celnie, jak on strzelał ze swojej strzelby — i chłopak Edmondsa też z maczugą, a on ze strzelbą przeszli przez park i pastwisko do strumienia, nad którym w miejscu znanym chłopaka-

ISiffilP

kowi Edmonsa była kładka, i nie wiedział, jak to się stało — można by się czegoś takiego spodziewać po dziewczynie i jej jednej można by to wybaczyć — ale kiedy znalazł się w połowie kładki nawet o tym nie myśląc, jako że potrafił spacerować po najwyższej desce płotu i to dwa razy dłuższej niż ta kładka, nagle ujrzał, że zwyczajna, znajoma, słoneczna, zimowa ziemia wywraca koziołka i spada mu płasko na twarz, a on nie puszczać z ręki strzelby pędzi nie od ziemi, ale gdzieś od jasnego nieba, i dotąd pamiętał kruchy, cienki brzęk załamującego się lodu, i to, że nawet nie poczuł uderzenia wody, tylko dopiero uderzenie powietrza, kiedy już wydostał się na powierzchnię. Upuścił w dodatku strzelbę i musiał drugi raz dać za nią nurka, znów się po nią zanurzyć, wrócić z lodowatego powietrza pod wodę na razie nijaką, ani zimną, ani niezimną, w której nawet nasiąknięte ubranie |§| wysokie buty, ciepłe spodnie, sweter i kurtka myśliwska — nie było ciężkie, najwyżej niewygodne, potem wyłowił strzelbę i znów starał się zgruntować, i wreszcie, zagarniając wodę jedną ręką, dopłynął do brzegu, czepiając się gałęzi wierzby uniósł się w wodzie i podniósł strzelbę, którą ktoś od niego wziął; pewno chłopak Edmonsa, bo Aleck Sander w tej samej chwili walnął go końcem długiego drąga, niemal kłody i pierwsze uderzenie zbiło go z nóg, zanurzyło znów głową pod wodę i o mały włos byłoby mu wyrwało z ręki gałąź wierzby, gdyby jakiś głos nie powiedział: — Weź mu z drogi ten drąg, żeby mógł wy-
leżeć — sam głos, nie dlatego, że nie mógł to być nikt inny jak Aleck Sander albo chłopak Edmonsa, ale dlatego, że nieważne było, czyj to głos; chwytając oburącz wiklinę gramolił się teraz na brzeg, cienki lód dzwoniąc pękał i kruszył, mu się na piersi, ubranie było niby miękkie i zimny ołów, a on jakby się w tym ubraniu nie poruszał, ale w nie włożył niczym w nieprzemakalną płachtę czy żaglowe płótno, i piał się wyżej, aż ujrzał dwie stopy w gumowych butach, nie należące ani do chłopaka Edmonsa, ani do Alecka Sandera, a potem nogi i wyżej kombinezon; wygramolił się na brzeg, stanął i zobaczył dorosłego mężczyznę, Murzyna, z siekierą na ramieniu, w ciepłym, podszytym kożuchem palcie i w wypłowiałym, filcowym kapeluszu z szerokim rondem, takim, jaki nosił jego dziadek, i wtedy to właśnie, o ile pamiętał, pierwszy raz zobaczył Lucasa Beauchamp, a właściwie na pewno pierwszy raz, bo Lucasa Beauchamp się nie zapominało. Spazmatycznie łapiąc oddech, trzęsąc się i dopiero teraz czując uderzenie zimnej wody, spojrzał w górę na tę twarz, która po prostu na niego patrzyła bez żadnej litości, współczucia czy czegoś w tym rodzaju, nawet bez zdziwienia — po prostu patrzyła na niego i jej właściciel nie kiwnął palcem, żeby mu pomóc wydostać się ze strumienia, a jeszcze kazał Aleckowi Sanderowi odsunąć się z tym drągiem, jedynym ofiarowanym przez kogokolwiek środkiem pomocy — twarz, którą oszacował poniżej pięćdziesięciu a nawet czterdziestu lat, jeśli nie brało się pod uwagę kapelusza, oczu

i tego, że była pokryta murzyńską skórą, bo nie było w niej nic poza tym nawet dla dwunastoletniego chłopaka dygocącego z zimna i wciąż jeszcze zdyszanego po wstrząsie i od wysiłku, a to, co wyglądało z tej twarzy, w ogóle nie miało żadnego pigmentu ani nawet Jtraku pigmentu, jak u białego człowieka, nie było wyzywające ani pogardliwe, po prostu stanowcze i spokojne. A potem chłopak Edmondsa powiedział coś do tego człowieka używając jego imienia: "pan Lucas", więc się domyślił, kto to jest, i przypomniał sobie zaraz resz- tę jego historii, która była częścią, fragmentem kroniki okręgu, przez nikogo chyba nie znanej tak dobrze, jak przez wuja: że ten człowiek to syn jednego z niewolników starego Carothersa Mc- Caslina, pradziada Edmondsa, właściwie nie tylko niewolnika starego Carothersa, ale i jego syna. Nie przestając się trząść, stał, jak mu się wydawało, jeszcze całą minutę, a tamten patrzył na niego bez wyrazu, po czym, odwrócił się i już idąc powiedział nawet nie przez ramię, nawet się nie oglądając, żeby zobaczyć, czy słyszą i czy w ogóle mają zamiar go usłuchać:

P=r Chodźcie do mnie do domu.

— Wrócę do pana Edmondsa — odparł.

Tamten nie obejrzał się. Nawet nie odpowiedział.

— Bierz jego strzelbę, Joe — polecił.

Więc poszli za nim, on, chłopak Edmondsa i Aleck Sander, gęsiego, kierując się z biegiem strumienia do mostu i na drogę. Wkrótce przestał się trząść, było mu teraz tylko zimno i mokro,

a pomału i to by minęło, gdyby tylko nadal pozostawał w ruchu. Przeszli przez most. Przed nimi była teraz brama, od której przez park prowadziła aleja wjazdowa do domu Edmondsa. Prawie mila. Pewno dosyć, żeby się po drodze rozgrzać i wyschnąć, a wciąż był przekonany, że skręci w tę bramę, i nawet kiedy już wiedział, że nie skręci — a wreszcie, że nie skręcił i już ją minął — jeszcze sobie powtarzał, że nie skręcił dlatego, że chociaż Edmonds jest starym kawalerem i w jego domu nie ma kobiet, sam Edmonds może mu już więcej nie pozwolić wyjść z domu,, póki nie będzie mógł odesłać go do matki. Wciąż to sobie powtarzał, nawet już znając prawdziwą przyczynę: że posłuchał tego człowieka idącego przed nim zamaszystym krokiem, bo równie trudno przyszłoby mu sobie wyobrazić jakikolwiek sprzeciw wobec jego woli, jak wobec woli dziadka, nie ze strachu, nawet nie z obawy przed karą, ale dlatego że do świadomości tego człowieka, podobnie jak do świadomości dziadka — po prostu nie dotarłby fakt, że jakieś dziecko może mu się sprzeciwić.

A więc nawet nie zauważył, kiedy minęli bramę, i nawet na nią nie spojrzął, a szli już dalej, nie jakąś często używaną, dobrze utrzymaną i poznaczoną śladami stóp drogą, prowadzącą do pomieszczeń dzierżawców czy służby, ale dzikim wąwozem, na poły łożyskiem potoku, na poły dróżką wspinającą się na wzgórze, odludną, błędną i trudno dostępną, a potem zobaczył dom, właściwie chatę, i przypomniał sobie do końca tę

historie, tę legendę, że ojciec Edmondsa zapisał w wieczyste posiadanie swojemu murzyńskiemu bratu i jego dzieciom dom i dziesięć akrów gruntu, na którym ten dom stał — czworokąt ziemi na zawsze uwięziony pośrodku plantacji liczącej dwa tysiące akrów, jak pocztowy znaczek pośrodku koperty — nie malowany drewniany dom, nie malowany płot z kołków, z nie malowaną furtką bez skobla, którą teraz ten człowiek pchnął kolanem i otworzył, po czym nie zatrzymując się, bez jednego spojrzenia za siebie, wkroczył na podwórko. Za Lucasem wszedł on, a za nim Aleck Sander i chłopak Edmondsa. Na podwórku prawdopodobnie nawet w lecie nie było trawy. Jakby je widział: zupełnie nagie, najmniejszego zielska ani nawet kielka jakiegokolwiek roślinności i co dzień rano zamiatane przez kobiety z rodziny Lucasa miotłą związaną z wierzbowych różeg w splątany rysunek spirali i nakładających się na siebie pętli, wzór, który z biegiem dnia powoli i stopniowo zacierały kurze kupki i tajemnicze pismo trójpakowych kurzych śladów—niby miniaturowy rezerwat gdzieś z czasu olbrzymich jaszczurów (kiedy widział to we wspomnieniu teraz, już jako chłopiec szesnastoletni). Wszyscy czterej szli czymś, co za całą nawierzchnię mając ziemie właściwie nie było dróżką, będąc jednak czymś więcej niż ścieżką — wydeptanym wąskim szlakiem biegnącym prosto jak pion murarski pomiędzy dwoma rzędami blaszanych puszek, pustych butelek, sterczących z gołej ziemi porcelanowych skorup i poduczonych glinianych naczyń, rzędami ciągnącymi się aż do nie malowanych schodków i nie malowanego ganku, na którego skraju też stały naczynia, ale większe: puste galonowe wiadra, które kiedyś zawierały melasę albo farbę? stare konwie po wodzie i mleku, jedna ścięta od góry pięciogalonna bańka po nafcie i połowa czegoś, co było kiedyś zbiornikiem na gorącą wodę w czyjejś kuchni (bez wątpienia kuchni Edmondsa, a potem zostało rozkrojone wzdłuż jak banan. W zeszłym roku w lecie ze wszystkich tych skorup musiały wyrastać kwiaty, a teraz wychylały się i zwisały uschnięte badyle i mizerne gałązki; dalej był sam dom, szary, wydany na wszelkie niepogody i nie tyle nie malowany, co wolny od farby i nie przyjmujący farby, będący nie tylko jedynym możliwym dopełnieniem owej ponurej, zapuszczonej drogi, ale jej ukoronowaniem, jak głowice rzeźbione w liście akantu są ukoronowaniem greckich kolumn. Ale ten człowiek jeszcze i teraz się nie zatrzymał, wspiął się po schodkach, przeszedł przez ganek, otworzył drzwi i wszedł, a on, chłopak Edmondsa i Aleck Sander weszli za nim. Sień była mroczna, nawet całkiem ciemna, kiedy się wchodziło z zewnątrz, ze światła, i zaraz w mej poczuł ten zapach, który — nie zastanawiając się — uważał przez całe życie za zapach pomieszczeń zamieszkałych przez ludzi o najmniejszej choćby domieszce murzyńskiej krwi, tak jak każdego człowieka o nazwisku Aiallison brał za metodystę! Dalej była sypialnia: naga, wydeptana, nieskazitelnie czysta, nie malowana i nie nakryta

dywanem podłoga, w jednym kącie przepaściste, zasnućte cieniem łóżko z firankami, przykryte jaskrawą, pozszywaną z kawałków kołdrą—łóżko, które prawdopodobnie pochodziło z domu starego Carothersa McCaslina — i poobijana tandetna toaleta produkcji masowej Grand Rapids. Potem przez chwilę nie widział nic więcej, w każdym razie niewiele więcej, a dopiero później zobaczył — czy też potem przypomniał sobie, że widział — zagracony kominek* na którym stała naftowa lampa ręcznie malowana w kwiaty i wazon pełen długich fidybusów zwiniętych z gazet, nad kominkiem barwną litografię z kalendarza sprzed jakichś trzech lat, na której młoda Pocahontas w przystrojonej piórami i obszytej frędzlą koźlej skórze wodza Siuksów czy Czi- pewejów stała oparta o balustradę z włoskiego marmuru ponad gajem sztywnych cyprysów. Zasnućta cieniem w kącie przeciwnym do łóżka, ustawiona była na połączonych sztalugach kolorowa fotografia dwojga ludzi, oprawna w ciężką, drewnianą, połączoną ramę.

Tego wszystkiego jednak na razie nie widział, ponieważ było za nim; na razie widział tylko ogień — wylepiony gliną kominek z polnego kamienia, w którym na pół spalone polano żarzyło się i dymiło wśród szarego popiołu i przy którym w bujanym fotelu siedziało coś, co wziął za dziecko, zanim nie zobaczył twarzy i nie zatrzymał na niej oczu dłużej, żeby się przyjrzeć, bo zaczęło mu się przypominać jeszcze coś, co wuj opowiadał o Lucasic Beauchamp, a przynajmniej w związku

z Lucasem Beauchamp, i patrząc na nią uświa* domił sobie po raz pierwszy, ile naprawdę ma lat Lucas, ile musi mieć lat, bo była to maleńka, chyba nie większa od lalki staruszka o skórze dużo ciemniejszej niż skóra Lucasa, siedząca w szalu i fartuchu, z głową owiązaną niepokalanie białą chustką, na którą nasadzony był kapelusz z kolorowej słomki, ozdobiony jakimś przybraniem. Ale nie mógł sobie przypomnieć, co to było, co mu wuj mówił czy opowiadał, a potem zapomniał w ogóle, że sobie przypominał, że ktoś coś mówił mu kiedyś; sam siedział już wygodnie na krześle przed kominkiem, w którym chłopak Edmondsa podsyczał ogień porąbaną na mniejsze szczapy kłodą drzewa i sosnowymi drzazgami. Aleck Sander kucnął przed nim i ściągnął mu mokre buty, a potem spodnie, a potem on sam wstał i zdjął kurtkę, sweter i koszulę; przy czym oni obaj — Aleck Sander i chłopak Edmondsa — musieli krzątając się omijać tego mężczyznę, który stał przed paleniskiem rozkraczony, odwrócony plecami do ognia, w gumowych butach i kapeluszu, tylko już bez kożucha. A potem — mniejsza od niego i od Alecka Sander, chociaż mieli po dwanaście lat — zjawiała się przy nim ta staruszka niosąc inną jaskrawą, pozszywaną z kawałków kołdrę.

— Rozdziewaj się — powiedział tamten.

— Nie, ja...

— Rozdziewaj się — powiedział tamten.

Więc ściągnął również swoją przemoczoną ciepłą bieliznę, po czym znalazł się znów na krześle

[przed ogniem, już jasnym i żywym, owinięty w kołdrę niby w kokon, otoczony teraz szczelnie owym znajomym zapachem Murzynów i gdyby nie to, co miało mu się zdarzyć w okresie czasu wymierzalnym już teraz w minutach, mógłby zejść do grobu i nie zastanowić się głębiej, że może ten zapach nie jest naprawdę zapachem rasy i naprawdę może nawet nie jest zapachem ubóstwa, tylko stanu, poglądu, wiary, akceptacji, biernego akceptowania przez nich samego poglądu, że jako Murzyni przypuszczalnie nie mają warunków prac porządnie czy często, a nawet myć się, kąpać często, choćby pomimo braku tych warunków; poglądu, że — prawdę mówiąc — to nawet lepiej, że tak jest. Ale teraz ten zapach nic nie wyrażał —"właściwie jeszcze nie wyrażał i pozostawała cała godzina, zanim tamto się zdarzy, a całe cztery lata, zanim on zrozumie zasięg rozgałęzień tego, co się zdarzyło, pojmie, jak to na niego wpłynęło; a będzie już dorosłym człowiekiem, zanim zrozumie i przyzna, że akceptował to, co się zdarzyło. Więc po prostu czuł ten zapach, a potem przestał go czuć, bo się już do niego przyzwyczaił; przez całe życie czuł go od czasu do czasu i nadal miał go czuć, spędził niemałą część życia w chacie Paralee, matki Alecka Sandera, na ich podwórku za domem, w chacie,- gdzie on i Aleck Sander bawili się podczas niepogody, kiedy byli mali, i Paralee gotowała im całe posiłki między dwoma posiłkami, jakie gotowała u nich w domu, a oni jedli je razem i jedzenie miało ten sam smak dla obu. Nie mógł sobie nawet wyobrazić życia, z którego ten zapach na zawsze by zniknął. Czuł go zawsze i będzie go czuł zawsze, była to część jego przeszłości, od której nie sposób uciec, była to szczodra część jego dziedzictwa jako Południowca; nie potrzebował nawet przestać go wahać, po prostu już go nie czuł w ogóle, jak palacz, który nie czuje woni wygasłej fajki, bo ta woń w tym samym stopniu staje się częścią jego ubrania, co guziki czy dziurki od guzików. Siedział, trochę nawet drzemiąc, w ciepłym, gęstym zaduchu kołdry, a potem ocknął się na chwilę, kiedy usłyszał, jak chłopak Edmonsa i Aleck Sander wstają spod ściany, pod którą obaj siedzieli w kucki, i wychodzą z pokoju — ocknął się, ale nie na długo, zapadając powoli znów w ciepły zaduch kołdry, podczas gdy nad nim wciąż jeszcze fetał odwrócony tyłem do ognia, trzymając ręce za plecami i — żeby nie te ręce założone do tyłu i brak kożucha i siekiery — zupełnie taki sam, jak wtedy, gdy wyjrzał ze strumienia i zobaczył go pierwszy raz — ten mężczyzna w gumowych butach i spłowiałym kombinezonie Murzyna, ale z ciężką złotą dewizką zwisającą mu pętlą przez kombinezon na piersiach. Pamiętał, że wkrótce po tym, jak weszli do pokoju, tamten odwrócił się, wziął coś z zagraconego kominka i włożył sobie do ust, ale dopiero potem zobaczył, co to jest: była to złota wykałaczka, taka, jakiej używał jego własny dziadek, a kapelusz był zniszczonym pilśniowym kapeluszem ręcznego wyrobu, takim samym, za jakie dziadek płacił po trzydzieści i czterdzieści dolarów sztuka, nie włożony zwyczajnie, ale na

bakier naciągnięty na twarz o murzyńskim pigmentem, lecz o nosie wysoko sklepionym i nawet trochę orlim, a to, co przeglądało przez tę twarz albo może patrzyło spoza niej, nie było ani czarne, ani białe, wcale nie zuchwale i nawet nie pogardliwe, po prostu surowe, nieugięte i opanowane.

A potem Aleck Sander przyniósł z powrotem jego ubranie, suche już i jeszcze prawie gorące od pieca, więc ubrał się i wbił nogi w zeszywniałe buty. Chłopak Edmondsa, znów siedział w kucki pod ścianą, trzymał jeszcze coś w ręku i jadł, kiedy on powiedział:

— Zjem obiad u pana Edmondsa.

Mężczyzna nie wyraził ani sprzeciwu, ani zgody. Nie drgnął i nawet na niego nie patrzył. Nieporuszony i spokojny powiedział po prostu:

— Już nałożyła na talerz.

A on minął starszkę, która usunęła się z drzwi, żeby go przepuścić, i wszedł do kuchni; w jasnym, słonecznym kwadracie światła wpadającego przez południowe okno stał stół nakryty ceratą, przy którym — nie wiadomo, po czym to poznał, bo nie było na nim żadnych znaków, śladów, brudnych talerzy, po których można by poznać — zjedli już obiad chłopak Edmondsa i Aleck Sander. Usiadł i z kolei on zjadł część tego, co najwidoczniej miało być obiadem Lucasa: była to kapusta, plasterek wieprzowiny zapiekanej w cieście, duże, płaskie, zakalcowate, blade i nie dopieczone biskwity i, szklanka maślanki. Jedzenie było murzyńskie, przyjęte, a później nawet nie zauważone, też dlatego, że było dokładnie takie, jakiego się spodziewał, takie, jakie jadali Murzyni, najwidoczniej dlatego, że było tym, co lubili i co wybrali. Nie dlatego (miał dwanaście lat i dopiero jako dorosły mężczyzna miał ze zdumieniem spostrzec, że nie jest to takie pewne), że w ich długich dziejach to było wszystko, co mieli okazję polubić — pomijając tych, którzy zjadali resztki z garnków białego człowieka — ale że wybrali ten ze wszystkich rodzajów jedzenia, bo odpowiadał ich podniebieniu i ich systemowi trawienia. Potem, w dziesięć minut później, a następnie przez cztery lata próbował w sobie wmówić, że właśnie już jedzenie było tym, co go odepchnęło, ale sam wiedział, że to nieprawda; pierwszy błąd, podstawowe nieporozumienie tkwiło w nim przez cały czas, nie potrzebował go pobudzać do życia zapach tego domu i kołdry, aby oparło się temu, co patrzyło z twarzy tego człowieka (po prostu patrzyło, nawet nie na niego); w końcu wstał i z monetą — było to pół dolara — już przygotowaną w dłoni wrócił do tamtego pokoju, w którym teraz dopiero zobaczył tę większą fotografię, w złoconej ramie, na tłoconych stalowych gach, ponieważ teraz miał go przed sobą, więc podszedł do tego portretu i zanim jeszcze wiedział, że ma zainiar to zrobić, nachylił się, żeby zerknąć na niego z bliska w tym kącie, w cieniu, skąd błyskało tylko złocenie. Fotografia była mocno retuszowana: spod wypukłego, lekko załamującego światła szkła, jak z kryształowej kuli jasnowidza, znów spojrzała na niego spokojna,

surowa twarz pod zawadiacko zsuniętym kapeluszem; wykrochmalony kołnierzyk bez krawata przypięty był do białej wykrochmalonej koszuli spinką w kształcie węzowej głowy prawie naturalnej wielkości; i zobaczył dewizkę, tym razem zwisającą w pętli na sukiennej kamizelce pod sukiennym surdudem, brak było jedynie wykałaczkę, a obok zobaczył tę maleńką, nie większą od ,lalki kobietę w jakimś innym kapeluszu z kolorowej słomki i w szalu. To jest, musiała to być ta sama kobieta, chociaż twarz na portrecie niebyła podobna do żadnej twarzy, jaką kiedykolwiek oglądał, i nie tylko to: było coś upiornego, coś nie do zniesienia fałszywego w tym portrecie albo w niej; kiedy się odezwała, a on na nią spojrzął — mężczyzna wciąż jeszcze stał rozkraczony przed ogniem, a kobieta siedziała znów w fotelu na biegunach ustawionym na dawnym miejscu, prawie w kącie, i nie patrzyła na niego — wiedział, że nie spojrziała na niego, kiedy wszedł, ale powiedziała:

— To też sprawka Lucasa.

•A on zapytał:

— Co?

Mężczyzna wyjaśnił:

— Molly nie lubi tej fotografii, bo człowiek, co ją robił, zdjął jej chustkę z głowy.

I o to chodziło — że miała włosy, jakby, się patrzyło przez hermetyczne szklane wieko trumny na zabalsamowane zwłoki) pomyślał: Molly, oczywiście, bo przypomniał sobie teraz, co wuj opo

wiadał mu o Lucasie czy też o nich obojgu. Zapytał:

— Dlaczego ją zdjął?

— Ja mu kazałem. Nie trzeba mi w domu fotografii żadnych wsiowych Murzynek — powiedział mężczyzna, a on podszedł teraz do nich wkładając pięść ściskającą pół dolara z powrotem do kieszeni i wydłubując z kieszeni dziesięcio- centówkę i dwie pięciocentówki —wszystko, co miał — w pięść z tamtą monetą, powiedział:

— Pan jest z miasta. Mój wujek pana zna. Mecenas Gavin Stevens.

— Pamiętam jeszcze twoją mamę — powiedziała kobieta. — To panna Maggie Dandridge.

— To moja babcia. Moja matka też nazywała się Stevens — sprostował i wyciągnął dłoń z pieniędzmi. I w tej samej sekundzie, w której wiedział, że wzięłyby pieniądze, wiedział jednocześnie, że zaledwie o tę jedną niepowrotną sekundę spóźnił się teraz na zawsze, nieodwołalnie na .zawsze, i stał, a powolna, gorąca krew tak leniwie jak same minuty wypływała mu na szyję i na twarz, i na zawsze zostawał z otwartą, niemą dłonią i hańbiącymi kawałkami stopionych i uformowanych w kształt pieniędzy odpadków metali na niej. Aż w końcu mężczyzna zrobił coś, co przynajmniej spełniło rolę litości.

— Za co to? — zapytał mężczyzna nawet nie poruszając się, nawet nie pochylając twarzy, żeby spojrzeć na to, co leżało na jego dłoni. I znów minęła wieczność, a on czuł tylko gorącą, martwą

powolną krew, póki w końcu nie przemieniła się we wściekłość, tak że przynajmniej mógł znieść ten wstyd, i patrzył na własną rękę, jak odwraca się nie ciskając monet, lecz spychając je, aż się potoczyły po nagiej podłodze podskakując, a jedna z pięciocentówek pry snęła nawet długim, śmiałym łukiem, z suchym cichutkim szmerem niby drapanie małej myszki. A potem usłyszał głos:

— Podnieś to!

I wciąż nic; mężczyzna się nie poruszył, trzymając ręce za plecami, patrząc w próżnię. Słyszając tylko uderzenie gorącej, martwej, ciężkiej krwi, z której przemówił głos nie zwracając się do nikogo: f

— Podnieście jego pieniądze.

Usłyszał i zobaczył, jak Aleck Sander i chłopak Edmondsa biegną i szperają wśród cieni nisko przy podłodze.

— Oddajcie mu — powiedział głos.

Zobaczył, jak chłopak Edmondsa kładzie dwie podniesione przez siebie monety na dłoń Alecka Sandera, i poczuł, jak ręka Alecka Sandera stara się wepchnąć wszystkie cztery monety do jego własnej opuszczonej ręki i wreszcie je wpycha.

— A teraz ruszaj na'te swoje króliki — powiedział głos — i nie pakuj się już do strumienia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy znów szli w tym przejrzystym chłodzie (w samo południe, na pewno najcieplejszą porę tego dnia) przez most nad strumieniem (nagle się rozejrzał: już z pół mili uszli brzegiem strumienia, a on go nawet nie pamiętał), pies zapędził jakiegoś królika w krzaki tarniny na skraju pola bawełny i skowycząc histerycznie zaraz go z nich wypłoszył, drobną, oszalałą, brunatną plamkę, w jednej chwili zwartą i krągłą niczym kula od krokiet, a już w następnej długą jak wąż, tuż przed psem wytryskającą z krzaków, z małym białym płomieniem króliczego omyka, który zygzakiem przeleciał przez rzędy nagich krzaczków bawełny, niby żagiel dziecinnej łódki na chłostanej wiatrem sadzawce, a Aleck Sander wrzeszczał zza krzaków:

— Strze-laj! Strze-laj! — I zaraz: — Dlaczegoś go nie ustrzelił? — a on bez póspiechu się odwrócił, powoli podszedł do strumienia, wydobył z kieszeni tamte cztery monety i cisnął je do wody, a później, leżąc tej nocy bezsennie w łóżku, zrozumiał, że jedzenie było z tego, czym Lucas mógł go przyjąć, nie tylko czymś najlepszym, ale

w ogóle wszystkim, i że dziś rano na tej wycieczce nie był gościem Edmonsa, ale gościem na plantacji starego Carothersa McCaslina, a jeśli nawet sam o tym nie wiedział, to wiedział Lucas, więc Lucas miał przewagę, nie on, Lucas, szeroko* rozkraczony przed kominkiem i nawet nie wyjmując zza pleców splecionych rąk, wziął jego własne siedemdziesiąt centów i dowiódł nimi swojej przewagi, więc teraz on, skręcając się w bezsilnej furii myślał już o tym człowieku, którego zaledwie raz widział, i to nie dawniej jak dwanaście godzin temu, tak jak myślał o nim od lat — o czym się miał przekonać jeszcze w tym roku — każdy biały z całego tego okręgu: Najpierw musimy go nauczyć, że jest czarny. Musi przyznać, że jest czarny. A potem może przyjmiemy go takiego, jakim on chce być przyjęty. Bo zaraz zaczął poznawać Lucasa dużo lepiej. Nie, żeby się czegoś o nim dowiadywał. Sam zaczynał rozumieć to wszystko, co każdy, kto znał tę okolicę, mógł mu powiedzieć o Murzynie, który zwraca się do kobiet po prostu: "pani" jak każdy biały, i jeżeli się jest białym, mówi do człowieka: "proszę pana" czy: "panie", ale o którym wie się, że on nie bierze poważnie ani jednego, ani drugiego i wie, że się o tym wie, a mimo to nawet nie czeka, jak się na to odpowie, nawet nie potrzebuje odpowiedzi, bo zupełnie o nią nie dba. Tak jak wtedy.

To się zdarzyło trzy lata temu, w sobotę po południu w cztery mile odległym od domu Edmonsa sklepiku na rozdrożu, do którego o tej czy o innej godzinie w sobotnie popołudnie każdy dzierżawca i czynszownik z okolicy, biały czy czarny, musiał zajrzeć i w którym niemal zawsze każdy musiał zabawić chwilę, dosyć często nawet po to, żeby coś kupić, a muły i konie, osiodłane, z bokami otartymi od szlei, czekały uwiązane pośród wierzb, brzoź i sykomorów w stratowanym błocie poniżej źródła, podczas gdy ich właściciele nie mieszcząc się w samym sklepiku tłoczyli się nawet przed nim, na zabłoconym ganku, stojąc lub siedząc w kucki, na piętach, pijąc wprost z butelek wodę sodową i spluwając tytoniem, bez pośpiechu skręcając papierosy i z namysłem trzaskając zapalkami ku wygasłym fajkom. A tamtego dnia trzech biali chłopcy, robotnicy z pobliskiego tartaku, każdy odrobinę pod gazem i na dodatek jeden z nich znany zabijaka i awanturnik, też byli w sklepiku, kiedy przyszedł Lucas ubrany w swój stary, czarny, sajetowy garnitur, który wkładał w niedzielę i dó miasta, w stary, niegdyś wspaniały kapelusz, ze swoją ciężką dewizką na piersiach i z wykałaczką w ustach, a wtedy to się zdarzyło, choć nikt nie mówił co i może nawet nikt nie wiedział co, bo pewno o to poszło, w jaki sposób Lucas tam wszedł) że wszedł do nikogo się nie odzywając, podszedł do kontuaru i załatwił swój sprawunek (kupował kartonik imbirowych ciastek za pięć centów), a potem się odwrócił, z jednego końca rozerwał opakowanie, wyjął z ust wykałaczkę, wetknął ją do kieszonki na piersiach, wytrząsnął jedno ciastko na rękę i włożył je do ust — zresztą może nic nie musiał robić, żeby się zdarzyło to, co

się zdarzyło, bo ten biały chłopak w jednej chwili już stał przed nim i coś do niego mówił. Już mówił:

— Ej ty, cholerrrny, ważżżny, nadęty, śmierrr- dzący, kołtuniasty bękarcie Edmondsa!

A Lucas pogryzł imbirowe ciastko, połknął je i dopiero, kiedy już nachylał kartonik nad drugą dłońią, odwrócił głowę zupełnie powoli, chwilę popatrzył na tego białego i wreszcie powiedział:

— Nie jestem Edmonds. Nie należę do tych nowych ludzi. Jestem z dawniejszych. Jestem McCaslin.

— Jak się tu będziesz włóczył z tą swoją beczelną gębą, niedługo nie będziesz niczym więcej jak żarciem dla kruków! — powiedział ten biały.

Przez następną minutę, a przynajmniej pół najmity, Lucas przyglądał się białemu ze spokojną, pełną namysłu rezerwą, a kartonik ciastek, który trzymał w jednej ręce, powoli przechylił się bardziej i następne ciastko wypadło mu na drugą rękę, po czym Lucas uniósł kącik ust i wyssał górny ząb, co zabrzmiało w nagłej ciszy. Zupełnie głośno, ale bez żadnej intencji, bez jakiegś drwiny czy przygany, czy choćby protestu, bez najmniejszej intencji, ale prawie bezmyślnie, jak gdyby gdzieś w samym środku stumilowej pustyni ktoś jadł imbirowe ciastka i wyssał ząb; i powiedział:

— Owszem, już to kiedyś słyszałem. I widzi mi się, że ci, co tak mówią, to nawet nie Edmondsowie.

Na co ten biały jakby podskoczył do góry, nie patrząc sięgnął za siebie na kontuar, na którym leżało kilkanaście orczyków, złapał jeden orczyk, wziął rozmach i już-już ten orczyk opuszczał, kie

dy syn sklepikarza, też młody i obrotny chłopak, wybiegł zza kontuaru czy też przeskoczył górą i zdążył tamtego przytrzymać, tak że orczyk nie robiąc nikomu krzywdy przeleciał tylko przez sklepik i rąbnął w zimny piec, a tamtego białego złapał zaraz jeszcze jakiś drugi.

— Uciekaj stąd, Lucas! — powiedział przez ramię syn sklepikarza.

Ale Lucas ani drgnął, zupełnie spokojny, nawet nie dlatego, żeby chciał okazać pogadkę czy choćby lekceważenie, i w ogóle nie widać 4jyło, żeby się zbyt miał w pogotowiu, bo w lewej ręce wciąż trzymał przechylony jaskrawy kartonik ciastek, a w prawej ciastko i po prostu się przyglądał, jak syn- sklepikarza z tamtym drugim przytrzymują zapienionego i wrzeszczącego przekleństwa białego chłopaka.

— Wynoś się stąd, do diabła, ty cholerny durniu! — krzyknął syn sklepikarza i dopiero wtedy Lucas poruszył się bez pośpiechu i odwrócił się bez pośpiechu w stronę drzwi, podnosząc do ust prawą rękę, tak że kiedy wychodził, wszyscy widzieli, jak mu się równo poruszają szczęki, kiedy je to ciastko.

Była jednak jeszcze ta półdolarówka. Właściwa suma, co prawda, wynosiła siedemdziesiąt centów, i to w czterech monetach, ale on już dawno, zaraz w pierwszych ułamkach sekundy przeliczył i przelożył ich wartość na jedną monetę o masie i wadze niepodzielnej, niewspółmiernej z jej zwykłą siłą nabywczą, i kiedy cała jego zdolność odczuwania straty a może zwykłej przykrości, obojętne czego,

wyczerpywała się w końcu na chwilę i nawet jakby usypiała, wtedy sam sobie powtarzał: Przynajmniej mam pół dolara, zawsze to coś jest — bo teraz nie tylko jego omyłka i wstyd z jej powodu, ale i to, co było przedmiotem omyłki: ten człowiek, Murzyn, ta izba, chwila i cały ten dzień, zakrzepło i stopiło się w okrągły, twardy symbol monety, toteż czasami widział sam siebie, leżącego i patrzącego bez żalu, nawet spokojnie, jak ta moneta urasta dzień po dniu aż do swojego gigantycznego maksimum i wreszcie zawisa nieruchomo na zawsze na mrocznym sklepieniu jego udręki, niczym martwa pełnia nie ubywającego nigdy księżyca, a on sam, jego własny, nikły, maleńki cień szamocze się na tle tego księżyca w. szaleńczej i bezskutecznej pracy zaćmienia, szaleńczej i bezskutecznej, ale i niezmordowanej, gdyż nie miał nigdy dać za wygraną, już w ogóle nie mógł się wycofać, bo poniżył, pohańbił nie tylko sam siebie jako mężczyznę, ale całą swoją rasę, i teraz codziennie po południu, po szkole, i co tydzień przez całą sobotę, oprócz tych dni, kiedy grał w piłkę albo szedł na polowanie, albo kiedy wypadło jeszcze coś innego, co chciał czy musiał zrobić) szedł do kancelarii wuja i przyjmował telefony albo biegał na posyłki — spełniał czynności mające zawsze jakiś przynajmniej pozór obowiązków, nawet jeśli nie były naprawdę niezbędne, żeby bodaj w ten sposób wyrazić gotowość do wzięcia na siebie choćby części własnej odpowiedzialności. Zaczął to robić jeszcze jako dziecko, od czasów prawie niepamiętnych, z owego ślepego i głębokiego

przywiązania do jedyne go brata swojej matki, przywiązania, którego nigdy nie próbował kwestionować, i robił nadal, a później, kiedy miał lat piętnaście, szesnaście i siedemnaście, przypominało mu to opowiadanie o pewnym chłopcu i jego ulubionym cielątku, które chłopiec codziennie przesadzał przez ogrodzenie okólnika — lata mijały, chłopiec stał się dorosłym mężczyzną i teraz co dzień przesadzał przez ogrodzenie okólnika dorosłego wołu.

On opuścił swoje cielątko. Do Bożego Narodzenia zostały już niepełne trzy tygodnie; codziennie po południu po szkole i co tydzień przez całą sobotę kręcił się po Rynku albo gdzieś w pobliżu, skąd mógł obserwować Rynek. Jeszcze przez dzień, dwa było zimno, poteni się ociepliło, wiatr zelżał, a potem słońce zamgliło się i zaczął padać deszcz, ale on wciąż się wałęsał albo wystawał na ulicy, przy której okna wystawowe wypełniły się już zabawkami i towarami świątecznymi, sztucznymi ogniami, kolorowymi lampkami, jedliną i cynfolią, albo też przyglądał się twarzom farmerów za powleczonym parą oknem drugstore'u czy zakładu fryzjera, a przez cały czas te dwie paczuszki, cztery cygara z gatunku para dwadzieścia pięć centów dla Lucasa i rozek tabaki dla jego żony, leżały owinięte w świąteczny papier w jego kieszeni, dopóki nie udało mu się spotkać Edmondsa i powierzyć mu ich, żeby doręczył Lucasowi i jego żonie w dzień Bożego Narodzenia rano. Ale to była zaledwie splata (z podwojonym procentem) tamtych siedemdziesięciu centów; monsturalny,

martwy, wygasły dysk nadal co noc zawisał w czarnej otchłani bezsilności i gniewu: Niechby najpierw się stał zwyczajnym czarnym, choć na sekundę, krótką sekundę — więc w lutym zaczął odkładać pieniądze, po dwadzieścia pięć centów tygodniowej pensji od ojca i dwadzieścia pięć centów od wuja za pracę w kancelarii, i odkładał aż do maja, póki nie odłożył dosyć, a wtedy z pomocą matki kupił kwiciastą suknię ze sztucznego jedwabiu i wysłał ją pocztą dla Molly Beauchamp na adres Carothersa Edmonsa, RFD *, i wreszcie poczuł pewną ulgę, bo zniknął gniew, a tylko żalu i wstydu nie mógł jeszcze zapomnieć i dysk wciąż wisiał nad czarną otchłanią, choć teraz już sobie liczył rok istnienia, więc i otchłań nie była tak czarna jak przed rokiem, skoro blask dysku bladł— mógł nawet spać pod nim, jak człowiek cierpiący na bezsenność kiedyś przecież usypia pod swoim księżycem ubywającym i blednącym. Potem przyszedł wrzesień i za tydzień miały się zacząć lekcje w szkole. Kiedy któregoś dnia po południu wrócił do domu, matka już na niego czekała.

— Coś tu dla ciebie przyniesiono -r— powiedziała. Był to galonowej objętości kubełek melasy z sorgo, toteż od razu się domyślił, na długo przedtem, zanim matka dokończyła zdania: — Przysłała ci to ktoś od pana Edmonsa.

— Lucas Beauchamp! — powiedział prawie krzyżąc. — Czy on już dawno poszedł? Dlaczego na mnie nie czekał?

— Nie — wyjaśniła matka. — To nie był on sam. Przysłał. Przywiózł to jakiś biały chłopak na mule.

I tyle. Znów byli tam, skąd wyszli. Wszystko trzeba było zaczynać od początku. Teraz nawet było gorzej, bo teraz na polecenie Lucasa biała ręka podniosła i oddała mu jego pieniądze. Więc zrozumiał, że nawet nie może zaczynać wszystkiego od początku, bo gdyby wiadro melasy odwiózł i cisnął pod drzwi Lucasa, byłyby to te pieniądze, które Lucas znów kazałby komuś podnieść i jemu oddać, nie mówiąc już o tym, że musiałby te siedemnaście mil pod drzwi Lucasa jechać na szetlandzkim kucu już dla niego za małym, którego się wstydził, podczas gdy matka nie pozwalała mu jeszcze jeździć na dużym koniu, a przynajmniej na takim dużym koniu, jaki by się jemu podobał i jakiego obiecał mu wuj. Nic już nie da się zrobić, wszystko, cokolwiek by go mogło uwolnić, było nie tylko poza jego zasięgiem, ale nawet poza zrozumieniem, i pozostawało mu jedynie czekać, że może kiedyś to coś nastąpi, a obywać się bez tego, gdyby nie nastąpiło.

Cztery lata później niemal od osiemnastu miesięcy już był wolny, myślał, że wszystko się skończyło: stara Molly umarła, a jej i Lucasa córka wyjechała z mężem do Detroit i wreszcie przypadkiem się kiedyś dowiedział, dotarło to do niego jako wiadomość nienowa już i przebrzmiała, że Lucas został sam w chacie, opuszczony i bez rodziny, nieprzystępny i widocznie nie dość że pozbawiony przyjaciół, choćby ludzi tej samej

rasy co on, ale i dumny z tego. Widział go jeszcze trzy razy na Rynku w mieście, i to nie zawsze w sobotę, a prawdę mówiąc od ostatniego razu, kiedy go widział, upłynął rok, zanim sobie uświadomił, że właściwie nigdy nie widział Lucasa i w sobotę, kiedy to wszyscy Murzyni, a i prawie wszyscy biali z okolicy przyjeżdżali do miasta, i że jedno spotkanie od drugiego oddzielał prawie okrągły rok, a spotkania następowały nie dlatego, żeby Lucas właśnie wtedy przyjeżdżał do miasta, kiedy on przypadkiem miał przechodzić przez Rynek, ale to właśnie on przypadkiem przez Rynek przechodził w dni dorocznych i spowodowanych interesem odwiedzin Lucasa w mieście, bo Lucas przyjeżdżał w te dni tygodnia, w które przyjeżdżali biali nie będący farmerami, lecz właścicielami plantacji, w krawatach i kamizelkach takich samych, jakie nosili kupcy, doktorzy i adwokaci; jak gdyby sprzeciwiał się, protestował przeciwko tak nic nie znaczącym zwyczajom nie tyle w ogóle Murzynów, co Murzynów ze wsi; zawsze pojawiał się w znoszonym, wyczyszczonym porządnie, czarnym, sajetowym ubraniu, niegdyś droгим, co jeszcze było widać, w którym paradował na fotografii oprawnej w złożoną ramę, w pięknym włożonym na bakier kapeluszu, w białej kottzuli ze sztywnym gorse, pamiętającej czasy jego rodzzonego dziadka, bez krawata, ze złotą dewizką i złotą wykałaczką taką samą, jaką nosił w górnej kieszonce kamizelki dziadek. Pierwszy raz spotkał go po roku w zimie i choć Lucas od razu go sobie przypomniał, on odezwał się pierw

szy, podziękował Lucasowi za melasę, a Lucas odpowiedział na to dokładnie tak samo, jakby odpowiedział dziadek, tylko słowa i gramatyka mogły być trochę inne:

— Tego lata dużo melasy. Kiedym ją robił, pomyślałem: każdy chłopak zawsze łąsy na dobry syrop. I nie zatrzymując się dłużej, odchodząc już, dodał przez ramię: — Tylko mi tej zimy nie wlatuj do wody.

Widział go potem jeszcze dwa razy, wciąż w tym samym czarnym garniturze, tym samym kapeluszu, z dewizką, tyle że za drugim razem nie dojrzał wykałaczki, i Lucas, patrząc wprost na niego, prosto w jego oczy z odległości pięciu stóp, nie zatrzymał się, więc on pomyślał: Zapomniał mnie. Jut mnie tobie nie przypomniał, a dopiero potem, prawie rok później, wuj mu powiedział, że stara Molly, żona Lucasa, rok temu umarła. Więc sobie nie łamał głowy i nie zastanawiał się, skąd się wuj o tym dowiedział (najprawdopodobniej od Edmonsa), bo w tej samej chwili szybko liczył miesiące wstecz i pomyślał usprawiedliwiająco, z ulgą, prawie z tryumfem: Właśnie wtedy umarła. To dlatego mnie nie widział. Dlatego nie miał wykałaczki: — Myślał ze zdziwieniem: — Był smutny. Żeby być smutnym, me trzeba nawet nie być czarnym. A potem przyłapał się na tym, że czeka, że się wałęsa po Rynku niemal tak samo jak dwa lata temu, kiedy wyglądał Edmonsa, żeby mu powierzyć doręczenie tamtych dwóch gwiazdkowych prezentów, i czekał już najpierw dwa, a potem trzy i cztery miesiące, zanim sobie

przypomniał, że ile razy widział Lucasa w mieście, zawsze wypadło to tylko raz do roku w styczniu albo w lutym, i wtedy dopiero zrozumiał, dlaczego tak było — Lucas przyjeżdżał płacić roczny podatek za swoją ziemię.

Więc wypadło to pod koniec stycznia w jedno jasne, zimne popołudnie. W blasku bladego słońca stał na rogu przed bankiem i nagle zobaczył, że Lucas wychodzi z budynku sądu i idzie przez Rynek prosto na niego, w swoim czarnym ubraniu, koszuli bez krawata i w wykwintnym kapeluszu nasadzonym z fantazją, trzymając się tak prosto, że marynarka opierała mu się tylko na ramionach, zwisając swobodnie, a sterczący ukośnie błysk złotej wykałaczki widział już z tego miejsca, gdzie stał, i czuł, jak w oczekiwaniu napinają mu się mięśnie twarzy, a potem Lucas podniósł wzrok i raz jeszcze popatrzył mu prosto w oczy może przez ćwierć minuty, po czym odwrócił wzrok, idąc dalej prosto przed siebie, a nawet trochę zbaczając, żeby go wyminąć, wyminął go i poszedł dalej, a i on wcale się nie obejrzał, tylko stał na brzegu chodnika w bladym, zimnym słońcu i myślał: Teraz to nawet nie to, żeby nie mógł mnie sobie przypomnieć. Wcale mnie nie zna i nie potrzebował zapominać. — Myślał z jakimś spokojem: — Koniec. Wszystko skończone. — Teraz był wolny, bo człowiek, który przez trzy lata rozporządzał jego życiem na jawie i we śnie, teraz je opuścił. Na pewno jeszcze nieraz go zobaczy, na pewno będą co roku przechodzić ulicami miasta obok siebie, tak jak dziś, aż do

śmierci Lucasa, ale nic więcej: jeden z nich będzie już tylko cieniem tego mężczyzny, który kiedyś kazał dwóm murzyńskim chłopakom podnieść i oddać mu jego pieniądze, a drugi tylko wspomnieniem o dziecku, które te pieniądze kiedyś dało, a potem cisnęło na ziemię, unosząc z sobą w wiek męski zaledwie spłowiwały ślad owego dawnego, niegdyś palącego wstydu, gniewu i pragnienia nie tyle zemsty* odpłaty, ile zrównania praw, równej racji istnienia dla własnej męskości i białej rasy. Pewnego dnia jeden z nich nie będzie już nawet cieniem tego mężczyzny, który kazał podnieść pieniądze, a dla drugiego hańba i gniew przestaną być nawet wspomnieniem, przeszłością i staną się nikłym westchnieniem, szeptem, niczym gorzko-słońno-kwaśny smak końskiego szczawiu w ustach tamtego chłopca z umarłego dzieciństwa, smak ozywający na ułamek chwili pod wpływem jakiegoś innego smaku i zaraz się ulatniający, zanimby się go dało uchwycić i odszukać we wspomnieniach; mógł sobie wyobrazić jego i siebie, kiedy się spotykają jako dwaj wiekowi starcy w którymś momencie owej agonii obnażonych, nieczułych na działanie środków uśmierających zakończeń nerwowych, agonii, którą z braku odpowiedniejszego słowa ludzie nazywają jeszcze życiem i wobec której nie tylko minione lata, ale całe półwiecze różnicy lat między Lucaszem a nim wyda się im obu tak nikłe i tak nie dające się policzyć, jak pięćdziesiąt ziarenek piasku w górze miału węglowego. Zapyta Lucasa: — To ja byłem tym chłopcem, który kiedy

oddaleś mu połowę swojego obiadu, chciał ci za to zapłacić przedmiotami zwanymi wówczas pieniędzmi, wartości siedemdziesięciu centów, a potem uznał, że aby wyjść z honorem, nie pozostaje mu nic innego, jak cisnąć je na ziemię. Nie pamiętasz? — A Lucas odpowie: — Czy to byłem ja? — Czy też na odwrót, od tamtej strony, to Lucas powie: jjj To ja byłem tym mężczyzną, który kiedy cisnąłeś swoje pieniądze na ziemię i nie chciałeś podnieść, musiał kazać dwóm czarnym, żeby podnieśli je i tobie oddali. Nie pamiętasz? — A on odpowie: — Czy to byłem ja? — Bo wszystko już skończone. Nastawił drugi policzek i zostało to przyjęte. Był wolny.

A potem późno [30 południu przechodząc w tę pamiętną sobotę przez Rynek w drodze do domu (na boisku szkolnym skończył się mecz baseballu), dowiedział się, że za sklepikiem Frasera Lucas zastrzelił Vinsona Gowrie, że około trzeciej wiadomość dotarła do biura szeryfa i prze- dzwoniono ją już w drugi koniec okręgu, dokąd szeryf jeszcze rano pojechał w jakiejś sprawie i gdzie, jak przypuszczano, powinno się udać go odnaleźć do jutra do wschodu słońca, co właściwie nie było takie istotne, bo choćby nawet szeryf był w swoim biurze, i tak mógłby nie zdążyć, ponieważ sklepik Frasera znajdował się w podokręgu czwartym, a jeśli okręg Yoknapatawpha nie był fortunnym miejscem dla czarnego mającego zamiar strzelać od tyłu do białego, to podokręg czwarty był w Yoknapatawpha miejscem, jakiego żaden czarny z odrobiną rozsądku w głowie i żaden obcy, obojętne, jakiego koloru skóry, by

nie wybrał chcąc kogoś, zastrzelić, a już nie wybrałby na pewno chcąc zastrzelić któregoś z Gowrie'ch, wszystko jedno, czy strzelając od tyłu, czy od przodu; zobaczył też, że dawno odjechał z Rynku ostatni samochód pełen młodych i nie tak już młodych mężczyzn, których można było znaleźć w domu gry czy zakładzie fryzjera nie tylko w sobotnie popołudnie, ale o każdej porze we wszystkie dni tygodnia, i z których ten i ów miał nawet coś niecoś do czynienia z uprawą bawełny czy handlem samochodami albo spekulacją akcjami ziemi albo bydła, mężczyźni robiących zakłady o wyniki walk na ringu, przy stołach gry i w ligowych rozgrywkach baseballu, którzy . pomknęli teraz te piętnaście mil za miasto, żeby zaparkować samochód na szosie przed domem konstabla, do którego konstabl zabrał Lucasa i w którym, jak opowiadano, przykuł go kajdankami do oparcia łóżka, a sam zasiadł obok z pistoletem (oczywiście, Edmonds też już tam był, bo nawet głupi wsiowy konstabl, nim jeszcze podniósł wrzask o szeryfa, na pewno miał dosyć rozumu i żeby po niego posłać, skoro Edmonds mieszkał tylko cztery mile stamtąd), na wypadek gdyby klan Gowrie'ch i ich banda postanowili nie czekać, aż pochowają Vinsona; oczywiście, Edmonds tam jest, bo gdyby był dzisiaj w mieście, to on by się na niego natknął rano albo zanim poszedł na boisko, a ponieważ go nie widział, Edmonds najwidoczniej był w domu, cztery mile od tamtego miejsca, i posłaniec konstabla na pewno go zastał, więc Edmonds mógł już przyjechać do

konstabl, zanim drugi posłaniec zdołał zapamiętać telefon szeryfa i wiadomość, jaką mu ma powtórzyć, i zanim wreszcie pojechał do najbliższego telefonu, z którego by mógł skorzystać — a więc było ich tam dwóch: Edmonds (przez mgnienie sekundy znów go coś zaniepokoiło) i konstabl — podczas gdy sam Pan Bóg dobrze by się zmęczył, zanim by zliczył wszystkich Go-wrie'ch, Ingrumów i Workittów, a gdyby jeszcze Edmonds zajął się kolacją czy gazetą albo gdyby mu przyszło do głowy tylko przeliczyć pieniądze czy zrobić cokolwiek innego, wtedy konstabl znalazłby się sam i nawet pistolet by nie miał najmniejszego znaczenia.

Ale on był wolny, właściwie nawet się nie zatrzymał zmierzając do rogu ulicy, na którym się skręcało do domu, i szedł dalej, póki nie zobaczył, jak wysoko jeszcze stoi słońce, jak dużo jeszcze jest czasu do wieczora, a wtedy na miejscu zawrócił i już przeszedł kilka jardów tą samą drogą, zanim mu przyszło do głowy, że przecież, u licha, może przejść na ukos przez prawie pusty już Rynek, wprost ku zewnętrznym schodkom prowadzącym do kancelarii. Ponieważ naprawdę nie miał najmniejszego powodu spodziewać się obecności wuja w kancelarii w sobotę o tak późnej godzinie, mógł przynajmniej przestać o tym myśleć, kiedy znalazł się już na schodach, ale przypadkiem był dziś w butach z gumowymi podeszwami i mimo że pod gumowymi podeszwami drewniane schody tak samo skrzypiały i stękały, jeżeli się nie szło po wąskim pasku tuż przy ścianie, myślał o tym, jak to nigdy dotąd nie doceniał gumowych podeszew i że nic nie może im dorównać, gdy idzie o zyskanie czasu do powzięcia właściwej decyzji, a potem zobaczył, że drzwi kancelarii są już zamknięte, chociaż za wcześniej jeszcze było, żeby wuj miał zapalać światło, i już same drzwi tak wyglądały, jak wyglądają tylko drzwi zamknięte na klucz, a więc nawet twarde podeszwy nie miałyby znaczenia; otworzył drzwi swoim kluczem i zamknął je za sobą na zatrzask, podszedł do ciężkiego obrotowego fotela, który kiedyś należał do dziadka, zanim stał się fotelem wuja, usiadł w nim przy zarzuconym papierami stole zastępującym wujowi żaluzjowe biurko z dawnych dziadkowych czasów, przez który sprawy całego okręgu przechodziły od dni dawniejszych, niż on mógł sięgnąć pamięcią, skoro ostatecznie jego pamięć była tylko pamięcią, tak więc obdrapany stół, zblakłe papiery o postrzępionych rogach — pragnienia i namiętności, jakie te papiery wyrażały, a także cały okrąg — odmierzony, ujęty w granice okręg — to wszystko stanowiło współczesną sobie całość, a ostami blask słońca przesączał się między gałęziami morwowego drzewa i wpadał przez osłonięte nim okno na stół, na te nieporządnie rozrzucone papiery, kałamarz, korytko ze spinaczami, stalówkami zarośniętymi brudem i rdzą, drucikami do czyszczenia fajki, na wywróconą kukurydzianą fajkę leżącą w rozsypanym popiele obok brudnej, nie mytej od dawna filizanki do kawy i spodka i na malowany kufel z heidelberskiej Stu be, pełen

fidybusów do zapalania fajek, przypominający ową wazę na kominku Lucasa, którą widział tamtego dnia; i zanim jeszcze sobie uświadomił, że o tym pomyślał, wstał zabierając filiżankę i spodek i przeszedł przez pokój biorąc jeszcze po drodze dzbanek do kawy i róndelek, wyrzucił do klozetu fusy, wypłukał dzbanek i filiżankę, nalał wody do rondelka i postawił go, a dzbanek, filiżankę i spodek ustawił na półce, wrócił i. nie pamiętając właściwie, że w ogóle wstawał, usiadł z powrotem w fotelu, wciąż mając mnóstwo czasu, żeby się przyglądać powierzchni stołu, całemu temu znajomemu, zakurzonemu bałaganowi stopniowo zacierającemu się w anonimowości nocy, kiedy już zgasł słońce; myślał, przypominał sobie słowa wuja, że wszystko, co człowiek posiada, to czas, który go oddziela od śmierci wywołującej w nim zgrozę i wstręt, a jednak połowę tego czasu człowiek spędza na wynajdywaniu sposobów, jak by tu przepędzić pozostałą połowę — i jagle przypomnielo mu się, co to go zaniepokoiło i domagało się skupienia uwagi — otóż Edmonsa nie było w domu i w ogóle w Missisipi, bo leżał w szpitalu w Nowym Orleanie po operacji kamieni żółciowych; kiedy wstał, ciężki fotel zadudnił głucho o deski podłogi niemal tak głośno, jak wóz na drewnianym moście — i stał, aż echo hałasu ucichło i słycać już było tylko jego oddech, bo był wolny. A potem ruszył do drzwi, bo matka wiedziała, kiedy się kończy mecz baseballu, chociaż nie mogła przecież słyszeć krzyków rozlegających się aż w drugim końcu miasta, i wiedziała, że nawet on nie potrzebuje na powrót do domu więcej niż określoną ilość chwil zmierzchu. Zamknął za sobą drzwi i zbiegł ze schodów. Rynek zasnuty był teraz zmrokiem, zapalały się pierwsze światła w drugistorze (u fryzjera i w domu gry nie gasły ani na chwilę od momentu, kiedy czyścibut i portier otworzyli dziś o szóstej rano i zmiotli zaścielające podłogę resztki włosów i niedopałki) i w agencji handlowej, aby pozostała część okręgu miała gdzie czekać na spodziewaną wiadomość ze sklepiku Frasera, że wszystko jest znów okey i mogą wyruszać z bocznych uliczek i ulic swoimi ciężarówkami i samochodami osobowymi, wozami i na mułach w drogę do domu, do łózek; teraz skręcił za róg, przed nim majaczyło więzienie, całe cienjne z wyjątkiem jedyne okratowane prostokąta wysoko we frontowej ścianie, skąd w powszednie dni co wieczór czarni, hazardujący się grą w kości, pędzący nielegalną whisky i zbyt krewko używający brzytwy, wydzielali się do swoich dziewczyn i kobiet stojących w dole, na ulicy, i za którym Lucas siedziałby już ód trzech godzin (i prawdopodobnie waliłby teraz w stalowe drzwi, żeby mu ktoś przyniósł kolację albo może byłby już po kolacji i chodziłoby mu tylko o to, żeby złożyć zażalenie na jej jakoś, skoro na pewno by uznał, że i to mu się należy, tak jak wszystko inne dotyczące celi i utrzymania), gdyby nie swego rodzaju powszechnie przekonanie, że jedynym celem istnienia całego systemu administracji jest wybranie takiego człowieka jak szeryf Hampton, wystarczająco silnego czy przynaj-

mniej obdarzonego wystarczającym rozsądkiem i charakterem, aby utrzymać w ryzach okręg oraz zatrudnić przy pozostałych pracach wszystkich swoich kuzynów i powinowatych, którym w żaden inny sposób nie udało się zarabiać na życie, choć próbowali różnych sposobów.

Ale on był wolny i, bądź co bądź, do tej pory na pewno było już po wszystkim, a nawet jeśli nie było, wiedział, co zrobi, i na to wciąż zostawało mnóstwo czasu, wystarczy, jak jutro się tym zajmie, trzeba tylko dziś wieczorem dać High-boyowt dwie dodatkowe miarki owsa z myślą

0 jutrze; więc najpierw wydało mu się, że sam jest albo przynajmniej za chwilę będzie głodny jak wilk, kiedy siadał do znajomego stołu w znajomym stołowym pokoju przy oślepiająco białym obrusie

I srebrze, i szklankach do wody, i wazie z narcyzami, gladiolusami i paroma różami, kiedy wuj powiedział:

— Zdaje się, że twój przyjaciel Beauchamp tym razem już się doigrał.

— Tak — powiedział. — Przynajmniej raz w życiu zrobią z niego czarnego.

— Charles! — krzyknęła matka, a on jadł szybko, jadł dużo i mówił szybko i dużo o meczu baseballu, i wciąż czekał, że lada chwila, lada moment poczuje głód, aż nagle się okazało, że już ostatni kęs jest jednym kęsem za dużo, więc kiedy go jeszcze żuł i zanim przesunął w głąb ust, żeby przełknąć, wstał już od stołu, mówiąc:

— Idę do kina.

— Nie skończyłeś jeszcze kolacji — powie

działa matka. Dodała: — Film nie zacznie się wcześniej niż za godzinę. — A potem zwróciła się nawet nie do ojca i nie do wuja, ale do czasu, do całego Anno Domini, Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset trzydziestego — czterdziestego — pięćdziesiątego: — Nie chcę, żeby on dzisiaj wychodził do miasta. Nie chcę... — I wybuchnęła jednym lamentem, wołaniem do najwyższego autorytetu, do jego ojca, wołaniem wydobywającym się wprost z tej koszarnej, smoczej krainy przerażeń i lęków, którą chyba upodobały sobie kobiety, a przynajmniej matki: — Charlie...

Aż wuj położył serwetkę, też wstał i powiedział:

— Waśnie masz okazję, żeby go zacząć odzwyczajając od swojej opieki. Niezależnie od tego chcę go wysłać w pewnej sprawie.

Był na dworze, stał na frontowym ganku w ciemnym chłodzie, a po chwili odezwał się wuj:

— No co? Idź.

— Ty nie idziesz? — zapytał. Po chwili dodał: — A. dlaczego? Dlaczego?

. — Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał wuj i opowiedział to wszystko, co on usłyszał jeszcze dwie godziny temu, przechodząc koło zakładu fryzjera. — To teraz nie ma znaczenia. Ani dla Lucasa, ani dla żadnego z tych tam jego koloru skóry. — Ale on sam pomyślał o tym wcześniej, nie dopiero teraz, na chwilę przedtem, zanim powiedział to wuj, lecz jeszcze zanim to zrobił ktokolwiek z zebranych przed zakładem fryzjera dwie godziny temu; pomyślał też i o wszystkim innym, co się z tym łączyło. —

W gruncie rzeczy zasadnicze "dlaczego" nie dotyczy kryzysu, który sprawił, że życie stałoby się dla niego nie do udźwignięcia, gdyby nie zabił Jbiałego strzałem wymierzonym od tyłu, zasadnicze pytanie brzmi, dlaczego ze wszystkich białych musiał sobie upatrzeć jednego z Gowrie'ch, a ze wszystkich możliwych miejsc właśnie podokręg czwarty. No idź, ale nie wracaj późno. Od czasu do czasu trzeba być wyrozumiałym nawet dla rodziców.

Z pewnością przynajmniej jakiś jeden samochód, a jak przypuszczał, do tej pory już wszystkie wróciły pod zakład fryzjera i salę gry, więc Lucas najwidoczniej wciąż feschce był przykuty do oparcia łóżka i bezpieczny, a konstabl siedział nad nim (prawdopodobnie w fotelu na biegunach) trzymając w ręku tę zimną strzelbę, żona konstabla na pewno im tam podała kolację i Lucas miał świetny apetyt, ostro zabrał się do swojej porcji, jako że nie tylko nie będzie musiał z nią zapłacić, ale i jadł ją w niecodziennych okolicznościach: nie zabija się człowieka co dzień; i to wydawało się mniej więcej prawdopodobne, że wiadomość dotarła do szeryfa i szeryf odpowiedział, że wraca dziś późnym wieczorem i jutro z samego rana zabierze Lucasa, więc on będzie musiał coś zrobić, spędzić jakoś ten czas, zanim film się skończy, a równie dobrze może iść na ten film, toteż przeszedł przez Rynek, wszedł na placyk przed sądem i usiadł na ławce w ciemnej, chłodnej, pustej samotności wśród ostrych cieni niespokojnych, choć nie poruszanych wiatrem wiosennych liści na gwiazdzistej kłębiastości niebios. Jbo stąd mógł patrzeć na oświetloną markizę przed kinem; może szeryf wiedział, co robi, może miał rację, wyglądało na to, że potrafi się jak należy porozumieć z Gowrie'ami, Ingrumami, Workittami i McCallumami, skoro umiał ich skłonić, aby co osiem lat głosowali na niego, a więc może w przybliżeniu wiedział, jak oni postąpią w określonej sytuacji, albo może to ci z zakładu fryzjera wiedzieli, co rubią, może oni mieli rację, a Ingrumowie i Gowrie, i Workittowie nie czekali, aż jutro pochowają Vinsona, ale czekali po prostu dlatego, że za trzy godziny już będzie niedziela, czekali nie chcąc tego robić na łapu-capu, odwalać całej sprawy byle jak, tylko po to, żeby skończyć z nią przed północą i nie gwałcić święta; już spod markizy tłum zaczął przeciekać i zaraz wypłynął pełną falą mrugając w świetle, nawet trochę po omacku tłocząc się przez sekundę, minutę, a może dwie, wynosząc znów na nędzną ziemię blednące już wspomnienie zuchwałej, celuloidowej ułudy serca, więc mógł teraz iść do domu, a prawdę mówiąc musiał, bo ona samym instynktem odgadywała, kiedy się kończy film, tak samo jak znała godziny baseballu i chociaż do tej pory nie mogła mu wybaczyć, że umie sobie sam pozapinać guziki, umyć szyję i uszy, to przynajmniej pogodziła się z tym na tyle, żeby wszędzie za nim nie chodzić, poprzestając na wysyłaniu ojca: a gdyby wyruszył teraz, przed ludźmi, którzy wysypali się z kina, miałby dla siebie pustą ulicę aż do samego domu — ale zanim doszedł do rogu podwórka,

| spoza żywoplotu pojawił się wuj, bez kapelusza, z kukurydzianą fajką w ustach.

— Słuchaj — powiedział wuj — dzwoniłem do Hamptona do Peddlers Field w Old Town. Dzwonił już do Frasera i Fraser poszedł do domu do Skipwortha i sam wszystko sprawdził. Lucas siedzi przykuty do łóżka i wszystko jest w porządku, zupełnie tam spokojnie teraz, a jutro rano Hampton zamknie go w więzieniu...

— Wiem — powiedział. — Nie zlinczują go do jutra do północy, muszą pochować przedtem Vinsona i przeczekać niedzielę. — Mówił idąc, nie zatrzymał się. — Jeśli chodzi o mnie, to wszystko w porządku. Jeśli chodzi o mnie, Lucas mógł się tak nic wysilać, żeby nic być czarnym.

Bo czuł się wolny; leżał w łóżku; w chłodnym znajomym pokoju, w chłodnym znajomym mroku — bo wiedział, co robi; w końcu jednak zapomniał powiedzieć Ałeckowi Sanderowi, żeby wsypał do żłobu Highboya dodatkową porcję owsa z myślą o jutrze, ale wystarczy, jeśli zrobi to rano, bo dziś w nocy zaraz uśnie mając do liczenia coś dziesięć tysięcy razy szybszego niż zwykle owce — właściwie miał zamiar tak szybko usnąć, że nic zdążyłby ich policzyć więcej jak dziesięć — z wściekłością i omal nie dającą się znieść udręką zniewagi i gniewu: bo żeby ze wszystkich białych, których mógł zabić strzałem od tyłu, zabić właśnie tego, najmłodszego z sześciu braci, z których jeden odsiedział już rok w więzieniu federalnym za zbrojny opór, jaki stawiał władzom, kiedy zdezerterował z wojska i usiłovali go ująć,

a następny wyrok za pędzenie whisky odpracował na karnej farmie stanowej, i którego kuzyni i powinowaci szeroko rozgałęzieni byli po całym okręgu i okolicy, tak że pełnej ich liczby nie potrafiłyby prawdopodobnie ustalić nawet stare babcie i niezamężne ciotki; współnika zabijaków, farmerów i myśliwych, handlarzy bydłem i drzewem, którzy każdy z osobna bez wielkiego trudu nawet by się pogodzili z faktem, że gdzieś ktoś jednego z nich zastrzelił, ale zupełnie nie mogli się z tym pogodzić jako całość, powiązani i skoligaceni z innymi zabijakami, kłusownikami i właścicielami nielegalnych gorzelni, tworząc już nie jakiś klan czy plemię, ale całą rasę i gatunek, który nie od dziś utwierdził na wzgórzach swoją niezwyciężoną pozycję przeciwko atakom okręgu i rządu federalnego, gatunek, o którym nie można było powiedzieć, że po prostu zamieszkał tutaj czy też nawet tę okolicę skaził swoją obecnością, ale który wręcz przemienił, w tajemniczy sposób przekształcił ową krainę pustynnych, porośłych sosną wzgórz, poznaczoną skąpo małymi pochylonymi domkami i tartakami przenoszonymi z miejsca na miejsce, i nielegalnymi gorzelniami, krainę, w którą się policja z miasta nawet nie zapuszczała, chyba że wezwana, i w której nietutejsi biali po zapadnięciu zmroku nie oddalali się zbyt od głównego traktu, czego Murzyni nie robili i w dzień, krainę, do której, jak powiedział kiedyś pewien miejscowy dowcipniś, jedynym obcym, jaki kiedykolwiek zawitał bezkarnie, był Pan Bóg, a i On tylko w dzień, i to w niedzielę — więc teraz

była to kraina-symbol niezawisłości i gwałtu, idea zamknięta widzialnymi granicami hiczym miejsce kwarantanny czarnej zarazy — kraina odludnie samotna i wyłączająca się z całego okręgu, a znana mu tylko z liczby porządkowej, którą oznaczona była jedna z topograficznych współrzędnych tej krainy, podokrąg czwarty, podobnie jak w połowie lat dwudziestych wiedzieli ludzie, gdzie leży Cicero, Illinois, kto tam żył i co robił, nie wiedząc i nie dbając o to, w którym ze stanów znajduje się Chicago; i jakby jeszcze tego nie było dosyć, Lucas wybrał właśnie ten jeden jedyny moment, kiedy jeden jedyny człowiek spośród białych i czarnych —Edmonds—w całym Yoknapatawpha czy Missisipi, czy Ameryce, czy na całym świecie, jeden jedyny, który by w tej sprawie zechciał, nie mówiąc już o sile i możliwościach (tu, choć już prawie usypiał, nie mógł się nie roześmiać przypominając sobie, jak to mu się z początku wydawało, że gdyby Edmonds był w domu, robiłoby to jakąś różnicę, nie mógł się nie uśmieć widząc oczyma wyobraźni tę twarz, kąt zbakierowania kapelusza, tę postać rozkraczoną wielkopańsko przed kominkiem niczym księżę czy dziedzic, czy członek Kongresu, z rękami założonymi do tyłu, nawet nie spoglądając w dół na nich, od niechcenia wydającą dwóm czarnym chłopakom rozkaz, aby podnieśli i oddali mu jego pieniądze; nawet nie potrzebował przypominać sobie napomnień, jakich nie szczędził mu wuj, odkąd tylko on był na tyle duży, żeby rozumieć: że nie jest w ludzkiej mocy stanąć między człowiekiem a jego przezna-
czeniem; przecież nawet jego wuj z całym swoim Harvardem i Heidelbergiem nie mógłby wskazać człowieka wystarczająco zuchwałego i naiwnego, aby ważył się stanąć między Lucasem a choćby tylko tym, co Lucas chciał zrobić), czy też przynajmniej spróbował stanąć pomiędzy Lucasem a gwałtownym fatum, które Lucas wyzwał, kiedy właśnie ten człowiek leżał unieruchomiony na sali operacyjnej w Nowym Orleanie; właśnie to Lucas musiał wybrać — tę chwilę, tę ofiarę, to miejsce: jedno z sobotnich popołudni i ten sam sklepik, w którym już co najmniej raz miał zatarg z białym; wybrał pierwsze nadarzające się i odpowiednie sobotnie popołudnie i ze starym jednostrzałowym Coltem kalibru i typu nawet już nie produkowanego, właśnie takiego dokładnie, jaki mógł być jego jedynie własnością, tak samo jak nikt inny w całym okręgu nie miał złotej wykałaczkii, zaczął się w tym sklepiku, jedynym miejscu, przez które na pewno wcześniej czy później w sobotę po południu przewinie się cały ten zakątek okręgu, poczekał, aż ofiara się zjawi, i zastrzelił ją, a nikt do tej pory nie wiedział dlaczego i on nie zauważył ani dziś po południu, ani nawet wieczorem, kiedy wreszcie odchodził z Rynku, żeby się ktoś nad tym zastanawiał, skoro to nie miało znaczenia, a przynajmniej dla Lucasa nie miało znaczenia najmniejszego, jako że najwidoczniej od dwudziestu czy dwudziestu pięciu lat dążył z niezmordowaną i nie słabnącą konsekwencją do tego momentu wieńczącego cały wysiłek; poszedł za tamtym do lasu nie dalej jak na dobry rzut kamieniem od

sklepiku i z tyłu strzelił do niego, nie oddalając się nawet od całego tłumu otaczającego sklepik na tyle, żeby nie usłyszeli strzału, i stał jeszcze nad ciałem z wystrzelonym pistoletem schowanym porządnie do kieszeni spodni, kiedy pierwsi świadkowie przybiegli na miejsce, na którym bez wątpienia natychmiast, od ręki, zostałby zlinczowany, gdyby nie ten sam Doyle Fraser, który siedem lat temu uratował go przed ciosem orczyka, i stary Skipworth, konstabl, mały, wychudły, zasuszony, głuchy jak pień staruszek nie wyższy od podrostka, staruszek, co nosił luzem w jednej kieszeni kurtki wielki niklowany pistolet, a w drugiej trąbkę z gutaperki, przez którą słuchał, kiedy się do niego mówiło, zawieszając ją na szyi niczym róg myśliwski na rzemieniu z niewyprawionej skóry, staruszek, który jednak w tym wypadku okazał nieoczekiwaną odwagę i męstwo wyrывая Lucasa (który zupełnie się nie bronił i nawet wtedy przyglądał się wszystkiemu z zawsze tym samym spokojnym, wyniosłym, a nawet nieopiecznym zainteresowaniem) z tłumu, zabierając go do swojego domu i przykuwając do oparcia łóżka, tymczasem, zanim szeryf przyjedzie, żeby go zabrać i odwieźć do miasta, a tam przetrzymać, póki cały klan Gowrie'ch, Workittów i Ingrumów wraz ze wszystkimi ich gośćmi i znajomymi nie zdąży pogrzebać Vinsona i póki nie przeczekają niedzieli, żeby móc ze świeżymi siłami i niczym nie skrępowani przystąpić do nowego tygodnia i jego obowiązków — a tymczasem, czy wierzył w to, czy nie, już i noc minęła, o fałszywym

brzasku nieśmiało odezwały się koguty, potem była pauza ciszy i po niej czarodziejski, głośny krzyk ptaków, a przez okno wychodzące na wschód widział już drzewa w szarym świetle, a potem nagle samo słońce wysokie i ostre nad drzewami, oślepiające, i już było późno, oczywiście i to musiało mu się przydarzyć, tylko że to nic nie szkodziło, bo był wolny, po śniadaniu będzie się czuł lepiej, no i zawsze może powiedzieć, że idzie do szkoły niedzielnej, zresztą nie musiał nic mówić wychodząc od tyłu, jakby szedł na spacer — przez kuchenne podwórko do okólnika, potem między drzewami do toru kolejowego, do stacji i z powrotem na Rynek; potem przyszedł mu na myśl sposób prostszy niż ten, a potem zaraz w ogóle przestał o tym myśleć, przeszedł przez hall, przez frontowy ganek i wyszedł dróżką na ulicę, i na ulicy, jak sobie później przypominał, po raz pierwszy zauważył, że nie widział ani jednego Murzyna czy Murzynki poza Paralee, która przyniosła mu śniadanie, podczas gdy zwykle o tej godzinie niedzielnego poranka widziałby niemal na każdym ganki/ służące i kucharki w świeżych świątecznych fartuchach* zamiatające albo rozmawiające z jednego ganku do drugiego poprzez szerokość sąsiedzkich podwórek, i dzieci również w świątecznych ubrankach, wyszorowane przed pójściem do szkoły niedzielnej, zaciskające w piąstkach swoje tygodniówki, ale może było jeszcze trochę za wcześnie na szkołę niedzielną albo może za wspólnym porozumieniem czy też na skutek zakazu

miało tego dnia nie być lekcji, tylko nabożeństwo, i w pewnej, tej. samej wszędzie chwili, mniej więcej kolo pół do dwunastej, atmosfera całego Yoknapatawpha bezdźwięcznie niczym drgający upał rozedrga posłuszna jednemu powszechnemu przykazaniu, kojąc serca owych okrytych żalobą i gniewnych ludzi — "Moją jest zemsta — mówi Pan — nie zabijaj" — tylko że na to też już było za późno, wczoraj powinni byli przypomnieć o tym Lucasowi; kiedy mijano się więzienie, między kratami okna na pierwszym piętrze zazwyczaj w niedzielę pełno było czarnych rąk, a spoza nich błyskały nawet od czasu do czasu białka oczu w mrokach i aksamitne głosy wołały i śmiały się w dół ku czarnym dziewczynom i kobietom przechodzącym ulicą albo przystającym na chwilę, więc przypomniawszy sobie, że oprócz Patalee nie widział ani jednego Murzyna od wczoraj po południu, choć dopiero jutro rano miał się dowiedzieć, że ci Murzyni, co mieszkali w Hollow i Freedmantown, od soboty wieczorem wcale nie zjawili się do pracy i nie pokazali się też na Rynku ani w zakładzie fryzjera, mimo że niedzielny poranek był zwykle istnym świętem uwijających się tam nisko przy nogach pucybiiów, chłopców czyszczących ludziom ubrania, biegających na posyłki i noszących wodę do kąpieli dla szoferów ciężarówek i mechaników z garażu, kawalerów, którzy mieszkali w wynajętych pokojach, dla młodzieńców i dla nie młodzieńców pracujących ciężko przez cały tydzień w domu gry — nie było ich tam, choć szeryf naprawdę w końcu wrócił do

miasta i nawet poświęcił swój niedzielny odpoczynek jadąc po Lucasa; przysłuchiwał się, słuchał, o czym mówią, o czym rozmawia kilkunastu mężczyzn, którzy wczoraj po południu pognali samochodem do sklepiku Frasera i wrócili z pustymi rękami (mówili, że wczoraj wieczorem jeszcze pojechał tam jeden samochód pełny tych mężczyzn, ziewających teraz, przeciągających się i narzekających na niewyspanie: to także dopisywało się do rachunku Lucasa), zresztą i to wszystko już kiedyś słyszał, a nawet sam już myślał o tym kiedyś.

— Niech tylko Hampton zabierze ze sobą łopatę. Nic więcej mu nie będzie potrzebne.

— Pożyczą mu tam łopatę.

— Jasne. Jeśli tylko będzie miał co zakopywać. Benzynę mają nawet w podokręgu czwartym.

— Myślałem, że stary Skipworth od czegoś tam jest.

— Jest. Ale to podokręg czwarty. Dokąd tylko on trzyma tego czarnego, słuchają go. Ale ma go oddać Hamptonowi. Wtedy to zrobią. Hampton może sobie być szeryfem w Yoknapatawpha, ale w podokręgu czwartym to on jest taki sam zwykły człowiek, jak każdy inny.

— Nie. Oni dziś nic nie będą robić. Chowają dziś po południu Vinsona i ładne by to było dla niego uszanowanie, jakby tak w czasie jego pogrzebu wzięli się do palenia czarnego!

— Święta racja. Pewno to zrobią dziś w nocy. • — W niedzielę w nocy?

Czy to Gowrie są temu winni? To Lucas

powinien trochę się zastanowić, zanim się wybrał w sobotę zabijać Vinsona.

— Nic mnie to nie obchodzi. Im też tak łatwo nie będzie odbić więźnia Hope'owi Hamptonowi.

— Czarnego mordercę?

Ciekaw jestem, kto z tego okręgu czy całego stanu ośmieli się pomóc bronić czarnego, có strzela do białego od tyłu!

— Ba! Kto z całego Południa!

— Racja, z całego Południa!

Słyszał już to wszystko przedtem; wyszedł z powrotem na dwór, chodziło tylko o to, że wujowi mogło przyjść na myśl, żeby wcześniej, jeszcze przed południową pocztą, wybrać się do miasta, i jeśli go tu nie zastanie, naprawdę będzie mógł powiedzieć matce, że nie wie, gdzie on jest, więc oczywiście pomyślał przede wszystkim o pustej teraz kancelarii, tylko że właśnie tam na pewno i wuj pójdzie; przecież jednak — i znów przypomniał sobie, że zapomniał nakarmić High- boya dziś rano, na co już teraz było za późno i co nie było ważne, bo i tak miał zamiar wziąć ze sobą owce — przecież jednak'wiedział dokładnie, co zrobi: szeryf wyjechał z miasta około dziewiętej; do domu konstabla jest piętnaście mil drogą żwirowaną, niezbyt dobrą, ale szeryf na pewno zdąży na miejsce zajechać i wrócić z Lucasem koło południa, nawet gdyby się tam przy okazji chwilę zatrzymał, żeby pogadać ze swoimi wyborcami; na długo przed przyjazdem szeryfa zdąży wrócić do domu, osiodłać Highboya, przywiązać do siodła worek z obrokiem i skierować konia w stronę

przeciwną do tej, w której położony jest sklepik Frasera; będzie jechał w tym jednym niezmiennym kierunku dwanaście godzin, aż do północy, potem nakarmi Highboya i dą mu odpocząć do świtu, a nawet dłużej, jeśli będzie chciał, a potem zostanie jeszcze dwanaście godzin drogi powrotnej, które w rzeczywistości okażą się osiemnastoma albo może dwudziestoma czterema czy nawet trzydziestoma sześcioma godzinami, ale przynajmniej będzie po wszystkim, koniec, spokój, nie będzie hańby i wściekłości podczas nocy w łóżku, kiedy próbuje się usnąć licząc owce; więc skreślił za róg i przeszedł na drugą stronę ulicy pod daszek szopy przed zamkniętą kuźnią, stanął obok ciężkich, dwuskrzydłowych, drewnianych wrót zamkniętych nie na skobel i nie na wrzę- ciądz, ale na łańcuch z kłódką, przewleczony przez judaszowy otwór w każdym skrzydle, tak że zwisająca na zewnątrz część łańcucha opadała półkolem tworząc łuk; stojąc tam było się niewidocznym zarówno z jednej strony ulicy, jak z drugiej, a także niewidocznym dla kogoś, kto by przechodził obok (a dzisiaj w żadnym razie nie będzie tym przechodniem jego matka), chyba żeby ten ktoś się zatrzymał i spojrzał; teraz miękkiemi, nieśpiesznymi, odpowiadającymi sobie strofami i anty strofami zaczęły dzwonić w mieście dzwony z jednej ku drugiej otoczonej wirem gołębi wieży, ulice i Rynek zalał nagłym przyływem schludny tłum ludzi — mężczyzn w ciemnych ubraniach, kobiet w jedwabiach i z parasolkami, par dziewcząt i chłopców, schludny, płynny tłum

pod tym miękkim dzwonieniem, pod tym zgodnym wołaniem — i koniec; Rynek i ulice znów puste, choć przez chwilę jeszcze dzwony nie milkły, ci mieszkańcy nieba, oderwani od ziemi obywatele nieskończonych wysokości, dzwony przebywające zbyt wysoko, zbyt odległe od nisko płaszczącej się ziemi, aż przestały na koniec bić, zatrzymane uroczystym uderzeniem podziemne' go wstrząsu organów i chłodną, oszalałą monotonią osiadających z powroterp gołębi. Dwa lata temu wuj powiedział mu, że jto ńic złego kłać, przeciwnie, że to jest nie tyfl5Tpotrzebne, ale wręcz niezastapione, lecz tak jak wszystkie rzeczy coś warte nabiera wagi, kiedy ma jakąś określoną granicę, a jeśli marnuje się przekleństwa dla byle głupstw, to wtedy, kiedy są naprawdę pilnie potrzebne, może ich zabraknąć więc powiedział: — Co ja tu robif, u diabła! i odpowiedział sobie, a odpowiedź była oczywista: nie był tu po to, żeby zobaczyć Lucasa — widział Lucasa — ale po to, żeby Lucas mógł go znów zobaczyć, jeśli zechce, spojrzeć mu w oczy nie znad brzegu zwyczajnej ludzkiej śmierci, ale z huku benzynowego płomienia wniebowstępowania. Ponieważ był wolny. Lucas już nie był jego odpowiedzialnością, on już nie był stróżem Lucasa —• tam Lucas go od tego uwolnił.

Pusta ulica nagle zapełniła się mężczyznami. Nie było ich jednak wielu, zaledwie kilkunastu, nagle i spokojnie zjawili się znikąd. Zdawało się jednak, że wypełniają całą ulicę, tarasują ją, zamykają jakby nie tylko po to, żeby nikt nie mógł

56

przejsć tamtędy, gdzie oni stali, przejść przez nią, użyć jej jako ulicy, ale po to, żeby nikt nie śmiał, nie ważył się nawet podejść dość blisko, aby wypróbować powagę zakazu, i po to, żeby zatrzymać ludzi na taką odległość, na jakiej zatrzymują się przed napisem "wysokie napięcie" czy "materiał wybuchowy". Znał ich, poznawał ich wszystkich, niektórych już nawet widział, przysłuchiwał się im dwie godziny temu w zakładzie fryzjera: młodzi mężczyźni albo tacy pod czterdziestkę, nieżonaci, bez rodzin, tacy, co brali sobotnią i niedzielną kąpiel u fryzjera, kierowcy ciężarówek, mechanicy z garażu, mechanik od maszyny łuszczącej nasiona bawełny, sprzedawca wody sodowej z drugstore'u i tacy, których widziało się jak tydzień długi wewnątrz albo w pobliżu domu gry, nie zajętych niczym określonym, właściciele samochodów i pieniędzy zarobionych nikomu dokładnie nie znanym sposobem i wydawanych podczas weekendów w burdelach Memphis i Nowego Orleanu; mężczyźni, których — jak twierdził wuj — można spotkać w każdym miasteczku Południa, którzy ani nigdy nie przewodzą zbiegowiskom, ani ich nie podżegają, ale zawsze stanowią jądro zbiegowiska gotowe przerodzić się w tłum. I zaraz zobaczył samochód, który też natychmiast rozpoznał nawet z tej odległości, nie znając go i doprawdy w gruncie rzeczy przestając się dziwić, jakim sposobem go rozpoznał, wysunął się sam na ulicę z osłaniającego go wejścia do kuźni, przeszedł przez jezdnię i stanął tuż za zbiegowiskiem nie czyniącym żadnego hałasu, tkwiącym tam tylko,

57

tarasującym chodnik przed ogrodzeniem więzienia i przelewającym się na jezdnię, kiedy samochód zajechał—nie szybko, lecz ostrożnie, godnie i niemal uroczyście, tak jak samochód powinien jeździć w niedzielę rano — podjechał do krawężnika przed więzieniem i zatrzymał się. Za kierownicą siedział zastępca szeryfa. Nie poruszył się, żeby wysiąść. Wtedy otworzyły się tylne drzwiczki i wysiadł szeryf, duży, potężny mężczyzna bez śladu otyłości, o małych, twardych, bladych oczach w zimnej, niemal łagodnej, uprzejmej twarzy, który nawet nie spoglądając na tłum odwrócił się i przytrzymał drzwiczki. Za nim wysiadł Lucas poruszając się powoli i sztywno, właśnie tak, jak może się poruszać człowiek, który spędził całą noc przykuty do oparcia łóżka — utykając trochę i potykając się, a zaraz na początku przy wychodzeniu zaczepiając głową o ramę drzwiczek, tak że, kiedy wysiadał, zgnieciony kapelusz spadł mu z głowy i potoczył się po chodniku prawie tuż pod jego nogi. Pierwszy to raz w ogóle zobaczył Lucasa bez kapelusza i w tej samej sekundzie uprzytomnił sobie, że może z wyjątkiem Edmondsa oni tu na ulicy są jedynymi białymi w całym okręgu, którzy widzieli kiedykolwiek Lucasa z odkrytą głową; przyglądał się: wciąż nachylony, tak jak wysiadł z samochodu, Lucas sztywno sięgnął po kapelusz. Ale już szeryf ruchem szerokim, choć zadziwiająco giętkim, podniósł go i podał Lucasowi, który się nie rozprostował, jakby nadal niezdarne macał za kapeluszem. Niemal od razu kapelusz powrócił do swego dawnego kształtu

i teraz już Lucas się wyprostował, stanął prosto, pochylił tylko głowę i twarz, czyszcząc kapelusz

O rękaw na przedramieniu szybko, lekko i dziarsko, ruchami jakby przy ostrzeniu brzytwy. A potem jego głowa i twarz też się uniosły i wyprostowały, a on gestem niezbyt okrągłym z powrotem włożył kapelusz na głowę, przesuwając go pod zwykłym kątem, co jednak kapelusz, zdawało się, zrobił sam z siebie, jakby Lucas tylko go tam podrzucił, i wyprostowany teraz w swoim czarnym ubraniu, też wygniecionym po tej nocy, którą Bóg wie jak spędził (z jednego boku od ramienia do kostek miał na ubraniu brudną smugę, jakby długo leżał na brudnej podłodze nie zmieniając pozycji i nie mogąc jej zmienić), Lucas spojrział na nich po raz pierwszy, a on pomyślał: Nareszcie. Nareszcie mnie zobaczy. — A za chwilę: Zobaczył mnie. I to wszystko. — A jeszcze za chwilę: Nie zobaczył nikogo —\ ponieważ ta twarz bynajmniej nie patrzyła na nich, jedynie w ich stronę, zuchwała i spokojna, przy czym równie mało w niej było urągliwości, co strachu: obca, obojętna, niemal zatopiona w myślach, niewzruszona i skupiona! oczy mrugały mu trochę od blasku słońca nawet wtedy, kiedy odezwał się ten głos, który przepłynął z jakiegoś miejsca po zbiegowisku — było to nabieranie tchu — i ktoś powiedział:

— Strąć mu go jeszcze, Hope. Strąć mu go teraz razem z głową.

— Idźcie stąd, chłopaki — powiedział szeryf.— Wracajcie do fryzjera. — I odwrócił się do Lucasa, mówiąc: — Dobra, chodźmy.

Więc to było wszystko, ta twarz jeszcze przez chwilę patrzyła nie na nich, tylko w ich stronę, i szeryf szedł już ku drzwiom więzienia, kiedy Lucas odwrócił się w końcu, żeby pójść za nim, a on, gdyby się trochę pospieszył, jeszcze by zdążył osiodłać Highboya i wyjechać z okólnika, zanim matka wysła Alecka Sandera, żeby go poszukał i zawołał na obiad. I nagle zobaczył, że Lucas się zatrzymuje i odwraca, i okazało się, że się przedtem mylił, bo Lucas wiedział, nawet zanim się odwrócił, gdzie on stoi w tym zbiegowisku, i zanim jeszcze odwrócił się na dobre, już wprost na niego patrzył i do niego mówił:

— Słuchaj no, młody człpwieku — powiedział Lucas. — Powiedz swojemu wujkowi, że ja go chcę zobaczyć.

A potem odwrócił się znów i poszedł za szeryfem dalej, wciąż jeszcze trochę sztywny, w swoim po- wycieranym czarnym ubraniu, w kapeluszu przekrzywionym zawadiacko i spłóviałym od słońca, a głos w tłumie odezwał się:

— Do diabła z adwokatem. Nie będzie potrzebował nawet grabarza, jak ci Gowrie załatwią się z nim dziś w nocy.

I głos pobiegł za szeryfem, więc z kolei teraz on się zatrzymał i odwrócony popatrzył na nich mówiąc swoim miękkim, zimnym, łagodnym, opanowanym głosem:

— Powiedziałem wam, ludzie, raz, żebyście- stąd poszli. Nie będę powtarzał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdyby zaraz rano prosto z zakładu fryzjera wrócił do domu i gdyby osiodłał Highboya natychmiast, kiedy tylko przyszło mu to do głowy, miałby już teraz za sobą dziesięć godzin drogi, pewno z pięćdziesiąt mil.

Teraz dzwony nie dzwoniły. O tej porze na ulicy spotykało się tylko ludzi idących na mniej uroczyste, mniej licznie uczęszczane nabożeństwo wieczorne, przechodzących powoli i godnie przez cieniem pociętą ciemność między latarniami, tak akuratnie przestrzegających niedzielnego, nieruchomego zawieszenia, że on i wuj mijali ich nie przyspieszając kroku, poznając każdego już z odległości kilku jardów, nie wiedząc, nie zastanawiając się, kiedy ani po czym, ani jak go poznali, nie potrzebując przedtem widzieć sylwetki ani słyszeć głosu; może wystarczała im do tego sama czyjaś obecność, sama atmosfera, a może jeszcze mniej — samo spotkanie, owa żywa obecność w określonym miejscu, o określonej porze określonego dnia może wystarcza, aby rozpoznać ludzi, z którymi i wśród których przeżyło się całe życie — wyprzedzali ich schodząc z płyt chodnika ha pas

trawy i zwracali się do nich po imieniu (robił to wuj), od czasu do czasu zamieniając z kimś parę słów, jakieś zdanie, i wracając na chodnik,

Ale dziś wieczorem ulica była pusta. Nawet same domy skupiły się ciasno, czujne i pełne napięcia niczym ludzie, którzy w nich mieszkali, ludzie, którzy (ci, co nie poszli do kościoła) w taki spokojny majowy wieczór zwykli zasiadać po kolacji jeszcze na chwilę na ciemnych gankach w fotelach na biegunach czy na wiszących ławeczkach i gawędzić cicho w rodzinnym kółku albo rozmawiać z siedzącymi na drugim ganku sąsiadami, jeśli domy stały dość blisko. Ale dziś wieczorem on i wuj minęli tylko jednego człowieka, który zresztą nigdzie nie szedł, tylko stał w furtce przed małym schludnym domkiem jak pudełeczko, wbudowanym w zeszłym roku pomiędzy dwa inne domy już przedtem stojące tak blisko siebie, że słycać było w jednym, kiedy w drugim w ubikacji ktoś spuszczał wodę (wuj wytłumaczył mu to: kiedy się człowiek urodzi i wychowa, i całe życie przeżyje w takim miejscu, gdzie nocą słycać tylko puszczyki, a o świcie koguty i żadnego innego głosu, co najwyżej w dni wilgotne, kiedy dwie mile niesie się odgłos rąbania drzewa u najbliższego sąsiada, to lubi się tak mieszkać, żeby było słycać i czuć ludzi wszędzie wokół, za każdym razem, kiedy spuszcza wodę albo otworzą puszkę łososia czy zupy), człowieka, który stał ciemniejszy niż mrok, a na pewno bardziej nieruchomy, farmera, co rok temu przeniósł się do miasta i teraz prowadził na jakiejś bocznej uliczce mały, nędzny

sklepik spożywczy o klienteli głównie murzyńskiej, i zobaczyli go już prawie mijając, a on ich od razu poznał, przynajmniej wuja, zanim jeszcze podeszli blisko; czekał na nich i zanim się przed nim znaleźli, już do wuja mówił:

— Nie za wcześnie, panie mecenasie? Chłopcy z czwartego podokręgu muszą jeszcze wydoić krowy i narąbać drzewa na jutro na ogień do śniadania, nim zjedzą wieczerzę i zjadą do miasta.

— Może się namyśla i niedzielny wieczór spędzą w domu — odpowiedział uprzejmie wuj przechodząc mimo, na co ten człowiek powiedział prawie zupełnie to samo, co dziś rano powiedział tamten u fryzjera (a on przypomniał sobie, że wuj kiedyś mówił, jak niewielu zaiste potrzeba człowiekowi słów, żeby mógł przeżyć swoje życie wygodnie, a nawet pomyślnie, i jak nie tylko jednostce, ale całemu jej typowi i rasie, i gatunkowi parę utartych komunałów wystarcza do wyrażania jej paru prostych namiętności, pragnień i żądz).

— Ano. To nie ich wina, że dziś niedziela. Ten skurwysyn powinien pomyśleć, zanim się wziął do zabijania białego w sobotę po południu. — A kiedy już odchodzili, zawołał za nim głośnie: — Dziś wieczór moja żona odrobinę niezdrowa, a i tak nie będę przecież wystawał przed więzieniem i się gapił. Powiedzcie im, niech zawołają, jak im będzie kogo trzeba do pomocy.

— Przypuszczam, panie Lilley, że już oni wiedzą, że mogą na pana liczyć — powiedział wuj. Szli dalej. — Widziałeś? — zapytał wuj. — Nie ma

nic przeciwko, jak to on ich nazywa, "czarnuchom". Gdybyś go o to zapytał, pewno by ci odpowiedział, że nawet ich woli od niektórych białych, i wierzyłby w to, co mówi. Na pewno stale go oszukują w sklepie o parę centów na. tym i na owym i może czasami coś ściągną: gumę do zucia czy farbkę, jakiegoś banana, puszkę sardynek, parę sznurowadeł albo flaszkę płynu do prostowania włosów, i wynoszą to wszystko pod fartuchami i kurtkami, a on o tym dobrze wie i może sam im daje rozróżne rzeczy darmo, jakieś kości, niezupełnie już świeże mięso z lodówki, pokruszone cukierki czy kawałek słoniny. Tego od nich tylko wymaga, żeby się zachowywali jak czarni. I właśnie tak się zachował Lucas, kiedy coś mu się pomieszało w głowie i zamordował białego — na co, według opinii pana Lilley, każdy Murzyn ma ochotę — a teraz biali wywloką go i spalą, wszystko w granicach przyjętych reguł i przyjętego porządku, właśnie tak, jak, według jego opinii, Lucas może sobie życzyć, żeby postąpili, -jak przystało na białych, i obie strony bez protestu podporządkują się regułom, czarny postąpił jak czarny, a biali jak biali, i nikt do nikogo właściwie nie będzie miał żalu (skoro pan Lilley nie należy do Gowrie'ch), kiedy minie podniecenie; prawdopodobnie okaże się, że pan Lilley sam zapoczątkuje' składkę na pogrzeb Lucasa i na wsparcie dla żony Lucasa i jego dzieci, gdyby je Lucas miał. Czyli mamy jeszcze jeden dowód na to, że nikt nie jest w stanie spowodować więcej zła, niż człowiek ślepo czepiający się występków swoich ojców.

Stąd już widzieli Rynek, też bezludny — amfiteatr ciemnych sklepów, smukły, biały stożek pomnika Żołnierza Armii Konfederacji na tle masywnego gmachu sądu niewyraźnie wznoszącego się na kolumnach ku blademu sześcianowi z czterema tarczami zegara, oświetlonymi każda jedną słabą żarówką jarzącą się równie nieustępliwie, jak świętojański robaczek przed każdym z tych czterech upartych mechanicznych krzyków zaklęcia i ostrzeżenia. Zbliżyli się do więzienia i w tej samej chwili z błyskiem i z blaskiem, z karuzelą świateł i z grzmotem motoru, jednocześnie nikłym wśród obszaru nocy i bezludzia miasta i zuchwałym, wypadło nie wiadomo skąd jakieś auto i zatoczyło krąg wokół Rynku, a jakiś głos, głos młodego mężczyzny, wrzasnął z tego auta, ale nie wrzasnął słów, nie wrzasnął choćby jednego słowa, bo był to wrzask-sygnal bez słownego znaczenia, i auto popędziło dalej, objeżdżając Rynek, zamykając krąg tam, gdzie go otworzyło — nie wiadomo gdzie, i niknąc. Skręcili do więzienia.

Gmach więzienia zbudowany był z cegły, prostokątny, utrzymany w dobrych proporcjach, z czterema ceglanyimi kolumnami w głębokim bas-reliefie fasady i nawet ceglanyimi gzymsami pod okapem, ponieważ był to stary budynek, wzniesiony w latach, kiedy nie żałowano jeszcze czasu, aby nawet więzienie zbudować z wdziękiem i staraniem, więc on przypomniał sobie, co wuj kiedyś powiedział: że nie sądy i nawet nie kościoły, ale więzienia są prawdziwymi dokumentami historii jakiegoś okręgu, jakiegoś społeczeństwa, bo

nie tylko tajemnicze, zapomniane litery, słowa i nawet zdania, te krzyki groźby i oskarżenia wy drapane paznokciami w ścianach, ale same cegły i kamienie tych ścian przechowały, nie rozstrzygając, lecz odkładając rozstrzygnięcie na przyszłość, niezatarte i rozkazujące, pełne siły i nie cichnące krzyki męki, hańby i bólu, którymi kiedyś serca — dziś już od dawna bezimienny i zapomniany proch — drżały i od których może kiedyś pękły. Słowa wuja mówiły na pewno prawdę w odniesieniu do tego więzienia, bo ono i jeden z kościołów były najstarszymi budowlami tego miasta, a gmach sądu i wszystko inne w całym mieście i na Rynku zostało kiedyś spalone do szczytu przez okupacyjne wojska federalne po bitwie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku. I jeszcze dlatego, że na jednej z szyb w półkolistym okienku przy drzwiach wy drapane było imię pewnej dziewczyny, w tymże samym roku własną jej ręką wypisane na szkłe przy pomocy diamentu, a on sam czasami dwa albo trzy razy do roku wchodził na ganek więzienia, żeby na nie popatrzeć — tajemnicze było teraz, kiedy czytało się je z tej strony okna, niby odwrócone lustrzane odbicie — me dla posmakowania przeszłości, lecz po to, żeby odnowić w sobie wiedzę, że młodość jest wiecznotrwała, nieśmiertelna i niezmienna; było to imię jednej z córek ówczesnego dozorca więzienia (a wuj, który umiał wszystko wytłumaczyć nie za pomocą faktów, skoro dawno już wyszedł poza suchą statystykę faktów w coś, co przemawiało daleko silniej będąc prawdą, przemawiało daleko silniej i poruszało do głębi, i nie miało nic wspólnego z tym, co mówiła nędzna, poparta dowodami informacja, więc wuj i to mu opowiedział: że ta część Missisipi była wówczas bardzo młoda jako miasto, siedziba społeczeństwa liczącego sobie nawet nie pięćdziesiąt lat istnienia, i że wszyscy ludzie, jacy się tu osiedlili, osiedlili się nawet nie przed tylu laty, ile liczył sobie choćby najstarszy spośród nich, i pracowali razem, żeby to społeczeństwo zabezpieczyć, spełniając prace tak najpodlejsze, jak i najzaszczytniejsze nie dla zapłaty czy dla celów politycznych, ale po to, żeby ukształtować kraj dla przyszłych pokoleń, tak że każdy mógł być dozorcą więzienia czy karczmarzem albo kowalem czy sprzedawcą warzyw, a nadal pozostawał kimś, kogo prawnik, plantator, doktor czy pastor nazwaliby dżentelmenem), a więc było to imię jednej z córek dozorca więzienia, która tamtego popołudnia stała przy oknie patrząc, jak poszarpane niedobitki brygady Konfederacji wycofują się przez miasto, i nagle z tego oddalenia spotkała oczami spojrzenie obdartego i zarośniętego porucznika prowadzącego jedną z rozbitych kompanii, a nie wydrapała na szkłe i jego imienia nie dlatego jedynie, że młoda dziewczyna z tamtych czasów nigdy by tego nie zrobiła, ale i dlatego, że jeszcze wtedy go nie знаła, chociaż sześć miesięcy później miał zostać jej mężem.

Prawdę mówiąc, to więzienie wciąż jeszcze wyglądało jak rezydencja, ze swoim balkonem

o drewnianej balustradzie, biegnącym wzdłuż całego budynku na wysokości parteru. Nad balkonem jednak ceglana ściana nie miała okien prócz jednego wysokiego, zakratowanego prostokąta, więc znów pomyślał o niedzielnych wieczorach, które w tej chwili zdawały się należeć do czasów równie martwych jak czasy Niniwy, o wieczorach, kiedy to od kolacji aż do momentu, gdy dozorca gasi światło, ze schodów krzycząc na nich, żeby byli cicho, czarne giętkie dłonie kładły się na szorstkich kratkach, a aksamitne, pogodne, bez troskie głosy pokrzykiwały w dół, ku kobietom w fartuchach kucharek czy nianiek i dziewczynom ubranym w jaskrawe, tanie suknie z domów towarowych wysyłających zamówienia pocztą albo ku innym chłopakom, tym, których jeszcze nie schwytano czy też schwytano wcześniej i wczoraj wypuszczono, ku wszystkim zebranych na ulicy. Ale dziś wieczorem nikogo tutaj nie było i nawet cęła za okratowanym prostokątem była ciemna, chociaż jeszcze nie wybiła ósma, a on, jakby na nich patrzył, tak dokładnie mógł sobie wyobrazić, jak siedzą może nawet nie stłoczeni, ale na pewno wszyscy razem, blisko siebie, ramię przy ramieniu, bądź to dotykając się, bądź nie, i na pewno cicho siedzą, nie śmieją się dzisiaj ani nie rozmawiają, siedzą po ciemku i patrzą tam, gdzie kończą się schody, gdyż nie pierwszy to raz może nadejść chwila, kiedy dla tłumu białych ludzi nie tylko wszystkie czarne koty w ciemności stają się szare, ale kiedy ten tłum przestaje nawet zawracać sobie tym głowę, ile tych kotów jest.

Do tego jeszcze frontowe drzwi więzienia były otwarte, otwarte szeroko na ulicę, czego nigdy dotąd nie widział nawet w lecie, chociaż na parterze znajdowało się mieszkanie dozorca więzienia; na krześle, oparty o ścianę w głębi, tak że twarzą zwrócony był w stronę drzwi i dobrze widoczny z ulicy, siedział ktoś, kto nie był ani dozorcą więzienia, ani żadnym z ludzi szeryfa. On go, oczywiście, poznał: był to Will Legate, właściciel małej farmy o dwie mile za miastem, jeden z najlepszych drwali, najcelniejszy strzelec i myśliwy na jelenie w całym okręgu, siedział na przechylnym krześle i trzymał przed sobą barwną stronę komiksów z dzisiejszego numeru gazety wychodzącej w Memphis, a obok siebie oparł o ścianę nie tę wysłużoną strzelbę, z której ustrzelił więcej jeleni (a nawet królików w pędzie), niż nawet on mógłby spamiętać, ale dubeltówkę, i najwidoczniej nie opuszczając wcale czy uchylając gazety już ich zobaczył i poznał, jeszcze zanim skręcili w bramę, a teraz przyglądał się spokojnie, kiedy się zbliżali dróżką i wchodzili na schodki, przeszli przez ganek i weszli, w którym to momencie w drzwiach na prawo zaraz pojawił się sam dozorca więzienia — zrzędny, niechlujny człowieczek z brzuchem jak fasa, z zaszczutą, zawziętą, złą twarzą, z ciężkim pistoletem wiszącym u pasa ładunkowego, który obejmował mu brzuch i robił wrażenie tak niewygodnego, jak żelazna obroża niewolnika z piątego wieku, i tak nie na miejscu, jak nie na miejscu byłby na przykład w tej sytuacji cylinder — zamknął za

sobą drzwi, już od tych drzwi krzyząc do wuja:

— Nic dbce nawet zamknąć i zaryglować drzwi] Rozsiadł się tu z tym swoim cholernym komiksem i czeka, aż wiezie, kto tylko będzie chciał!

— Robię to, co mi kazał pan Hampton — powiedział Will Legate swoim uprzejmym, opanowanym głosem.

— Może Hampton sobie wyobraża, że ten komiks zatrzyma tamtych z podokręgu czwartego?! — wrzeszczał dozorca więzienia.

— Coś mi się nie zdaje, żeby od się na zapas martwił o podokrąg czwarty — odpowiedział Legate wciąż uprzejmie i spokojnie.—To ma być na użytek miejscowy.

Wuj spojrział na Legate'a.

— Zdaje się, że to działa. Widzieliśmy, jak ten samochód, chyba nie pierwszy i nie ostami, okrążył Rynek, kiedy przechodziliśmy. Myślę, że i tutaj już bji

— Och, raz czy dwa — powiedział Legate. — Może trzy razy. Naprawdę nie uważałem.

— Do wszystkich diabłów! Niech tylko przestanie działać — zauważył dozorca więzienia. — Już to pewne, że ty nikogo nie nastraszysz tą jedną dubeltówką.

— Ba — powiedział Legate — wcale nie mam zamiaru. Jak kupa ludzi nabije sobie czym głowę i me da tobie tego z tej głowy wybić, to mi się nie zdaje, żeby im kto mógł przeszkodzić w tym, co sobie umyśli. Ale od czego mam tu ciebie z tym twoim pistoletem?

— Mnie?!—wrzasnął dozorca więzienia.—Za

— "■ +jmm* Wra-n^ UJ 1 "gf u-
mom?l I o jednego czarnego! Żeby nie to, żeś głupi, też byś się w to nie pchał.

— Ba—powiedział Legate swoim swobodnym, uprzejmym tonem — ja muszę. Muszę stawić opór. Pan Hampton płaci mi za co pięć dolarów.— Po czym zwrócił się do wuja: — Zdaje się, że pan chce go odwiedzić.

— Tak — powiedział wuj — jeżeli pan Tubbs nie ma jakichś zastrzeżeń.

Dozorca więzienia wlepił w wuja oczy wściekły i pogiębiony.

— J pan musi się w to pakować! Jakby nie lepiej było dla pana nie wtrącać się do tego. — Szybko się odwrócił. — Chodźmy.

I wprowadził ich drzwiami, obok których oparte było krzesło Legate'a, do sieni od tyłu, skąd klatka schodowa wiodła na piętro, przekreślił kontakt u wejścia na schody i wszedł na me, za nim wuj, a za wujem on przyglądając się wznoszeniu i opadaniu kabury na biodrze dozorca więzienia. Sądził mu się wydało, że dozorca więzienia chce się zatrzymać, i nawet wuj pomyślał ok samo, zatrzymując się już, ale dozorca więzienia szedł dalej i powiedział przez ramię:

— Sie zważajcie na mnie. Zrobię, co będę mógł. Ja też składałem urzędową przysięgę. — Głos jego podniósł się nieco, wciąż jeszcze spokojny, tylko trochę dooświejszy.—Ale mech się wam nie zdaje, że na czyjś rozkaz powiem, że mi nie to podoba. Mam żonę i dwoje d/iniakrm,

co im z tego przyjdzie, jak mnie zakatrupią, kiedy będę bronił cholernego śmierdzącego czar-nucha? — Jego głos jeszcze się podniósł i nie był już spokojny. — A jak będę wyglądał, jeśli dam sobie odbić więźnia bandzie wściekłych skurwysynów?! Teraz zatrzymał się i odwrócił stojąco stopień wyżej od nich, wyżej niż oni obaj, z twarzą znów udreńczoną i wściekłą, mówiąc głosem wściekłym i udreńczonym: — Lepiej by było dla wszystkich, gdyby go załatwili wczoraj, jak go tylko złapali...

— Ale go nie załatwili 7- powiedział wuj. — Myślę, że tego nie zrobią. A jak i zrobią, nie o to przecież idzie. Albo zrobią, albo nie zrobią. Jak nie zrobią, wszystko będzie w porządku, a jak zrobią, i my zrobimy, co będziemy mogli, pan i pan Hampton, i Legate, i my wszyscy; co trzeba i co będziemy mogli. Więc nie mamy się czym martwić. Jasne?

— Jasne — powiedział dozorca więzienia, odwrócił się i poszedł dalej, odczepiając kółko z kluczami od paska pod pas, em ładunkowym, po czym zatrzymał się u samej góry klatki schodowej, zamkniętej ciężkimi dębowymi drzwiami (Drzwi — masywna bryła ręcznie obrobionego drzewa grubego ponad dwa cale — zamknięte były na ciężką nowoczesną kłódkę wiszącą u żelaznej sztaby również ręcznej roboty, przesuniętą przez dwa żelazne ucha, które, jak i masywne zawiasy w kształcie rozet, też były wykute ręcznie — wykute więcej niż sto lat temu w kuźni po drugiej stronie ulicy, tam gdzie wczoraj stał; w zesłym

roku w lecie pewnego dnia jakiś obcy, jakiś człowiek z dużego miasta, architekt, który czymś przypominał mu wuja, z gołą głową i bez krawata, ubrany w tenisówki i stare flanelowe spodnie, wioząc jeszcze niezupełnie opróżnioną skrzynkę szampana ze sobą w swoim otwartym samochodzie, który musiał kosztować ze trzy tysiące dolarów, nie tyle przejeżdżał przez miasto, ile wjechał na nie i nawet właściwie nikogo nie skrzywdził, a po prostu wpakował się z autem na chodnik, przejechał przez ten chodnik i utkwiał w oknie wystawowym zupełnie pijany, z niezmaconym humorem, nie mając w kieszeni gotówką nawet całych pięćdziesięciu centów, ale za to wszelkiego rodzaju legitymacje i książeczkę czekową, której odcinki wskazywały na konto w nowojorskim banku, przewyższające sześć tysięcy dolarów, i domagał się, żeby go zamknęli w więzieniu, chociaż komendant policji i właściciel tego okna wystawowego usiłowali go namówić, żeby poszedł do hotelu i się wyspał, żeby mógł wypisać czek na wartość tego okna i tej ściany, aż wreszcie komendant policji zamknął go w więzieniu, gdzie tamten natychmiast usnął jak dziecko; auto za* brano do garażu, a na drugi dzień z samego rana, o piątej, dozorca więzienia już dzwonił do komendanta policji, żeby przychodził i zabierał sobie tego człowieka, bo ten człowiek postawił całe więzienie na nogi rozmawiając ze swojej celi z Murzynami z celi ogólnej.-Komendant policji przyszedł i kazał tamtemu opuścić więzienie, a wtedy jemu się zachciało wyjść na roboty ulicz-

ne razem z brygadą więźniów, na co mu jednak nie pozwolili; i jego auto było już gotowe, a on wciąż nie chciał wyjechać i tę drugą noc spędził w hotelu; jeszcze na trzeci wieczór wuj przyprowadził go do domu na kolację, przy której on i wuj rozmawiali przez trzy godziny o Europie, Paryżu i Wiedniu, a on z matką przysłuchiwał się, chociaż ojciec się od tego wymówił. Dwa dni później wciąż jeszcze ten obcy był w mieście, wciąż jeszcze usiłował od wuja, burmistrza i radnych miejskich, a wreszcie od samej Rady Nadzorczej kupić całe te więzienne drzwi albo, jeśli się na to nie zgodzą, kupić przynajmniej tę sztabę, ucha i zawiasy), które teraz dozorca rozryglował i otworzył.

Ale już przedtem wyszli ze świata człowieka, ze świata ludzi — ludzi, którzy pracowali i mieli ogniska domowe, zakładali rodziny i starali się zarobić może trochę więcej pieniędzy, niż się im należało, oczywiście uczciwymi sposobami czy też przynajmniej sposobami nie wykraczającymi przeciwko prawu—żeby móc coś niecoś wydać na rozrywki i jeszcze coś niecoś odłożyć na starość. A teraz, natychmiast kiedy dębowe drzwi się przed nimi otworzyły, jakby powiało i rzuciło się na niego zatechłe tchnienie całego ludzkiego upadku i hańby — fetor lizolu i ekskrementów, kwaśnych wymiotów, ustawicznej recydywy i zuchwałości, i wyłączenia poza nawias społeczeństwa, smród niemal dotykalny, stawiający im opór, kiedy wspinali się na ostatnie stopnie schodów i wchodzili do korytarza będącego właściwie częścią celi ogólnej, "zagrody dla bydła", odciętej od reszty przestrzeni ścianą z drucianej siatki niby wybieg dla drobiu czy psiarnia, wewnątrz której na piętrowych pryczach pod ścianą w głębi leżało nieruchomo pięciu Murzynów — oczy mieli zamknięte, ale nie słychać było chrapania, nie słychać było nic, leżeli na tych pryczach nieruchomi, porządnie i spokojnie pod zapyłonym światłem jedynej, nie osłoniętej niczym żarówki, jak zabalsamowani, i dozorca więzienia znów się zatrzymał, a on wczepił się dłońmi w siatkę, wlepiając oczy w te nieruchome postacie.

— Patrz pan na nich — powiedział dozorca swoim głosem zbyt wysokim, zbyt cienkim, o włos tylko oddzielonym od histerycznego pisku. — Łagodni jak baranki, ale żaden ze skurwysynów nie śpi. Wcale się im nie dziwię, kiedy cała kupa białych aż się gotuje tu o północy z pistoletami i bańkami benzyny. — Odwrócił się i poszedł dalej. — Chodźmy.

Tuż zaraz w tej siatce były drzwi bez kłódki, po prostu zamknięte na haczyk, jak się zamyka psiarnię albo szopę na kukurydzę, ale dozorca więzienia je minął.

— Więc wsadziliście go do osobnej celi, co? — zapytał wuj.

— Hampton kazał — powiedział przez ramię dozorca więzienia. — Nie wiem, jak się to spodoba następnemu białemu, jak któremu teraz przyjdzie do głowy sobie ulżyć i kogoś zabić. Na wszelki wypadek zabrałem z pryczy koce.

— Może dlatego zabrałeś pan, że on się tu nie doczeka spania — powiedział wuj.

— Ha, ha — roześmiał się dozorca więzienia, wydobywając ze siebie głos zdenerwowany, wysoki i ochryply, niewesoły. — Ha, ha, ha. — A on idąc za wujem pomyślał, jak to ze wszystkich spraw ludzkich morderstwo najbardziej potrzebuje odosobnienia, i że chociaż człowiek jest gotów zrobić prawie wszystko, żeby zapewnić sobie odosobnienie wtedy, kiedy się wypróżnia, czy wtedy, kiedy kocha, to jednak nie cofnie się przed ostatecznością, jeśli tego trzeba, żeby nikt nie widział, gdy bierze życie, nie cofnie się nawet przed morderstwem, mimo że żadnym czynem nie mógłby bardziej doszczętnie i nieodwołalnie tego odosobnienia zniszczyć; te drzwi były nowoczesne, stalowe, okratowane, z wpasowanym zamkiem wielkości damskiej torebki, który dozorca więzienia otworzył innym kluczem z kółka, po czym odwrócił się i kroki jego zabrzmiały tak prędko, jakby z powrotem przez korytarz już biegł, aż huk zatraskiwanych dębowych drzwi u szczytu schodów odciął od wuja i od niego te jego prędkie kroki, a za stalowymi drzwiami pozostała cela oświetlona również jedną słabą, zakurzoną, popstrzoną przez muchy żarówką, osłoniętą drucianą siatką wiszącą u sufitu, cela nie większa niż komórka na szczotki i dokładnie na tyle szeroka, aby pomieścić pod ścianą piętrową pryczę, z której obu legowisk nie tylko same koce, ale i materace zdarto, cela, w której, wchodząc za wujem, widział wciąż jeszcze tylko to, co mu się pierwsze rzuciło w oczy: ten kapelusz i czarny płaszcz, powieszony porządnie na gwoździu w ścianie, i będzie sobie przypominał kiedyś potem, jak to w tej chwili pomyślał zachłystując się, dławiąc od ulgi: Już go wzięli. Nie ma go. Za późno. Już po wszystkim, a to dlatego, że sam nie wiedział, czego oczekiwał, wiedział tylko, że nie tego, co zobaczył: starannie rozpostarta gazeta schludnie okrywała obnażone sprężyny dolnej pryczy, drugi arkusz gazety równie starannie rozłożony był na górnej pryczy, żeby osłonić oczy Lucasa od światła, a sam Lucas leżał na dolnej pryczy na tej rozpostartej gazecie i spał, leżał na wznak, jeden but podłożył sobie pod głowę zamiast poduszki, ręce złożone miał na piersiach i spał zupełnie spokojnie albo też tak spokojnie, jak śpią starzy ludzie — z otwartymi ustami i oddychając słabymi płytkimi i urywanymi westchnieniami; a on stał w fali prawie nie dającej się znieść nie tyle już obrazy, co wściekłości, patrząc w dół na tę twarz, która pierwszy raz — przynajmniej choć przez moment bezbronna — ukazywała swoją starość, i na te rozprężone, bezwładne, węzlaste dłonie starego człowieka, które nie dalej jak wczoraj posłały zdradziecko, w plecy, kulę innemu człowiekowi, a teraz leżały spokojne i nieruchome na gorsie staromodnej, plisowanej białej koszuli, bez kołnierzyka, zapiętej pod szyją na oksydowany miedziany guzik w kształcie strzały, prawie tak duży jak głowa niewielkiego węża, i myślał: Mimo wszystko on jest tylko zwykłym czarnym, mimo zadzierania nosa i sztywnego karku, i swojej złotej dewizki, i mimo tego, że nawet jeśli mówi do kogoś: “panie”, wzbrania się brać to

poważnie. Tylko czarny może zabić człowieka, nie mówiąc już o tym, że tylko czarny może zabić człowieka strzelając z tyłu, a potem spać spokojnie jak niemowlę, kiedy tylko znalazł wystarczająco płaskie miejsce, żeby się móc położyć. I wciąż patrzył na Lucasa, kiedy już Lucas zamknął usta i podniósł powieki nie robiąc poza tym żadnego ruchu, podniósł powieki i jego oczy spoglądały jeszcze przez chwilę w górę, a potem, choć wcale nie poruszył głową, poruszyły się same gałki jego oczu i Lucas patrzył już na wuja, i wciąż wcale się nie ruszał, tylko leżał i patrzył na wuja.

— No i co, stary? — zapytał wuj. — Narobiłeś w końcu bigosu.

Wtedy Lucas się poruszył. Uniósł się i usiadł sztywno, sztywno zwiesił nogi z krawędzi pryczy, podnosząc jedną nogę oburącz za kolano i wahadłowym, półkolistym ruchem, jakby otwierał czy zamykał zwisające z zawiasów drzwiczki, zwiesił ją na podłogę pojękując i pochrząkując, co prawda niegłośno, ale swobodnie i bez skrępowania, właśnie swobodnie, jak starzy ludzie pojękują i postępują od jakiegoś zadawnionego i znajomego niewielkiego zeszywnienia, do którego już tak przywykli i przyzwyczaili się, że nawet przestało być bolesne, i z którego, gdyby ich nawet kiedy wyleczono, czuliby się ograbieni, i bez którego byłoby im nieswojo; a on wciąż słuchał i patrzył z wściekłością, a teraz jeszcze ze zdziwieniem, jak ten morderca, nad którym wisi nie tylko cień szubienicy, ale cień tłumy żadnego linczu, nie dość że traci czas na pojękiwanie z powodu sztywnego krzyża, ale robi to, jakby jeszcze miał przed sobą całe długie życie aż do naturalnej śmierci, i aby się o tym życiu upewnić, każdy ruch wykonuje według dawnego, znajomego nawyku.

— Tak to wygląda — odpowiedział Lucas. — Dlatego po pana posyłał. Co chcecie ze mną zrobić?

— Ja? — powiedział wuj. — Ja nic z tobą nie chcę zrobić. Ja nie nazywam się Gowrie. Ani nie jestem nawet czwartym podokręgiem.

Lucas znów sztywno nachylił się i rozejrzał za czymś koło swoich stóp, a potem sięgnął pod pryczę, wyciągnął drugi but, wyprostował się z powrotem i zaczął się odwracać sztywno i z trzeszczeniem kości, żeby spojrzeć za siebie, kiedy wuj ubiegł go, wyciągnął rękę, wziął ten pierwszy but z pryczy i upuścił go koło tamtego drugiego. Lucas jednak ich nie włożył, tylko wyprostował się znów i siedział nieruchomy, z dłońmi na kolanach, mrugając, potem jedną ręką zrobił ruch odprawiający w zupełną nicość Go- wrie'ch, tłum, pomstę, całopalenie i wszystko.

— Będę się tym martwił, jak tu przyjdą — powiedział. — Teraz mi o prawo chodzi. Jest pan tu adwokatem?

— Och — powiedział wuj. — To prokurator okręgowy cię powiesi czy wyśle na ciężkie roboty do Parchman, nie ja.

Lucas wciąż mrugał, ale nie szybko, tak sobie, spokojnie, a on patrzył na Lucasa. Nagle zobaczył, że Lucas wcale nie patrzy na wuja i najwidoczniej nie patrzy już ze trzy czy cztery sekundy.

- Aha — powiedział Lucas. — To może pan wziąć moją sprawę.
— Twoją sprawę? Bronić ciebie przed sądem?
— Ja zapłacę — powiedział Lucas. — Może się pan nie martwić.
— Nie bronię morderców, co strzelają z tyłu do ludzi — powiedział wuj.
Znów Lucas zrobił ten sam ruch jedną ze swoich czarnych węzlastych rąk.
— Zostawmy sądy. Jeszcze do tego daleko.

Teraz widział, że Lucas patrzy na wuja, nachylił głowę, tak że patrzył na wuja od dołu, spod szpakowatych kęp brwi — spojrzeniem chytrym, tajemniczym i znaczącym. I Lucas powiedział:

- Potrzebuję kogoś nająć, żeby... — i urwał.

A on przyglądając się Lucasowi pomyślał i przypomniał sobie pewną nie żyjącą już staruszkę, starą pannę, sąsiadkę, która nosiła farbowaną perukę i na półce w spiżarni zawsze miała wielki talerz herbatników domowego wypieku dla wszystkich dzieciaków z całej ulicy i która jednego roku (nie mógł mieć wtedy więcej niż siedem, osiem lat) nauczyła ich grać w pięćset — w upalne letnie przedpołudnia siadali przy stoliku do kart u niej, na osłoniętym bocznym ganku, a ona śliniąc palce wyjmowała z ręki jedną kartę i kładła ją na stole, nie trzymając, oczywiście, wciąż tej ręki nad nią, ale kładąc ją tak sobie, obok, póki ten, na którego była kolej, nie zdradził, nie wyraził jakimś gestem czy poruszeniem swojego tryumfu albo radości, czy też może tylko przyspieszonym, gorączkowym oddechem wydał się z chęcią zapowiedzenia ataku albo przebicia karty położonej przez nią, na co ona wtedy mówiła szybko: "Chwileczkę. Pomyliłam się", i zabierała swoją kartę, wkładała ją z powrotem do drugiej ręki i wychodziła z innej. Dokładnie to samo zrobił Lucas. Już przedtem siedział bez ruchu, ale teraz zupełnie zamarł. Zdawało się, że nie oddycha.

. — Nająć kogoś? — zapytał wuj. — Adwokata już masz. Jeszcze zanim tutaj przyszedłem, podjąłem się twojej obrony. Powiem ci, co masz robić, kiedy tylko ty mi opowiesz, jak to było.

- Nie — powiedział Lucas. — Potrzebuję kogoś nająć. To nie potrzebuje być adwokat. Teraz wuj patrzył na Lucasa.
— Po co?

A on na nich patrzył. To nie była dziecinna partia pięćset bez pieniędzy. To bardziej było podobne do partii pokera.

- Zrobi pan to czy nie? — zapytał Lucas.

— Aha, nie powiesz mi, co chcesz, żebym zrobił, zanim się nie zgodzę tego zrobić — powiedział wuj. — 'Dobrze. To teraz ja ci powiem, co masz robić. Dokładnie mi opowiedz, co to się tam wczoraj wydarzyło.

— To pan nie chce tego zrobić — powiedział Lucas. — Jeszcze pan nie powiedział ani tak, ani nie.

— Nie! — powiedział wuj ostro, zbyt głośno, opanowując się, ale za późno, bo już mówił dalej, zanim jeszcze zniżył głos do wściekłego, dobitnego spokoju. — Dlatego że zupełnie nie masz do

czego kogoś najmować. Siedzisz w więzieniu i tylko łaska boska może powstrzymać tych cholernych Gowrie'ch, żeby nie wywlekli cię stąd i nie powiesili na pierwszej napotkanej latarni. A przede wszystkim tego, że ci się w ogóle pozwolili dostać do miasta, zupełnie nie mogę zrozumieć...

— To teraz nieważne — powiedział Lucas. — Teraz potrze...

— To nieważne? — powtórzył wuj. — Powiedz Gowrie'm, kiedy się włamią tu dziś w nocy, że to nieważne, powiedz całemu podokręgowi czwartemu, że nie ma o czym mówić... — Urwał. Znow, jeśli się dobrze uważało, można było niemal zobaczyć, jak nagina swój głos na powrót do owej wściekłej cierpliwości. Zaczerpnął głęboko powietrza i odetchnął. — No więc. Opowiedz mi dokładnie, co to się wczoraj wydarzyło.

Jeszcze przez chwilę Lucas nie odpowiadał, siedział na pryczy nieporuszony i spokojny, z dłońmi na kolanach, nie patrząc już na wuja, lekko poruszając ustami, jakby coś obracał na języku, smakując. Powiedział:

— Było ich dwóch. Wspólnicy z tartaku. Tyle że kupowali drzewo z tartaku, już porżnięte...

— Kto to był? — zapytał wuj.

— Jeden to Vinson Gowrie.

Wuj długo nie spuszczał oczu z Lucasa. Ale jego głos był teraz zupełnie spokojny.

— Lucas — powiedział — czy ci kiedykolwiek przyszło do głowy, że jakbyś tylko do białych ludzi mówił: "proszę pana", i mówił to tak, jakbyś to brał poważnie, to może byś tu teraz nie siedział?

— To mam teraz zacząć — powiedział Lucas. — Mogę zacząć od tych, co mnie stąd wywloką i rozpalą pode mną ognisko.

— Nic ci nikt nie zrobi — powiedział wuj — zanim nie staniesz przed sądem. Nie wiesz, że nawet czwarty podokręg nie pozwala sobie za dużo przy panu Hamptonie?... a przynajmniej tu, w mieście?

— Szeryf Hampton teraz w domu, w łóżku.

— Ale pan Will Legate siedzi w sieni ze strzelbą.

— Nie znam ja żadnego Willa Legate'a. #

— Tego myśliwego? Tego, co trafia królika w biegu ze strzelby kalibru trzydzieści trzy? Co poluje na jelenie?

— Hm — mruknął Lucas — ci Gowrie to nie jelenie. To żbiki i pantery, ale nie jelenie.

— Dobrze — powiedział wuj. — Zostanę tu z tobą, jeśli ci tak będzie różniej. Ale wracajmy do rzeczy. Mów dalej. Vinson Gowrie i jakiś drugi razem kupowali drzewo. Jaki drugi?

— Jak dotąd, to tylko o Vinsonie Gowrie'm wiadomo.

— I zrobiło się o nim wiadomo, jak zginął w biały dzień od kuli, którą dostał z tyłu — powiedział wuj. — Hm, i to też jest sposób. Ale mniejsza. Kto to był ten drugi?

Lucas nie odpowiedział. Nie poruszył się, może nawet nie usłyszał pytania, siedział spokojnie i nie

' słuchał, i naprawdę to nawet nie czekał, siedział sobie, a wuj mu się przyglądał. Potem wuj powiedział:

— Dobrze. Co oni robili z tym drzewem?

— Tartak rznął to drzewo i oni układali w sągi, żeby wszystko razem sprzedać, jak będzie już porżnięte. Ale ten drugi odciągał to drzewo w nocy, przyjeżdżał ciężarówką, jak już było całkiem ciemno, ładował pełno i ciągnął do Glasgow czy Holymount, i sprzedawał, a dolary chował do swojej kieszeni.

— Skąd wiesz?

— Widziałem go. Podpatrzyłem.

I_# on ani przez chwilę w to nie wątpił, bo pamiętał Ephraima, ojca Paralee, starego owdowiałego Murzyna, który przed śmiercią całe dni spędzał na przerywanej drzemce, zagłębiony w bujanym fotelu na ganku chaty Paralee w lecie i w zimie przed ogniem, a nocami się włóczył po drogach, bez określonego celu, po prostu dla samego włóczenia, czasami oddalając się pięć i sześć mil od miasta i wracając o świcie, żeby znów przedrzemnąć cały dzień w tym fotelu.

— Dobrze — powiedział wuj. — Co dalej?

— To wszystko — powiedział Lucas. — Tylko tyle, że wykradał ciężarówką drzewo co noc albo prawie.

Wuj wpatrywał się w Lucasa może z dziesięć sekund. Wreszcie powiedział tonem cichego, -zupełnie niemal stłumionego zdziwienia:

— A ty wzięłeś swój pistolet i poszedłeś zrobić z tym porządek. Ty, czarny, wzięłeś pistolet i poszedłeś między dwóch białych naprawiać zło. Czego się spodziewałeś? Czego innego mogłeś się spodziewać?

— Nieważne, czego się spodziewałem — powiedział Lucas. — Teraz potrzebuję...

— Poszedłeś do tego sklepu — mówił wuj — ale tak się złożyło, że pierwszego spotkałeś Vin-sona Gowrie, więc poszedłeś za nim do lasu i powiedziałaś mu, że jego wspólnik go okrada, a on, oczywiście, odesłał cię do diabła, zwymyślał od łgarzy i nie zważał na to, czy mówisz prawdę, czy nie, oczywiście, skłął cię, może nawet uderzył i poszedł w swoją stronę, a ty wtedy strzeliłeś do niego, jak się tylko odwrócił tyłem...

— Wcale mnie nikt nie uderzył — wtrącił Lucas.

— Tym gorzej.— mówił dalej wuj — tym gorzej dla ciebie, bo jeśli tak, to to nie było zabójstwo w samoobronie. Po prostu strzeliłeś do niego, kiedy był odwrócony tyłem. A potem stanąłeś tam nad nim z wystrzelonym pistoletem w kieszeni i poczekałeś, aż ci biali przyjdą i cię zabiorą. I gdyby nie ten pokurcz, ten reumatyk konstabl, który, po pierwsze, nie wiadomo skąd się wziął, a po drugie, po co się pchał za nędznego dolara od każdego wezwania do sądu czy nakazu aresztowania... więc gdyby nie to, że ten konstabl potrafił powstrzymać cały diabelny pod-okręg czwarty przez osiemnaście godzin, dopóki Hope Hampton nie uznał wreszcie, że już czas, czy też przypomniał sobie na koniec albo namyślił się, żeby cię zabrać do więzienia... więc gdyby nie

Hi

to, że ten konstabl powstrzymał okolicę, której ty razem ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi, jak ich tylko mógłbyś /hębnic do kupy? gdybyś bębniał całe sto lat,,,

- Ja nie mam przyjaciół wtrąci! Lucas Z surową i nieugiętą dumą i dorzucił coś jeszcze* chociaż wuj mówił już dalej;

— Niech diabli, teraz powiedziałeś prawdę, i nawet gdyby i ich miał, to ta Ir u lira ttó by ich wysłała na tamten świat,, Co? - zapytał //uj - co powiedziałeś?

Powiedziałem, że ja płacę za w&zy&tfe&> Aha powiedział Wfcfj, — Niepotrzebni ci przyjaciele, płacisz gotówką Aha, rozumiem Slijchaj teraz, co Ci powierzę, Staniesz jutro przed sądem przysięgłych. Jako oskarżony Potem* jeśli chcesz, namówię pana Hamptona, żeby cię odesłał do Mottstown albo nawet jeszcze dalej, zanim się sąd zbierze v/ przysięgłym miesiącu Wtedy przyznasz się do winy, Porozmawiam z proktrlfatofcm okręgowym, żeby pozwolił ci to zrobić, bo jesteś *.rary » nigdy przedtem nic me przeszkobałeś, to znaczy mc takiego, o czym by wiedzieli sędzia c/y prokurator okręgowy, którzy mieszkają dalej niż pięćdziesiąt mil od okręgu Yoknapatawpha. //tedy ck nie powiesza, poila cie do więzienia; pewno ułaskawienia rue 'k/żyjesz, ale przynajmniej ci Gowrie n u: będą się tam mogh do ciebie dobrać, Cjzy chcesz, żebym tu dziś został z tobą na noc/

- - Chyba me powiedział Lucas, — Oni całki zeszła rue dali mi Spać, to ja chyba tera/ spróbuję trochę fię zdrzemnąć, /ak pa@ m zostanie* b<\$dzf4ł pftń móv/ił do rana

I Jobtze powiedz M ftzofitko //uj, po czym zwrócił się do niego idy; juz do c/zwi f ,hodź rny, ■ I zatrzymał się Może czegocipotrziba?

Mógłby rm pan przysłać trochę iytsrriffi powiedział I ,ucas, Może rm ci Gowtfezostawia odrobinę czasu na palenie,

Dostaniesz f yf/ń jutro powiedział wuj, — /dzisiaj masz gpać, I wyszedł,

A on pOfzedł za wujem, //uj przepuścił go przed %0bą w drzwiach, taic że poterw on z kolej odsunął się na i zatrzymał oglądając się na celę, kiedy wuj wychodził i zamykał za sobą drzwi, a ciężki* stalowy zatrzask uderzył zapadka w woje stalowe t&Ży\$#@ z miękkim, naoliwionym stukfefft nieodwołalnej ostateczności, niczym naoliwione urno nieubłagani przeznaczeni!:, kkdy jak mcw/U wuj maszyny stworzone prze/ CZlewkka jego ornego zetrą, zgładzą z powierzchni /.mm. \ nie potrzebne teraz marnym sobie* skoro mc //jęcej me zostało (\$0 zniszczenia, nad wtawymi tHiZpGt&ftb nymi zf/marrń zatrzasną ostatnie gfadko izJi/owa- ne drzwi o jednym jedynym zamku, nte porm/z nyrn mechanizmem czasu, od f*rwiada/acy m tylko na ostatnie wierzenie g&dzifif wutcznoUkt "Uf szedł już dalej, kroki dzwoniły i budziły echo wzdłuż korytarza, a p@teffi kr, ykcie wuja t#ly miro o dębowe dr/.wi, po&ffiffil gdy on i Lu- Cas wciąż patrzyli na tiebii prze/. \iaU*we kraty, a /.iieas też teraz stał* pośfodku celi, pod świa

V/

IE

tłem, i patrzył na niego z czymś takim w spojrzeniu, że — cokolwiek to było — w pewnej chwili wydało mu się, że Lucas powiedział to na głos. Ale nie, Lucas stał nic nie mówiąc i tylko patrzył na niego z owym niemym, cierpliwym żądaniem, dopóki stukot nóg dozorca więzienia stopniowo się nie zbliżył po schodach i poki sztaba znów nie zazgrzytała u drzwi.

A potem dozorca więzienia na powrót zasunął sztabę i przeszli znów obok Legate'a siedzącego wciąż ze swoimi komiksami na tym krześle obok dubeltówki, twarzą do drzwi, i wyszli na dwór, przeszli dróżką do bramy, wyszli na ulicę, a on idąc za wujem był dopiero w bramie, kiedy wuj skręcał już w stronę domu; stanął, pomyślał: Ten czarny, ten morderca, co strzela z tyłu do białych ludzi i nawet nie żałuje, i powiedział:

— Chyba poszukam Skeetsa McGowana. Pewno się gdzieś kręci po Rynku. On ma klucz'od sklepu. Zaniosę jeszcze dziś Lucasowi trochę tytoniu.

Wuj zatrzymał się.

— Można z tym poczekać do rana — powiedział.

— Tak — przyznał czując, że wuj mu się przygląda, i nie zastanawiał się nawet, co zrobi, jeśli wuj mu zabroni, właściwie to nawet nie czekał, tylko stał.

— Dobrze — powiedział wuj. — Nie wracaj późno.

Więc już mógł iść; jeszcze jednak nie odchodził.

— Mówiłeś, zdaje się, że dzisiaj nic się nie stanie.

— I dalej tak myślę — powiedział wuj. — Ale tego nigdy na pewno nie można przewidzieć. Tacy ludzie jak Gowrie nie przywiązują wielkiej wagi do śmierci i umierania. Ale poświęcają wiele' uwagi umarłym i temu, w jaki sposób oni umarli, szczególnie jeśli to są ich własni umarli. Jak dostaniesz ten tytoń, to daj Tubbsowi, żeby mu zaniósł, a sam wracaj do domu.

Więc nie musiał teraz powiedzieć nawet: "tak", wuj odwrócił się pierwszy, a potem on się odwrócił i ruszył w stronę Rynku, szedł, aż przestał słyszeć kroki wuja, a potem stanął, stał, dopóki ciemna sylwetka wuja nie stała się tylko białą jasnością płóciennego ubrania, które wreszcie też znikło za ostatnią latarnią — a gdyby poszedł do domu zaraz rano i wyprowadził Highboya, jak tylko rozpoznał samochód szeryfa, miałby już teraz za sobą osiem godzin i prawie czterdzieści mil — zawrócił, wrócił do bramy więzienia, znalazł się znów pod spojrzeniem Legate'a, który patrząc znad komiksów zaraz go poznał, nim on jeszcze skręcił w bramę, zamiast ją minąć i iść dalej prosto, a następnie ścieżką za żywopłotem i wreszcie na przełaj do zabudowań gospodarczych, gdzie by już mógł osiodłać Highboya, wyjechać przez wrota okólnika, zostawić za sobą Jefferson i murzyńskich morderców, i wszystko, i puścić Highboya tak szybko, jak mu się będzie podobało, i tak daleko, jak mu się będzie podoba-

bało, aż wreszcie bez tchu zwolnić bieg — puścić go, wszystko jedno w którą stronę, byle tylko ogonem zwrócony był do Jefferson i murzyńskich morderców; skręcił w bramę, przeszedł ścieżkę i ganek i znów dozorca więzienia zjawił się prędko w drzwiach na prawo, z twarzą już poddającą się wyrazowi znużenia i obrazy.

— Znów tu — powiedział dozorca. — Nigdy wam nie będzie dosyć?

— Zapomniałem czegoś.

— Niech to coś poczeka do rana — powiedział dozorca więzienia.

— Daj mu to zabrać teraz—odezwał się Legate swoim monotonnym i rozwlekłym głosem. — Jak on to tam zostawi do rana, mogą mu stratować.

Więc dozorca więzienia- zawrócił, jeszcze raz weszli po schodach i jeszcze raz dozorca więzienia odsunął sztabę u dębowych drzwi.

— Niech pan się już nie trudzi z drugimi drzwiami — powiedział. — Ja mogę to załatwić przez kraty.

I nie czekał, drzwi zamknęły się za nim, usłyszał, jak sztaba się zasuwa na swoje miejsce, ale przecież, żeby te drzwi się otworzyły, nie musi robić nic więcej, wystarczy, że w nie zastuka — słyszał kroki dozorca więzienia schodzącego na dół; nawet teraz jeszcze wystarczyłoby tylko krzyknąć głośno i tupnąć w podłogę, a przynajmniej Legate by usłyszał; myślał: Może mi wypomni to cholerne jedzenie, tą kapustę i mięso wieprzowe, albo może mi nawet powie, że jestem dla niego wszystkim, wszystkim, co mu zostało, i tego wystarczy... —| szedł szybko i znalazł się przed stalowymi drzwiami, a Lucas nie poruszył się od tamtej chwili, stał pośrodku celi pod lampą, patrząc na drzwi, kiedy on podchodził i kiedy zatrzymał się i powiedział głosem ostrzejszym, niż się to kiedykolwiek udało wujowi:

— Jestem, co chcesz, żebym zrobił?

— Żebyś tam pojechał i go zobaczył.

— Gdzie pojechał i kogo zobaczył? — zapytał. Ale zrozumiał od razu. Teraz zdawało mu się, że przez cały czas od początku wiedział, czego Lucas zechce, pomyślał jednak z pewną ulgą: Więc to tylko o to chodzi — chociaż jednocześnie krzyczał z oburzeniem: — "Ja?! Ja?!" Było to jak coś, czego się człowiek lękał i bał, i od czego uciekał przez lata, aż wydawało mu się, że to uciekanie zajęło całe życie, a potem mimo wszystko zdarzało się to człowiekowi i tylko ból przynosiło, i tylko raniło, a potem było po wszystkim, skończone na dobre.

— Zapłacę ci — powiedział Lucas.

Teraz nie słuchał, nie słuchał nawet własnego głosu brzmiącego osłupiałym, nie dającym wiary oburzeniem:

— Ja mam tam jechać i rozkopywać ten grób?! — Nie myślał już dalej: Więc taką cenę mam zapłacić za to jedzenie, tamto mięso i jarzynę, ponieważ przeszedł przez to już dawno, kiedy jeszcze tamto coś, cokolwiek to było, trzymało go tu pięć minut temu, kiedy spoglądał poprzez szeroką, prawie nieprzekraczalną przepaść pomiędzy sobą a starym Murzynem mordercą i patrzył, słuchał, jak

Lucas coś do niego mówi nie dlatego, że jest tym, kim jest, Charlesem Mallisonem młodszym, nie dlatego, że zjadł był kiedyś talerz jarzyn i rozgrzał się przy tamtym ogniu, ale dlatego, że on jeden ze wszystkich białych ludzi, do których Lucas mógłby mieć okazję odezwać się w czasie między chwilą obecną a tą, w której być może wywłoką go z celi i ściągną po schodach uwięzowanego na linie na ulicę, zdolny był usłyszeć to nieme, pozbawione nadziei żądanie oczu. Powiedział:

— Chodź tutaj.

Lucas posłuchał, zbliżył się i przytrzymał dwóch prętów kraty, tak jak dziecko trzyma się płotu. A i on, chociaż nie pamiętał wcale, kiedy to zrobił, spoglądając w dół zobaczył, że też zacisnął swoje dłonie na dwóch prętach kraty, i te dwie pary rąk, jedna czarna, a druga biała, zaciskały się na kratkach, a nad kratami oni spojrzeli sobie w oczy.

— Dobrze — powiedział do Lucasa. — Ale po co?

— Jedź i zobacz go — powtórzył Lucas. — Na wypadek, jakby miało być za późno, kiedy wrócisz, zaraz podpiszę ci papier i napiszę, że ci się należy tyle, ile powiesz, że to jest warte.

Ale on dalej nie słuchał; wiedział już. Powiedział sam do siebie:

— I mam tam jechać po nocy te siedemnaście mil...

— Dziewięć — sprostował Lucas. — Ci Gowrie chowają swoich przy Caledonia Chapel. Skręcisz w pierwszą drogę na prawo, w stronę wzgórz, zaraz za mostem nad strumieniem Dziewiętej Mili. Jak weźmiesz wujka samochód, to będziesz tam w pół godziny.

— ... mam ryzykować, że Gowrie mnie złapią, jak będę rozkopywał ten grób. Chcę wiedzieć, po co. Nawet nie wiem, czego mam tam szukać. Czego?

— Mój pistolet to Colt czterdzieści jeden — powiedział Lucas.

Należało się tego spodziewać, jedyną rzeczą, której naprawdę nie wiedział, był kaliber pistoletu — owej broni zręcznej i skutecznej, o którą jej właściciel dobrze dbał, choć równie była dziwaczna i archaiczna, jak i nikogo innego nie spotykana, jak i jego złota wykałaczką, która prawdopodobnie (a nawet bez wątpienia) pół wieku temu była chlubą starego Carothersa McCaslina.

— Tak — powiedział. — I co z tego?

— Jego nie zabito z Colta czterdzieści jeden.

— Z czego go zabito?

Ale na to Lucas nie odpowiedział, stojąc tam po swojej stronie stalowych drzwi, z dłońmi lekko zamkniętymi na dwóch prętach kraty, zupełnie nieruchomy, gdyby nie oddychanie. Przecież on i nie spodziewał się, że Lucas odpowie, i wiedział, że Lucas nigdy na to nie odpowie, nie powie nic więcej i nic bliższego żadnemu białemu, i wiedział dlaczego, tak samo jak wiedział, dlaczego Lucas czekał, żeby jemu, dziecku, powiedzieć o kalibrze pistoletu, podczas gdy nie powiedziałby ani jego wujowi, ani szeryfowi, który właśnie powinien być tym człowiekiem, co otworzy grób i zbada

ciało; dziwił się, że Lucas taki już był bliski, żeby powiedzieć o tym jego wujowi, i uprzytomnił sobie, jeszcze raz docenił Ową cechę wuja, która kazała ludziom mówić mu rzeczy, jakich by nie powiedzieli nikomu innemu, cechę, która nawet Murzynów kuszyła, żeby mu mówili to, co sama ich natura wzbraniała mówić białym ludziom, i przypomniał sobie starego Ephraima i pierścionek matki, zdarzenie, od którego w tym roku w lecie minęło pięć lat: był to tani pierścionek z oczkiem z imitacji drogiego kamienia, a właściwie dwa identyczne pierścionki, które matka wraz z koleżanką z jednego pokoju w Sweetbriar w Wirginii kupiły za pieniądze zaoszczędzone z kieszonkowego i wymieniły między sobą, przyrzekając sobie, jak to młode dziewczęta, nosić je aż do śmierci — z koleżanką, która była już dorosła, mieszkała w Kalifornii i własną córkę wysłała teraz do Sweetbriar, i z którą matka nie widziała się od lat, a nawet możliwe, że już nigdy nie miała się zobaczyć, ale której pierścionek zachowała do tej pory, dopóki pewnego dnia gdzieś nie zginął, i przypomniał sobie, jak to często budząc się późnym wieczorem widział, że na dole jeszcze pali się światło, i wiedział, że to matka wciąż jeszcze szuka tego pierścionka — a przez cały ten czas stary Ephraim siedział sobie na frontowym ganku chaty Paralee w swoim domowej roboty fotelu na biegunach, aż dopiero któregoś dnia mu powiedział, że za pół dolara znajdzie ten pierścionek, więc on mu wtedy dał pół dolara i tego samego wieczora wyjechał na tygodniowy obóz skautów,

a kiedy wrócił, zastał matkę w kuchni; rozścieliła na stole gazety i wysypywała na nie kukurydzianą mąkę z kamiennego garnka, w którym ją przechowywały obie z Paralee; widelcami obie z Paralee przegarniały tę mąkę i wtedy to pierwszy raz od tygodnia przypomniał sobie o tym pierścionku i poszedł do chaty Paralee, a Ephraim siedzący tam na ganku w swoim fotelu powiedział: "On leży pod korytem dla świń na farmie twojego taty". I nie potrzebował mu Ephraim mówić, skąd wie, bo wtedy sam już sobie przypomniał panią Downs: starą białą kobietę, co mieszkała samotnie w małym brudnym domku-budzie śmierdzącym jak lisia nora, który stał na skraju miasta w murzyńskim osiedlu, w domku, z którego wychodzili i do którego wchodzili Murzyni bez przerwy przez cały dzień i bez wątplenia przez większą część nocy; ta kobieta (nie dowiedział się tego od Paralee, która nigdy się nie zdradziła, że o czymkolwiek wie, albo też nigdy nie miała właśnie w tej chwili czasu na rozmowę, ale od Alecka Sandera) nie tylko przepowiadała przyszłość i leczyła postrzał, ale znajdowała zgubione rzeczy, i to do niej powędrowało jego pół dolara, więc od razu poczuł tak zupełną pewność, że pierścionek się znalazł, że tę stronę sprawy odsunął od razu i na zawsze, a zajęły go jej strony dalsze i następcze i zapytał Ephraima: "Przez cały ten tydzień wiedziałeś, gdzie on jest, i nawet nie powiedziałeś?" — a Ephraim popatrzył na niego przez chwilę, *nie przestał kołysać się w fotelu na biegunach, spokojnie i do taktu pykając wygasłą i pełną popiołu

fajkę, co wydawało odgłos jak pykanie małego astmatycznego tłoka, i powiedział¹. “Mogłem powiedzieć twojej mamie, ale ona by potrzebowała, żeby jej kto pomógł. To czekałem na ciebie. Młode ludzie i kobiety mają swobodne głowy. Umieją słuchać. Ale takie ludzie, jak twój tata i twój wujek, ludzie w średnich latach, nie umieją słuchać. Oni nie mają czasu. Mają za dużo interesów. Lepiej to sobie też zapamiętaj, może ci się na co przyda którego dnia. Jak kiedy będziesz potrzebował coś zrobić trochę inaczej niż zwykłą koleją, to nie zawracaj sobie głowy mężczyznami, niech ci to zrobią kobiety i dzieciaki”. Przypominał też sobie gniew ojca, a właściwie nie tyle gniew, co zgorszenie, kiedy, prawie wściekły, nie chciał mieć z tym nic wspólnego, robiąc z tej całej sprawy kwestię pogwałcenia zasady moralnej, ataku na zasadę moralną, a nawet i wuj, który od czasu tej historii tak jak i on bez wielkiego trudu wierzył w rzeczy, o których wszyscy inni dorośli powątpiewali dla tej jedynie przyczyny, że nie dawały się wytłumaczyć rozumem, kiedy matka z niezmaconym spokojem i uporem wybrała się na farmę, na której nie była już więcej niż rok i którą sam ojciec po raz ostatni odwiedził całe miesiące przed zaginięciem pierścionka — nawet wuj odmówił prowadzenia samochodu, więc ojciec najął kogoś z garażu i oni oboje z matką pojechali na farmę, i przy pomocy dozorca znaleźli ten pierścionek pod korytem dla świń. Tylko że teraz to nie chodziło o głupi, bezwartościowy, mało ważny pierścionek, otrzymany dwadzieścia lat temu za

drugi taki sam od młodej dziewczyny; teraz żywemu człowiekowi groziła haniebna śmierć i gwałt, zresztą nje dlatego, żeby był mordercą, ale dlatego, że miał czarną skórę. A jednak to było wszystko, co Lucas w ogóle miał mu powiedzieć, i on wiedział, że to wszystko; pomyślał z jakąś wściekłością i furią: Uwierzyć? Uwierzyć w co? — bo Lucas nawet nie prosił go, żeby w cokolwiek uwierzył, nie była to nawet prośba o przysługę, nie było to jakieś ostateczne rozpaczliwe odwołanie się do jego człowieczeństwa i litości, przeciwnie, jeszcze miał zamiar mu zapłacić, jeśli nie zażąda zbyt wygórowanej zapłaty, za to, żeby sam pojechał te siedemnaście mil (nie, dziewięć, dopiero teraz sobie przypomniał, że to usłyszał) wśród nocy i narażał się, że go złapią, jak będzie gwałcił ostatni spoczynek człowieka należącego do klanu ludzi, którzy skrzyknęli się już, aby wykonać z obłądnych i krwawych gwałtów ten największy; i nawet mu nie mówił po co. Więc spróbował jeszcze raz, wiedząc, że Lucas nie tylko wie, że on znów spróbuje, ale wie, że on wie, jaką otrzyma odpowiedź:

— Lucas, z jakiego pistoletu go zabito?

I otrzymał odpowiedź dokładnie taką, jakiej, o czym nawet Lucas wiedział, spodziewał się:

— Ja ci zapłacę — powiedział Lucas. — Powiedz swoją cenę, jakąś rozsądną cenę, a ja ci zapłacę.

Głęboko nabrał powietrza i odetchnął, stali naprzeciwko siebie rozdzieleni kratą, wpatrywały się w niego oczy starego człowieka, nic nie mó

wiące, tajemnicze. Teraz nawet nie było w nich żądania, więc pomyślał spokojnie: Nie dość, że wygrał ze mną, on nawet nigdy, przez jedną sekundę, w to nie wątpił. Powiedział:

— Dobrze. Nic z tego nie przyjdzie, jak tylko ja sam go zobaczę, nawet gdybym umiał poznać ten kaliber. Więc rozumiesz, co to znaczy. Muszę go odkopać, wyciągnąć z tego dołu, zanim mnie Gowrie złapią, i przywieźć do miasta, żeby pan Hampton mógł posłać do Memphis po eksperta, co się zna na kalibrach. — Patrzył na Lucasa, tego starego, stojącego w celi, trzymającego się lekko krat człowieka, który już nawet na niego nie patrzył. Znów głęboko zaczerpnął powietrza. — Ale najważniejsze to wydobyć go z ziemi i zawieźć dokądś, gdzie by go ktoś mógł obejrzeć, zanim... — Spojrzał na Lucasa. — Muszę tam zdążyć i wykopać go, i wrócić do miasta przed północą czy przed pierwszą, a może nawet o północy będzie już za późno. Nie wiem, jak zdołam to zrobić. Nie zdołam.

— Postaram się poczekać — powiedział Lucas.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na ulicy, koło krawężnika przed domem zastał zniszczoną, wyblakłą, obdrapaną półciązarówkę. Było już dobrze po ósmej, a więc prawie na pewno zostało mniej niż cztery godziny na to, żeby wuj zdążył pójść do szeryfa, przekonać go, a potem żeby zdążyli znaleźć któregoś z sędziów pokoju czy kogokolwiek, kogo będą musieli znaleźć i obudzić, a potem też namówić na otworzenie tego grobu (zamiast czekać pozwolenia Gowrie'ch, którego by w żadnym razie, a już na pewno wtedy, kiedy chodziło o uratowanie czarnego przed ogniskiem z benzyny, nie dostał od nich sam prezydent Stanów Zjednoczonych, nie wspominając nawet o byle szeryfie), a potem żeby zdążyli pojechać do Caledonia Chapel, wykopać to ciało i wrócić z nim na czas do miasta. A tu jakiś farmer, któremu puszczonej bez dozoru krowę czy muła, czy świnię sąsiad zajął w szkodzie i żądał dolara wykupu, zanim zwierzę wypuści, właśnie ten wieczór musiał sobie wybrać, żeby przyjechać do wuja i siedzieć u niego godzinę w gabinecie bąkając: "tak" i "nie", i "chyba nie" w odpowiedzi na wywody wuja o zbiorach i polityce —■

nosiła te kapelusze jego babcia, i zaraz ją poznał, jeszcze zanim zobaczył zegarek — mały złoty] zegarek z zamkniętą kopertą, przypięty złotą broszką na płaskiej piersi, prawie zupełnie taki sam i prawie dokładnie w tym samym miejscu, w jakim na płóciennej koszulce szermierza wyhaftowane jest serce — poznał ją od razu, bo, odkąd umarła jego babka, żadna już ż kobiet, jakie znał, nie nosiła takiego zegarka i nawet nie miała — a właściwie to powinien ją jeszcze wcześniej poznać po tej półciężarówce. Była to panna Haber sham, której nazwisko było teraz najstarszym nazwiskiem w okręgu. Kiedyś istniały trzy takie nazwiska: doktor Habersham, właściciel szynku nazwiskiem Holston i przedstawiciel młodszej gałęzi rodziny hugonockiej o nazwisku Grenier, który konno zjawił się w okręgu, zanim jeszcze granice jego zostały nakreślone, zanim ten okręg umiejscowiono i nazwano, kiedy na miejscu dzisiejszego Jefferson było targowisko Czikasów i wśród dziewiczych bezdroży, zarośli trzciny i puszczy, wówczas tu rosnącej, oznaczała je jakaś nazwa w języku Czikasów; ale tamte dwa nazwiska minęły, zniknęły nawet z ustnej tradycji okręgu, zostało tylko jedno. Nazwisko Holston przetrwało jedynie jako nazwa hotelu w Rynku i mało kto w ogóle wiedział czy troszczył się o to, skąd się ta nazwa wzięła, a ostatnie krople krwi Louisa Greniera, owego eleganta, dyletanta, architekta wykształconego w Paryżu, który trochę parał się prawem, ale większą część życia poświęcił 8wojej plantacji i malarstwu (przy czym więk zbiorach, 6 których wuj nie miał pojęcia, i polityce, o której, nie miał pojęcia tamten — i siedzieć tak bez końca, dopóki po długim gadaniu nie wybąka tego, po co przyjechał.

Ale nie mógł się dzisiaj bawić w ceremonie. Już kiedy wyszedł z więzienia, szedł pędkiem, a teraz biegł skracając sobie drogę na ukos przez trawnik i wpadł pędkiem na ganek, a z ganku do hallu, minął drzwi od biblioteki, w której pewno jeszcze pod stojącą lampą siedział ojciec zajęty krzyżówką z niedzielnego numeru memphijskiej gazety, a pod drugą lampą matka z nową książką z Klubu Najlepszej Książki Miesiąca, i pobiegł dalej, w stronę pokoju, który matka z uporem nazywała gabinetem Gavina, pokoju nazwanego już dawno temu przez Paralee i Alecka Sandera "biurem" i teraz przez wszystkich nazywanego tak samo. Drzwi były zamknięte; usłyszał spoza nich szmer męskiego głosu w ciągu tej sekundy, zanim nie czekając zapukał dwa razy i w tej samej chwili otworzył drzwi i wszedł, już mówiąc;

— Dobry wieczór panu. Przepraszam. Wujku Gavinie...

I urwał — głos, który przez drzwi usłyszał, musiał być głosem jego wuja, bo zamiast farmera z opalonym, wygolonym karkiem, ubranego w czyste odświętne spodnie i koszulę bez krawata, siedziała naprzeciwko wuja po drugiej stronie biurka kobieta ubrana w prostą, bawełnianą, wzorzystą suknię, w jednym z owych okrągłych czarnych, jakby lekko przykurzonych kapeluszy, nasadzonym dokładnie na sam czubek głowy, tak jak

szym był dyletantem w dziedzinie uprawy zboża i bawełny niż w dziedzinie płócien i pędzli), rozgrzewały dziś kości jowialnego, dobrodusznego jegomościa w średnim wieku, z umysłem i twarzą dziecka, który mieszkał nad rzeką, dwadzieścia mil za miastem, w czymś, co było na pół szopa, na pół jama, skleconą własnymi jego rękami z obrzynków desek i kawałków rozklepanych płasko rur od piecyków i blaszanych puszek, i nie pamiętał, ile ma lat, ani nie umiał napisać tych dwóch wyrazów: Lonnie Grinnup, jak się teraz sam przedstawiał; nie wiedział też nawet, że ziemia, na której się gnieździ, to ostatni skrawek owych tysięcy akrów, których właścicielem był jego przodek. Została tylko panna Habersham, samotna, siedemdziesięcioletnia stara panna, mieszkająca na skraju miasta w domu zbudowanym w stylu kolonialnym, z kolumnami, nic malowanym od śmierci jej ojca ani nie skanalizowanym, ani nie zelektryfikowanym, a z nią mieszkało dwoje murzyńskich służących (i tu znów coś go zaniepokoiło, natarczywie domagało się jego uwagi, w tej samej jednak chwili cichnąc nawet nie dlatego, żeby to od siebie odsunął, ale cichnąc samo przez się) w chacie za domem — kobieta gotowała, a panna Habersham wraz z jej mężem hodowali drób, uprawiali warzywa i rozprzeda wal i je w mieście wprost z półcięża rowki. Jeszcze dwa lata temu używali do rozwożenia warzyw starego, spasionego białego konii (o którym mówiono, że ma dwadzieścia lat już wtedy, kiedy po raz pierwszy go zobaczył, a pod lśniącą białą sierścią skóra konia była czysta i różowa jak skóra niemowlęcia) i wózka; Potem wypadł im dobry urodzaj czy coś innego, panna Habersham kupiła używaną półciężarówkę i odtąd co rano, zima czy lato, widziano ich, jak przejeżdżają ulice od jednego domu do drugiego, panna Habersham za kierownicą, w swoich bawełnianych pończochach i okrągłym czarnym kapeluszu, który nosiła już od czterdziestu przynajmniej lat, i w swoich schludnych wzorzystych sukniach po dwa dolary i dziewięćdziesiąt osiem centów za sztukę — wybieranych z katalogu firmy Sears i Roebuck i sprowadzanych pocztą — z przypiętym na płaskim staropanieńskim biuście małym złotym zegareczkiem, w pantoflach i rękawiczkach, które — jak utrzymywała matka — robione były na miarę w Nowym Jorku i kosztowały: pantofle trzydzieści, czterdzieści dolarów para, a rękawiczki piętnaście czy dwadzieścia — a służący Murzyn kłusował od domu do domu i wypychał w każde drzwi i wypychał z powrotem swój przepaścisty brzuch dźwigając w jednym ręku koszyk z warzywami czy jajkami, a w drugim nagie, oskubane kureczki; poznał ją, przypomniał sobie, nawet coś go zaniepokoiło i umilkło zaraz, bo nie było czasu, a on prędko powiedział:

— Dobry wieczór, panno Habersham. Przepraszam, Muszę pomówić z wujkiem Gavinem. —

I zaraz zwrócił się do wuja: — Wujku Gavinie... ,

— Panna Habersham też chce ze mną pomówić — natychmiast prędko powiedział wuj tonem, który normalnie sam by mu już wystarczył, bo

normalnie mógłby nawet pojąć, co wuj chce wyrazić tym tonem. Ale nie teraz. Teraz właściwie to nawet nie dosłyszał. Nie słuchał. Właściwie to i sam nie miał czasu nic powiedzieć, mówiąc szybko, a jednak i spokojnie, co najwyżej z naciskiem, i to skierowanym tylko do wuja, bo zapomniał już o pannie Habersham, nawet o jej obecności.

— Muszę z tobą pomówić — powiedział i dopiero teraz urwał, bynajmniej nie dlatego, żeby już powiedział wszystko, bo nawet jeszcze nie zaczął, ale dlatego, że dopiero teraz dosłyszał słowa wuja, który nawet nie przestał mówić; siedział w fotelu trochę bokiem, jedną rękę przerzucił przez oparcie, a w drugiej trzymał na stole przed sobą zapaloną fajkę i dalej mówił tym samym tonem przypominającym nonszalanckie poćwikiwa- nie cienką, suchą witką:

— No i zaniósłeś mu go sam. Albo może sobie nawet nie zawracałeś głowy tytoniem. A on ci opowiedział bajeczkę. Myślę, że była niezła.

I tyle. Mógł już sobie iść, powinien właściwie. Na dobrą sprawę, nie należało nawet zatrzymywać się przechodząc przez hall ani wchodzić w ogóle do domu, tylko go obejść, żeby po drodze do stajni zawołać Alecka Sandera —• już Lucas powiedział mu to pół godziny temu w więzieniu, kiedy sam o mały włos nie popełnił błędu, a jednak, choć szło o ucieczkę przed zemstą Gowrie'ch, nie był w końcu na tyle głupi, żeby zawierzyć wujowi czy któremukolwiek innemu białemu. Ale wciąż jeszcze nie odchodził. Zapomniał o pannie Habersham. Wykreślił jej obecność z pamięci, powiedział: "przepraszam", i w ten sposób sprawił, że zniknęła nie tylko z tego pokoju, ale również z tego momentu, tak jak magik sprawia jednym słowem czy gestem, że zhika jakaś palma, królik albo wazon z różami, i zostali tylko oni trzej: on w ciągle jeszcze przytrzymywanych drzwiach, na pół w pokoju, do którego jednak na dobre nie wszedł i do którego nawet na tyle nie powinien był się zbliżyć, na ile się zbliży), i na pół już poza tym pokojem, z powrotem w hallu, którym przede wszystkim w ogóle nie powinien był przechodzić i tracić tyle czasu, i wuj, który pół siedział, pół leżał za stołem zarzuconym papierami tak, jak i tamten stół, za stołem, na którym stał drugi taki sam niemiecki kufel pełen fidybusów i leżało pewno z kilkanaście kukurydzianych fajek, każda w innym stadium zwęglenia, a pół mili stąd ten stary, nie mający krewnych i nie mający przyjaciół, uparty krnąbrny, nie dający się przekonać, nie dający przemówić sobie do rozsądku, samowolny (i zuchwały) Murzyn, sam jeden w tej celi, w której pierwszym znajomym głosem, jaki usłyszy, będzie prawdopodobnie głos starego jednorekiego Nuba Gowrie, mówiącego na dole, w sieni: "Zejdź ty nam z drogi, Will Legate. Przyszliśmy po tego czarnego"; a tymczasem na zewnątrz, poza spokojnym, widnym pokojem, niewyczerpany strumień spadający z hukiem na młyńskie koło czasu nie grzmiał ku północy, lecz ciągnął ze sobą tę północ coraz bliżej, nie po to, żeby zemleć ją w drzazgi, ale żeby wypluć na nich

z góry drzazgi północy jednym wysokim, przesłaniającym niebo splunięciem, więc zrozumiał teraz, że nieodwołalny moment nie minął wtedy, kiedy powiedział Lucasowi przez stalowe drzwi: "dobrze", ale dopiero nastąpi wtedy, kiedy wyjdzie stąd z powrotem do hallu i zamknie za sobą te drzwi. Dlatego spróbował jeszcze raz, znów mówiąc spokojnie, nawet nieprędko teraz, nawet nie nagle, po prostu wyraźnie, jasno i rozsądnie:

— Bo może On nie został zabity z jego pistoletu.

— Oczywiście — powiedział wuj. — Właśnie tak bym mówił, gdybym był Lucasem albo, jeśli już mam się postawić w takiej sytuacji, gdybym był jakimś innym Murzynom mordercą, albo, jeśli już o to idzie, gdybym był jakimkolwiek głupim białym mordercą. Pewno ci nawet powiedział, do czego to wystrzelił ze swojego pistoletu. No? Do królika? Czy może do blaszanej puszki albo do sęka w drzewie, tak sobie, żeby tylko sprawdzić, czy rzeczywiście wystrzelił, jeśli jest nabity. Ale przyjmijmy to, powiedzmy, że tak było, co dalej? Co proponujesz? A właściwie, cóż to Lucas kazał ci zrobić?

A on odpowiedział i na to:

Czy pan Hampton by nie mógł go wykopać i zobaczyć?

* — Na jakiej podstawie? Lucasa złapali dwie minuty po strzale, jak stał nad ciałem z dopiero co wystrzelonym pistoletem w kieszeni. Nie zaprzeczył, że z niego wystrzelił; prawdę mówiąc, odmówił złożenia jakichkolwiek zeznań nawet mnie, swoje-

mu adwokatowi, adwokatowi, po którego sam posłał. Nie można tego ryzykować. Równie dobrze mógłbym tam sam iść i zastrzelić jeszcze któregoś z jego synów, jak iść i powiedzieć Nubowi Gowrie, że chcę wykopać z grobu ciało jego syna, kiedy już nad nim odprawiono modły i nabożeństwo. A gdybym już miał posunąć się tak daleko, to prędzej bym się odważył powiedzieć Nubowi, że tylko po to chcę ekshumować Vinsona, żeby mu wyjąć złote zęby, niż oświadczyć Nubowi, że chcę to zrobić, żeby uratować czarnego przed linczem.

— Ale jakby... — powiedział.

— Posłuchaj, co ci powiem — powiedział wuj z jakąś znużoną, ale niewyczerpaną cierpliwością. — Tylko spróbuj posłuchać. Lucas zamknięty jest za mocnymi stalowymi drzwiami. Ma zapewnioną najlepszą obronę, jaką tylko Hampton czy ktokolwiek inny w tym okręgu może mu zapewnić. Jak powiada Will Legate, dosyć jest tutaj takich, co by niewiele sobie robili z niego

i z Tubbsa, i nawet z tych drzwi, jakby im naprawdę na tym zależało. Ale nie wydaje mi się, żeby wielu w tym okręgu zależało na tym, żeby powiesić Lucasa na słupie telegraficznym, oblać go benzyną i podpalić. I znów. Ale on jeszcze raz spróbował. — Ale jakby... — powtórzył i teraz po raz trzeci usłyszał prawie dokładnie to samo, co słyszał już dwa razy w ciągu dwunastu godzin, i znów zadziwiło go ograniczone, niemal standardowe ubóstwo słownictwa — nie czyjegoś słownictwa

indywidualnego, ale w ogóle słownictwa, które pozwala żyć nawet człowiekowi w jakichś wielkich ławicach i stadach, w betonowych królikarniach we względnej zgodzie, które pozwala tak żyć nawet wujowi.

— Ach,¹ dobrze, dobrze. Lucas powinien się -zastanowić, zanim strzelił do człowieka, kiedy tamten był odwrócony tyłem, i zanim go zabił.

Właściwie dopiero później zrozumiał, że wuj mówił to i do panny Habersham; w tej chwili nie pamiętał, że ona jest w pokoju, ani nawet jej nie zauważył, nie pamiętał nawet, że ona już dawno przestała istnieć, odwrócił się i zamknął za drzwiami obojętną gładkość głosu wuja:

— Powiedziałem mu, co ma robić. Jeśli coś by się miało zdarzyć, to by się zdarzyło tam u nich, na ich podwórku, nigdy by nie dali przyjechać panu Hamptonowi z nim do miasta. Prawdę mówiąc, to ja dalej nie rozumiem, dlaczego do tego dopuścili, ale czy to było szczęśliwe zrządzenie losu, czy wynikało z ich niedopatrzania albo też z tego, że stary Gowrie-z latami niedoleźniej, to przecież wyszło na dobre, Lucas jest teraz bezpieczny, a ja mam nadzieję, że uda mi się go przekonać, żeby się przyznał do zamierzonego zabójstwa; jest stary, więc myślę, że prokurator okręgowy pójdzie na to. Wsadzą go do więzienia i może za parę lat, jeśli dożyje... — a on zamknął drzwi, bo już to wszystko słyszał przedtem i nie miał zamiaru jeszcze raz wysłuchiwać, więc wyszedł z pokoju, do którego na dobre właściwie wcale nie wchodził, do którego nie powinien był nawet zaglądać, i dopiero teraz zdjął rękę z klamki, której nie puszczał ani na chwilę przez ten cały czas, odkąd na niej tę rękę położył, i pomyślał z gorączkową, rwącą się cierpliwością człowieka, który w płonącym domu usiłuje pozbiierać koraliki z przerwanego sznurka: Teraz muszę iść ten kawał drogi z powrotem do więzienia i zapytać Lucasa, gdzie onó. jest bo zrozumiał, że rachunek prawdopodobieństwa Lucasa się chwije i że wszystko układa się zupełnie inaczej, bo naprawdę to się spodziewał, że wuj i szeryf pójda za śladem, na który naprowadził go Lucas, i wyprawia się tam, ale nie dlatego, żeby myślał, że mu uwierzą, ale tylko dlatego, że po prostu nie mógł sobie wyobrazić, że wszystko to spadnie na niego i na Alecka Sandera, ale zaraz sobie przypomniał, że przecież Lucas pomyślał i o tym, przewidział i to, i przypomniał sobie nie z ulgą, a raczej z nowym wybuchem gniewu i wściekłości, jakiego się po sobie nie spodziewał, że Lucas nie tylko powiedział mu, czego chce, ale nawet gdzie to się znajduje i jak się tam dostać, a dopiero potem, jako o rzecz drugorzędną, zapytał go, czy on zechce pojechać; przechodząc koło biblioteki usłyszał szelest gazety na kolanach ojca i poczuł dym z cygara spalającego się na popielniczce ustawionej tuż pod jego ręką, a potem zobaczył, jak niebieski kosmyk cygarowego dymu wymyka się powoli z otwartych drzwi, pewno na skutek tego, że ojciec gestem jednocześnie najgłębszego spoczynku i najwyższego trudu uniósł cygaro i raz pociągnął; przypomniał sobie nawet, w jaki spo[^]

sób ma się tam dostać i wrócić, więc sobie wyobraził, że jeszcze raz otwiera tamte drzwi i mówi do wuja: — Mniejsza o Lucasa. Pożycz mi tylko samochód — a potem wchodzi do biblioteki i mówi do ojca, który klucze od samochodu nosił zawsze w kieszeni aż do chwili, póki rozbierając się nie przypomniał sobie i nie położył ich na wierzchu, żeby matka mogła je rano znaleźć: — Tatuń, daj mi klucze, chcę jechać za miano i rozkopać grób; przypomniał sobie nawet półcieża- rówkę panny Habersham, stojącą przed domem (nie pamiętał o panie Habersham, ani razu o niej nie pomyślał. Przypomniał sobie tylko ten zmotoryzowany pojazd, nie zajęty i najwidoczniej nie pilnowany, stojący na ulicy nawet nie pięćdziesiąt jardów stąd); może, a właściwie na pewno kluczyk został w stacyjce, a ten Gowrie, który go złapie na plądrowaniu grobu swego syna, brata czy kuzyna, równie dobrze może złapać i złodzieja samochodu.

Ale (za jednym zamachem odrzucając, zostawiając za sobą, uwalniając się od tej wirującej jak obłok konfetti obłędnej groteski) pojął, że ani na chwilę nie wątpił, że tam pojedzie, ani nawet że wykopie to ciało. Widział już sam siebie, jak zajeżdża przed ten kościół, na ten cmentarz bez żadnego trudu, jak nawet nie zajmuje mu to wiele czasu, widział nawet, jak sam jeden dźwiga to ciało, wydobywa z grobu i to też przychodzi mu bez trudu, nie jest zdyszany, nie czuje napięcia mięśni, pracy płuc ani udreki wzdragających się zmysłów. Ale właśnie wtedy waliła się na niego cała ta rozbita i przemielona północ, poza którą

i poprzez którą, choćby nie wiem jak się wysilał i wytrzeszczał oczy, nie mógł sięgnąć wzrokiem. Więc (a szedł dalej, nie zatrzymywał się od tamtego pierwszego ułamka sekundy, w którym zamknął drzwi gabinetu) wyteżając całą swoją wolę pchnął się w jakąś ostateczną logikę gorączkowego rozważania, jakiś chłodny, rozsądny, desperacki sąd, nie zajmujący się bynajmniej żadnymi za i przeciw, gdyż nie było "za", bo jechał tam przecież dlatego, że ktoś musiał to zrobić, a nikt inny by tego nie zrobił, a jechać tam ktoś musiał dlatego, że nawet sam szeryf Hampton (vide: Will Legate i jego strzelba na stanowisku w parterowej sieni więzienia niby na oświetlonej scenie tak, aby każdy, kto się zbliży, zaraz go zobaczył, a właściwie ich: jego i jego strzelbę, zanim jeszcze wejdzie w bramę; nie był taki do samego końca pewny, czy wszyscy Gowrie i ich krewni, i przyjaciele nie zechcą dziś w nocy odbić Lucasa z więzienia, a gdyby wszyscy Gowrie przyjechali dziś w nocy do miasta, żeby zlinczować Lucasa, to tam za miastem nie będzie nikogo, kto by mógł jego przyłapać na rozkopywaniu tego grobu; i jeśliby to rozumowanie było słuszne, to i rozumowanie zakładające odwrotny bieg rzeczy musiałyby być słuszne: jeśli dziś w nocy nie przyjadą po Lucasa do miasta, to wtedy każdy z tych pięćdziesięciu czy stu mężczyzn albo chłopaków związanych z nimi najbliższymi węzłami pokrewieństwa czy tylko współudziałem w polowaniach na lisy, pędzeniem nielegalnej whisky albo handlem sośniną może się natknąć na niego

^^m i na Alecka Sandera; i to też, znów: musi jechać ^^ konno też dlatego, że nikt inny by tego nie zrobił, poza szesnastoletnim chłopcem, który nie ma nic prócz konia, a w tej sprawie musiał jeszcze wybierać; albo jechać sam i zyskać połowę cennego - czasu, a potem stracić go trzy razy więcej na wykopywanie ciała bez niczyjej pomocy, bo wtedy będzie musiał sam zająć się nie tylko kopaniem, ale nasłuchiowaniem i czuwaniem, albo też zabrać ze sobą Alecka Sandera (jeździli już w ten sposób z Aleckiem Sanderem nawet dalej niż dziesięć mil na Highboyu — był to wielki, kościsty wałach, biorący pięć płotków pod obciążeniem siedemdziesięciu pięciu funtów i wyciągający powolnego galopa nawet pod dwoma jeźdźcami naraz, koń o długim, podrzucającym, szybkim kłusie, prawie tak szybkim, jak galop, którego jednak nawet Aleck Sander nie mógł wytrzymać przez dłuższy czas, jeśli siedział z tyłu za siodłem, i z którego i koń przechodził w jakiś swój człapiący półbieg, 'y półmarsz, nie dający się nazwać, jakim mógł iść całe mile dźwigając ich obu, i przez pierwszą milę Aleck Sander siedział za nim na siodle, kiedy koń szedł galopem, a przez następną kłusował obok konia przytrzymując się za strzemień) i wykopać to ciało trzy razy prędzej, ryzykując, że Aleck Sander dotrzyma towarzystwa Lucasowi, jeśli Gowrie się zjawią z benzyną; nagle schronił się znów w obłok konfetti, tak samo jak się odskakuje do tyłu, zanim się wreszcie wejdzie do zimnej wody, i wyobraził sobie, zobaczył siebie, usłyszał* jak się stara Lucasowi też to wytłumaczyć.

• — Musimy wziąć konia, nie ma rady — a Lucas mówi: — Nie mogłeś go prosić o samochód? — I on odpowiada: — Nie dałby, czy nie rozumiesz? Nie tylko, że by nie dał, zaniknąłby mnie tak, że bym nie mógł nawet wyjść i zająć tam na piechotę, nie mówiąc już o braniu konia. — A Lucas: — Dobrze, już dobrze. Nic na ciebie nie mówię. Przecież to nie ciebie podpalać chcą ci Gowrie. — I szedł przez hall do tylnych drzwi; pomylił się przedtem; to tutaj była ta nieodwracalna chwila, spoza której nie będzie już powrotu, a nie wtedy, kiedy powiedział przez stalowe kraty do Lucasa: “dobrze*”, ani wtedy, kiedy zamknął za sobą drzwi gabinetu i z powrotem wyszedł do hallu; jeszcze tu mógł się zatrzymać i nie przekraczać, tej- chwili wcale, niechby katastrofa północy roztrzaskała się o te ściany, niegroźna i bezsilna, bo te ściany były mocne i wytrzymałyby uderzenie, te ściany to był dom, wznosiły się ponad tę katastrofę i były silniejsze od lęku; szedł jednak dalej nie zatrzymując się, nie był nawet na tyle ciekawy, żeby się zastanowić, czy może nie zatrzymuje się z braku odwagi, żeby się zatrzymać, przymknął za sobą drzwi po cichu i zeszedł po schodkach w otchłanny, płodny wir cichej majowej nocy i szedł teraz prędko przez podwórze ku ciemnej chacie, W której Paralee i Aleck Sander — tak jak i wszyscy inni Murzyni w promieniu mili wokół miasta — nie zmrużyli dziś oka i nie kładli się nawet do łóżek, tylko siedzieli po ciemku, nieruchomo, za zamkniętymi drzwiami i zasłoniętymi oknami, nasłuchując tego dźwięku, tego pomruku gniewu i śmierci, jakim

odezwie się wiosenna ciemność, potem zatrzymał się i gwizdnął sygnał, którego obaj z Aleckiem Sanderem używali, odkąd tylko nauczyli się gwizdać, a potem liczył sekundy czekając, na chwilę, kiedy sygnał trzeba będzie powtórzyć, i myśląc, że gdyby to on był na miejscu Alecka Sandera, nie wyszedłby dziś wieczorem z domu na niczyje gwizdanie, gdy nagle, bez najmniejszego szmeru i nie zdradzona najmniejszym odblaskiem światła, wprost z mroków wyrosła przed nim już zupełnie blisko w tej bezksiężycowej ciemności sylwetka zbliżającego się Alecka Sandera, nieco wyższego niż on, choć różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie parę miesięcy, i Aleck Sander podszedł nawet nie patrząc na niego, tylko gdzieś poza niego i nad nim, w stronę Rynku, jakby wzrok, niczym piłka w górnym podaniu na meczu baseballu, mógł przelecieć nad drzewami, ulicami i domami i opaść na Rynek — nie między ludzkie siedliska wśród cienistych ogródków, spokojne wieczery i odpoczynek, i sen, które były celem i nagrodą, ale na ten inny Rynek: budowle wzniesione w tym przeznaczeniu, żeby służyły handlowi i administracji, sądzeniu i więzieniu ludzi, na Rynek, gdzie ścierały się i walczyły ludzkie namiętności, dla których celem, ucieczką i nagrodą był odpoczynek i ta odrobina śmierci, jaką przynosi sen.

— To oni jeszcze nie przyszli po starego Lucasa — powiedział Aleck Sander.

— To wy też myślicie, że przyjdą?

— Też byś tak myślał. To przez takich jak Lucas potem wszystko na nas.

— Możesz sobie iść do gabinetu i siedzieć z wujkiem Gavinem. Możesz ze mną nie jechać.

' — Gdzie z tobą jechać?

Powiedział mu krótko, - bez ogródek, ochrypłym szeptem:

— Wykopać Vinsona Gowrie.

Aleck Sander nie drgnął patrząc bez przerwy poza niego, ponad nim w stronę Rynku.

— Lucas mówił, że Gowrie został zabity nie z jego pistoletu.

Wciąż nie poruszając się Aleck Sander zaczął się śmiać po cichu i niewesoło, bez jakiegokolwiek wyrazu; powiedział dokładnie to samo, co powiedział wuj nie dawniej jak minutę temu:

— Właśnie to. samo bym mówił. Ja? Ja mam tam jechać i wykopywać tego białego? Czy pan Gavin już jest w biurze, czy mam tam na niego poczekać?

— Lucas ci zapłaci. Powiedział mi, że zapłaci, zanim jeszcze powiedział, co mam zrobić. Aleck Sander roześmiał się, ale nie z rozbawieniem ani z pogardą, ani z niczym innym, i nie było w tym śmiechu nic poza śmiechem, tak jak w oddychaniu nie ma nic poza oddychaniem. —iNie jestem bogaty, nie potrzeba mi pie- niędzyj

— Mógłbyś przynajmniej osiodłać Highboya, a ja przez ten czas poszukam latarki. Korona nie spadnie ci z głowy, jak tyle dla Lucasa zrobisz, co?

— Chyba — powiedział Aleck Sander odwracając się.

— Naszykuj mi oskard i łopatę. I długą linkę. Będzie mi też potrzebna.

— Jak chcesz. — Już odchodząc zatrzymał się. —r Ciekawe, jak zawieszysz na Highboyu oskard i łopatę, kiedy on nie znosi, jak się ma w ręku bodaj kawałek bata?

— Nie wiem. *

Aleck Sander odszedł, a on. zawrócił znów w kierunku domu i w pierwszej chwili pomyślał, że to wuj wychodzi zza rogu od frontu i idzie prędko. w jego stronę, choć przecież nie dlatego, żeby się spodziewał, że wuj może się domyślić i przewidzieć, co on ma zamiar zrobić, bo tego się nie spodziewał, ponieważ wuj odrzucił tę myśl tak samo natychmiast i całkowicie nie tylko jako pomysł, ale i jako ewentualną możliwość, ale dlatego, że nikt inny nie przychodził mu do głowy, 'kto by to mógł być, a nawet kiedy już zobaczył, że to kobieta, nawet kiedy powinien był już poznać ten kapelusz, myślał, że to matka, dopóki panna Habersham nie zawołała go po imieniu, na co pierwszą jego myślą było uskoczyć szybko i po cichu za ścianę garażu, skąd mógłby nie zauważony dopaść ogrodzenia okólnika, przeleźć przez nie i pójść do stajni, a potem wyjechać bramą okólnika nie zbliżając się więcej do domu i rezygnując z latarki, ale już było za późno — zawołała go po imieniu przenikliwym, nagłym szeptem:

— Charles! — podeszła prędko i stanęła przed nim mówiąc dalej owym przenikliwym, prędkim półgłosem: —i Co on ci powiedział?

Więc teraz już wiedział, co to go niepokoiło i domagało się jego uwagi wtedy, w gabinecie wuja, kiedy już ją zobaczył, co to zaniepokoiło go i zaraz wymknęło mu się z myśli — przypomniał sobie starą Molly, żonę Lucasa, córkę jednego z niewolników starego doktora Habersham, dziadka panny Habersham; Molly i panna Habersham były rówieśnicami, urodziły się w tym samym tygodniu, obie wykarmiła matka Molly i obie wychowały się razem, prawie nierozłączne, niczym siostry, niczym bliźniaczki, śpiąc zamknięte w jednym pokoju; biała dziewczyna na łóżku, czarna u stóp łóżka na sienniku, i tak prawie do czasu, kiedy Molly i Lucas się pobrali, po czym jeszcze panna Habersham trzymała do chrztu w murzyńskim kościele pierwsze dziecko Molly.

— Mówił, że to nie z jego pistoletu.

— No, to on tego nie zrobił — powiedziała, wciąż prędko wyrzucając z siebie słowa tonem nawet jeszcze bardziej teraz nagłym.

— Nie wiem.

— Bzdura. Jeśli to nie z jego pistoletu...¹ —Ja nie wiem.

— Musisz wiedzieć. Widziałeś się z nim... rozmawiałeś...

— Ja nie wiem.

Powiedział spokojnie, powoli, z jakimś niedowierzającym zdziwieniem, jakby dopiero teraz sobie uprzytomnił, co obiecał, co miał zamiar zrobić.

— Ja właśnie nie wiem. Jeszcze nie wiem. Właśnie tam jadę...

Urwał. Głos mu się urwał. Przez moment, przez sekundę pamiętał nawet, że powinien chcieć odwołać to, co powiedział, to ostatnie nie dokończone zdanie. Właściwie było już chyba za późno, ona już sobie sama zdążyła dopowiedzieć to niewiele, co nie zostało powiedziane, a teraz lada chwila mogła wybuchnąć płaczem, oburzeniem, podnieść krzyk i cały dom ściągnąć na niego. Ale w tej samej chwili już o tym nie pamiętał.

«— Oczywiście — powiedziała natychmiast, spokojnie, szeptem, i przez następne pół sekundy myślał, że zupełnie nic nie rozumiała, a potem i to mu wyleciało z głowy i stali oboje naprzeciwko siebie, niewidoczni w ciemnościach, rozdzieleni przenikliwym, prędkim szeptem, po czym usłyszał swój własny głos mówiący tym samym tonem, na tej samej wysokości, i nie byli właściwie dwojgiem konspiratorów, ale jakby raczej dwojgiem ludzi, którzy nieodwołalnie podjęli jakieś wyzwanie zupełnie nie wiedząc, czy potrafią mu sprostać, wiedząc tylko, że bez względu na to zmierzają się z nim.

— Nawet nie wiemy, czy to nie z jego pistoletu. To tylko on mówił, że nie.

~ Tak.

— On nie mówi, z czyjego, i nie mówi, że nie on z niego strzelił. Nawet tyle ci nie powiedział. Mówi tylko, że to nie z jego pistoletu?

.— Tak.

— A twój wujek tam w gabinecie powiedział ci,

że to jasne, dlaczego on tak mówi, to wszystko, co on teraz może mówić. — Nie odpowiadał. To nie było pytanie. Nie zostawiła mu też czasu na odpowiedź. — No dobrze — powiedziała. — Co teraz? Sprawdzić, czy to był nie jego pistolet? Sprawdzić, co on chciał przez to powiedzieć? Jechać tam i co?

Wyraźnie i krótko, równie skąpo jak Aleckowi Sanderowi, powiedział jej:

— Wykopać Vinsona Gowrie. — I nie przerywając nawet na tyle, żeby mu zdążyło przyjść do głowy, że w tym miejscu ona co najmniej przestanie oddychać, mówił dalej: — Jechać tam, wykopać go i przywieźć do miasta, żeby ktoś, kto się zna na ranach od kul, mógł zobaczyć jego ranę i...

— Tak — powiedziała panna Habersham. — Oczywiście. To zrozumiałe, że nigdy by tego nie powiedział twojemu wujkowi. Lucas jest Murzynem, a twój wujek to dorosły mężczyzna.

I teraz z kolei panna Habersham powtarzała i parafrazowała, a on pomyślał, że to nie wynika z niedoboru słów, z ubóstwa słownictwa, że przede wszystkim już sam niszczący proces powolnego i gwałtownego ścierania, wygładzania w ludzkim życiu jest tak prosty i tak nieubłagany, że słowa, które go obejmują, otaczają, opływają zewsząd, wchłaniając w dzieje ludzkości, z konieczności stają się proste i niezłożone, zawsze te same i niemal monotonne, a po drugie — co przerastało tę przyczynę i okrywało ją swoim olbrzymim cieniem — to, co panna Habersham

parafrazowała, było oczywistą prawdą, nie jakimś faktem, który by się domagał wyrazu w słowach bardzo urozmaiconych i oryginalnych, a prawda jest powszechna, bo musi być powszechna będąc prawdą, a więc nie trzeba jakiejś wielkiej prawdy po to tylko, żeby wprowadzić w ruch coś tak niewielkiego, jak jedna ziemia, i stąd każdy może znać prawdę; pozostawało im tylko zatrzymać się, zastanowić, poczekać.

— Lucas wiedział, że do tego musi znaleźć dziecko... albo taką starą kobietę, jak ja, kogoś, kto sobie nic nie robi z prawdopodobieństwa, z dowodów. Ludzie tacy, jak twój wujek czy pan Hampton, za długo już są dorosłymi mężczyznami i za długo już tkwią w interesach... Prawda? Lucas chce, żeby przywieźć tamtego do miasta, gdzie ktoś, kto się na tym zna, będzie mógł obejrzyć ranę od tej kuli. A jeśli ją obejrzy i przekona się, że to kula z pistoletu Lucasa?

I on znów nie odpowiedział na to ani słowem, a ona znów wcale nie czekała na odpowiedź, odwróciła się już, idąc powiedziała:

— I potrzebne nam będą oskard i łopata. Latarkę mam w samochodzie...

— Nam? — zapytał.

Zatrzymała się, powiedziała prawie z cierpliwością:

— To jest całe piętnaście mil...

— Dziesięć.

— ...grób jest sześć stóp głęboki. Już po ósmej, a musisz chyba zrobić to przed północą, żeby zdążyć z powrotem do miasta, zanim...

Powiedziała coś jeszcze, ale on nawet tego nie usłyszał. Nawet nie słuchał. Zaledwie piętnaście minut temu to samo mówił do Lucasa, ale dopiero teraz zrozumiał, co wtedy powiedział. Dopiero jak usłyszał, kiedy kto inny to mówi, ogarnął nie tyle niezwykłość swojego zamiaru, ale sam bezwładny, oporny, niepokonalny, fizyczny ogrom tego, z czym się zmierzył; powiedział cicho z bezradnym, tęnym zdziwieniem:

— Nie damy rady.

— Nie — powiedziała panna Habersham. — Więc co?

— A co pani radzi, proszę pani? -7- Nawet nie masz samochodu.

— Wybieraliśmy się na koniu. Teraz ona zapytała:

— Wybieraliśmy? Kto?

— Ja i Aleck Sander.

— No, to jest nas troje. Zabieraj swój oskard i łopatę. Zaraz zaczną się u was w domu dziwić, dlaczego nie słyszącej mojej półciężarówki.

Szła już.

— Tak, proszę pani — powiedział. — Niech pani podjedzie na drogę przed wrotami okólnika. My tam będziemy.

I on też już nie czekał. Usłyszał, że panna Habersham włącza silnik, kiedy przelażył przez parkan, i widział już strzałkę Highboya w czarnej czeluści otwartej stajni; gdy się tam znalazł, Aleck Sander przeciągał koniec zapiętego już popręgu przez rzemienną szlufkę. Podeszedł do Alecka Sandera, odcepiał linkę od wędzidla nie myśląc,

co robi, ale zaraz zaczepił ją z powrotem i odwiązał drugi jej koniec od kołka przy ścianie, przerzucił ją razem z cuglami przez głowę Highboya, wyprowadził go ze stajni i dosiadł.

—i Trzymaj — powiedział Aleck Sander podając mu oskard i łopatę, ale Highboy, jeszcze zanim w ogóle mógł je zobaczyć, już zaczął tańczyć, jak zawsze na widok bodaj gałązki, więc ściągnął go mocno do tyłu i osadził w miejscu, a Aleck Sander zawołał: "prrr!" i klepnął konia głośno po zadzie podając oskard i łopatę, które on sobie przymocował do łąku, po czym przytrzymał jeszcze konia w miejscu, żeby wydobyć nogę ze strzemienia i zrobić Aleckowi Sanderowi miejsce na jego nogę, a Highboy jednym długim susem rzucił się, kiedy Aleck Sander wskakiwał z tyłu na siodło, i wyrwał się wciąż, aż go znów osadził jedną ręką (oskard i łopata objęły się o siodło) i skierował poprzez okólnik w stronę wrót.

— Dawaj mi tu te diabelne oskardy i łopaty — powiedział Aleck Sander, —Wzięłeś latarkę?

— Twoje zmartwienie? — rzucił. Aleck Sander sięgnął spoza' niego wolną ręką i zabrał oskard i łopatę; znów przez sekundę zdawało się, że Highboy ją naprawdę widzi, ale teraz on mógł już obiema rękami użyć cugli. — Nigdzie nie jedziesz, po co ci latarka? Sam powiedziałeś.

Byli już prawie przy wrotach. Zobaczył na tle bledszej drogi czarną plamę stojącej półciężarów- ki; to znaczy, był pewny, że ją widzi, bo wiedział, że półciężarówka tam jest. Ale Aleck Sander zobaczył ją naprawdę. Aleck Sander chyba wi

■■■

dział w ciemności zupełnie tak dobrze jak zwierzęta. Trzymając oskard i łopatę Aleck Sander miał obie ręce zajęte, a jednak nagle sięgnął znów którąś ręką, wyrwał mu cugle, szarpnął Highboya prawie sadzając go na zadzie i syczącym szeptem zapytał:

— Co to?

— To półciężarówka panny Eunice Habersham. Panna Habersham z nami jedzie. Puszczaj go, do diabła — powiedział wydzierając cugle Aleckowi Sanderowi, który teraz puścił je nie zwlekając.

— To ona bierze półciężarówkę — powiedział Aleck Sander i nawet nie rzucił oskardu i łopaty, ale smyrgnął je o wrota z łoskotem i brzękiem i sam ześliznął się na ziemię akurat na czas, bo już Highboy stawał dęba, aż on musiał go porządnie trzepnąć złożoną linką między uszy.

— Otwieraj wrota — powiedział.

— Nie będzie nam koń potrzebny — powiedział Aleck Sander.

— Rozsiodłaj go i tutaj uczep. Zaprowadzimy go do stajni, jak wrócimy.

To powiedziała panna Habersham; przejechał teraz przez wrota i Highboy, kiedy Aleck Sander kładł oskard i łopatę z tyłu do półciężarówki, wciąż boczył się i bił kopytami, jakby się bał, że właśnie teraz Aleck Sander rzuci je w niego, a głos panny Habersham wydobywał się z ciemnej szoferki:

— Po tym, co słyszę, domyślam się, że to dobry koń. Czy i w biegu tak skacze?

— Tak, proszę pani. Nic, proszę pani. Weźmiemy i konia. Najbliższy dom będzie ód kościoła z milę, ale przecież mógłby ktoś usłyszeć samochód. Jak minjemy wąż, zostawimy samochód pod wzgórzem. — I od razu odpowiedział i na to też, zanim jeszcze zdążyła zapytać: — Koń będzie nam potrzebny, żeby go przywieźć do samochodu.

— Hi — powiedział Aleck Sander. Nie był to śmiech. I żadne z nich nie myślało też w tej chwili, że to śmiech. — Zdaje ci się, że ten koń weźmie na grzbiet to, co tam wykopiesz, kiedy on nawet nie chce wziąć tego, czym będziesz kopał?

Ale i-o tym już pomyślał, przypomniał sobie opowiadanie dziadka o dawnych czasach, kiedy w Yoknapatawpha, dwanaście mil od Jefferson, polowano na jelenie, niedźwiedzie i dzikie indyki, i o myśliwych, o Majorze de Spain, kuzynie dziadka, o starym Generale Compsonie, wuju Ike McCaslinie, wujecznym dziadku Carothersa Edmondsa, jeszcze żyjącym, dziewięćdziesięcioletnim starcu, o Boonie Hogganbecku, którego babka ze strony matki była Indianką z plemienia Czikasów, o Murzynie Samie Fathersie, synu wodza Czikasów, i o jednookiej myśliwskiej mulicy Majora de Spain, Alicji, która nie płoszyła się nawet zapachem niedźwiedzia, przypomniał ich sobie i pomyślał, że jeśli on rzeczywiście nosi w sobie dziedzictwo po wszystkich swoich przodkach, to niedobrze, że ci przodkowie, którzy przedłużając w nim swoje istnienie uczynili go nocnym gwałcicielem snu zmarłych leżących na

wiejskim cmentarzu, nie pomyśleli o tym, żeby wyposażyć go jakimś potomkiem owej nieocenionej jednookiej mulicy, aby miał na czym transportować tych, których sen zakłóci.

— Nie wiem — powiedział.

— Może się nauczy, zanim wrócimy do pół- ciężarówki — powiedziała panna Habersham. — Czy Aleck Sander umie prowadzić samochód?

— Tak, proszę pani — powiedział Aleck Sander.

Highboy wciąż się jeszcze płoszył; gdyby go powstrzymywać, zmydliłby się tylko do niemożliwości, więc—ponieważ noc była chłodna—przez pierwszą milę nie tracił z oczu tylnego światelka ciężarówki. Potem zwolnił. Światelko pomknęło zmniejszając się i znikło za wzgórzem, a on zmusił Highboya do tego człapiącego półbiegu-półmar- szu, który nie uchodziłby na żadnym przeglądzie koni, ale pochłaniał przestrzeń; do przebycia było dziewięć mil tej przestrzeni, więc pomyślał z jakimś ponurym rozbawieniem, że teraz wreszcie będzie miał czas się zastanowić, i pomyślał, jak bardzo już jest za późno na zastanowienie i że ani jedno z ich trojga nie śmiało się już zastanawiać i jeśli cokolwiek zrobili tego wieczora, to właśnie odepchnęli od siebie na dobre wszelkie zastanowienie, rozważę ^ namysł; był już pięć mil za miastem i zaraz miał przejechać poza ową (prawdopodobnie panna Habersham i Aleck Sander już ją przejechali) niewidoczną granicę, na której kończył się zasięg władz miasta, za którą był podokręg czwarty, osławiony, niemal legendarny,

M

i na pewno wszyscy troje dalecy byli w tej chwili od zastanawiania się, myślał, jak to w każdej chwili ktoś spoza czwartego podokręgu mógł bez najmniejszego wysiłku popełnić naraz dwie rzeczy, które nie będą sifc podobały jego mieszkańcom, skoro już z góry nie podobała się im większość z tego, co ludzie z miasta (a właściwie z pozostałych części okręgu też, jeśli już o to idzie) robili, ale im — szesnastoletniemu białemu chłopakowi, szesnastoletniemu czarnemu chłopakowi i starej, niezameżnej, siedemdziesięcioletniej białej kobiecie — wypadło wybrać ze wszystkich możliwych pomysłów niewyczerpanej" ludzkiej inwencji i jednocześnie popełnić właśnie te dwie rzeczy, na które podokręg czwarty odpowie z najwyższą furią, na które" oburzy się do głębi: pogwałcić grób członka ich klailu, i to pogwałcić go w tym celu, aby uchronić przed ich zemstą czarnego mordercę.

Pewne, rzeczy będą jednak ostrzeżeniem (nie zastanawiał się, komu się to ostrzeżenie przyda, skoro oni, ci, którzy zostaną ostrzeżeni, byli już sześć czy siedem mil od więzienia d wciąż Oddalali się od niego, tak prędko, jak tylko mógł popędzać konia), bo jeśli podokręg czwarty wybiera się dziś do miasta, powinien już niedługo zacząć ich mijać (czy też oni jego), poobijane, zabłocone samochody, puste ciężarówki do przewożenia bydła i drzewa i wierzchowe konie, i muły. Jednak odkąd wyjechał za miasto, aż do tego miejsca nikogo nie mijają, droga i przed nim, i za nim leżała blada i pusta, a przy droczle z ciemności wyłaniały się

wyższe albo też nisko przysiadłe ciemne domy i chaty, czarna przestrzeń gubiła się w ciemnościach, obecna zewsząd zapachem zoranej ziemi, i od czasu do czasu gęsta woń kwitnących sadów kładła się przed nim smugami na drogę niczym włóczące się nisko ciężkie pasma dymu, więc może , jecliali szybciej nawet, niż się spodziewał; i zaraz, Izanpn się zdołał powstrzymać, pomyślał: Może zdążymy, może jednak zdążymy, zanim zdołał^v uskoczyć w bok przed tą myślą, zanim zdołał ponad nią przeskoczyć, zdławić ją i wymazać, co powinien zrobić — nie dlatego, żeby zupełnie nie mógł uwierzyć, że może zdążą, i nie[dlatego, że w ogóle nie śmie się nigdy, nawet przed samym sobą, wypowiedzieć do końca jakiejś drogiej człowiekowi nadziei czy życzenia, chyba że jest to nadzieja desperacka albo jeśli się ją już samemu przekreśliło, ale dlatego, że ubranie tego w słowa choćby tylko przed samym sobą byłoby jakby zapaleniem zapałki, która nie rozproszy ciemności, a jedynie odsłoni jej grozę — nikły krótki błysk i światło wydobywające ż mroku na sekundę nieuniknioną i nieubłaganą wrogość pustej drogi i czarnej pustej zieajiJ

Ale był już prawie na miejscu; Aleck Sander i panna Habersham przyjechali pewno dobre pół godziny temu i jakąś sekundę zajęła mu myśl, że może Aleck Sander był na tyle ostrożny, żeby zjechać samochodem z drogi, na której każdy przypadkowy przechodzień mógłby go zobaczyć, po czym w tej samej sekundzie już był pewny, że Aleck Sander to zrobił, i wcale nie wątpił w Alecka

Sandera, ale w samego siebie, a to dlatego, że mógł choć przez chwilę zwątpić w Alecka Sandera—bo odkąd wyjechał za miasto, nie widział ani jednego z Murzynów, których o tej godzinie majowego niedzielnego wieczoru powinno się niemal co krok spotykać na szosie: mężczyzn i młode kobiety, i dziewczyny, a tu i ówdzie jakiegoś starca' czy staruszkę i nawet dzieci, jeśli nie było jeszcze zbyt późno, ale głównie mężczyzn, młodych kawalerów, którzy od poniedziałku przez cały tydzień prowadzili w ziemi ostrza pługów kierując ich skłon i zagłębienie za mułami, z wysiłku napinającymi grzbiety w łuk, aż do południa w sobotę, kiedy to umyć i ogoleni kładli czyste świąteczne koszule i spodnie i całą sobotnią noc spacerowali po zakurzonych drogach, mając jeszcze na to przed sobą całą niedzielę i całą niedzielną noc, do ostatniej chwili, kiedy musieli już wrócić do domu, znów włożyć kombinezony i ciężkie buty, zaprząc muły i — przez czterdzieści osiem godzin nie kładąc się, chyba że na krótko, z kobietą — znów wyjść w pole, znów ostrze pługa wbić w świeżą bruzdę, razem ze wschodem poniedziałkowego słońca — ale dziś, tej nocy, ich nie było; zanim jeszcze wyjechał z miasta, nie widział ani jednego Murzyna prócz Paralee i Alecka Sandera, ani jednego Murzyna przez dwadzieścia cztery godziny, ale tego się spodziewał, to było postępowanie, którego w takich okolicznościach spodziewali się po Murzynach zarówno biali, jak i sami Murzyni; wciąż przecież tu byli, nigdzie nie uciekli, tylko się ich nie widziało — czuło się ich nieprzerwaną obecność i bliskość; czarni mężczyźni i czarne kobiety, i dzieci siedzą oddychając i czekając za zatarasowanymi drzwiami i zamkniętymi okiennicami swoich domów, siedzą nie kuląc się, skręcając i wzdrygając, nie w złości i właściwie nie w lęku, po prostu siedzą i czekają, oczekują wszystkiego — jako że to oni mają tę broń, której biały człowiek nie jest w stanie przeciwstawić nic równego ani — jeśli by nawet wykradł jej tajemnicę — stanąć z nią do walki: cierpliwość, prostą umiejętność zejścia z oczu, z drogi — ale tutaj nie, tu zupełnie nie czuło się bliskości tłumu, czarnej, czekającej i niewidocznej ludzkiej obecności; ta ziemia była pustynią i świadkiem, ta bezludna droga (upłynie trochę czasu, zanim sobie uprzytomni, jak daleko zaszedł on, prowincjonalny missisipijski, który jeszcze tego samego dnia o zachodzie słońca okazał się —| w co nawet sam wierzył, jeśli o tym myślał w ogóle—wciąż jeszcze nieświadomym, skrepowanym pieluszkami dzieckiem długiej tradycji swoich rodzinnych stron — a właściwie nawet bezrozumnym wydobywającym się płodem, może nawet nieświadomym bólów porodu — ślepym i biernym, nie rozbudzonym jeszcze wśród pierwotnych bezbolesnych konwulsji wydobywania się na świat) możliwością rozmyślnego odwrócenia się tyłem, plecami do całego tego ciemnoskórego ludu, na którym wspierała się gospodarka tego kraju, odwrócenia się plecami nie w uniesieniu, gniewie czy nawet żalu, ale w jakimś proteście, na który nie było rady, którego nie można było przezwyciężyć, nagiąć, odwrócenia

piliłplipi

się plecami nie wobec nienawiści rasowej, lecz wobec ludzkiego poniżenia.

Teraz był już na miejscu; Highboy zebrał siły i zaczął nawet trochę ponosić, kiedy poczuł wodę, , choć miał już za sobą dziewięć mil, a zaraz i on zobaczył, dostrzegł w ciemnościach most, a przynajmniej lukę, tam gdzie droga otwierała nieprzenikniony mrok wierzb nad strumieniem, a potem Aleck Sander wyłonił się na tle poręczy mostu; Highboy parsknął na niego i zaraz on też go poznał, i nie zdziwił się, i nawet już nie pamiętał, że zastanawiał się kiedyś, czy Aleck Sander był na tyle przewidujący, żeby ukryć tę półciężarówkę, już nawet nie pamiętał, że właśnie tego się spodziewał, nie zatrzymując się ściągnął Highboya, by znów szedł stępa, przejechał przez most i popuścił cugli,, kiedy koń sam za mostem skręcił z drogi i puścił się kłusem ku wodzie jeszcze przez chwilę niewidocznej, a potem już i dla niego widocznej jako odbite migotanie tam, gdzie się w niej przeglądało niebo; wreszcie Highboy zatrzymał się znów i znów parsknął, a potem nagle stanął dęba i skoczył do tyłu niemal wyrzucając go z siodła.

— Poczul kurzawkę — powiedział Aleck Sander. — Może niech już poczeka, aż wrócimy do domu. Wolałbym teraz robić zupełnie co innego, tak samo jak on.

Skierował jednak Highboya trochę dalej w dół strumienia, gdzie już mógł dojść do wody, ale koń znów tylko ją powąchał, więc zawrócił i z powrotem wyjechał na drogę, po czym wyjął nogę ze strzemia, żeby Aleck Sander mógł wsiąść, a kiedy Aleck Sander wskakiwał, koń znów już biegł.

— To tu — powiedział Aleck Sander, kiedy on już sam zjechał ze żwiru drogi na wąską pełną dróżkę, która skręcała ostro ku czarnej zjawie wzgórza i wpełzała niemal zaraz na jego łagodne zbocze prowadzące ku górcom, a jeszcze zanim dróżka zaczęła się wznosić, powiał na nich, choć nie niesiony żadnym wiatrem, silny i nieustający zapach sosen, twardy i mocny jak uderzenie, stawiający opór, kiedy się człowiek poruszał, tak jak woda stawia opór, kiedy się człowiek w niej porusza. Koń biegł zboczem coraz bardziej stromym i chociaż dźwigał podwójny ciężar, starał się z nim biec tak, jak zwykł to robić zawsze, zbierał się w sobie i wyrzucał do przodu, póki on nie szarpnął go gwałtownie w tył; musiał go nawet jeszcze dobrze przytrzymać, żeby szedł stępa, który wychodził mu teraz jakiś szybki, wymuszony i niespokojny, zanim znaleźli się na pierwszym równym odcinku płaskowzgórza, gdzie, skoro tylko Aleck Sander znów powiedział: "to tu", w ciemnościach u skraju dróżki zjawiała się panna Habersham z oskardem i łopata. Highboy stanął i Aleck Sander zsunął się na ziemię. A za Aleckiem Sanderem on.

— Nie zsiadajcie — powiedziała panna Habersham. — Mam już tu narzędzia i latarkę.

— To jeszcze z pół mili — wyjaśnił. — Pod górę. Siodło nie jest damskie, ale może pani

spróbuje usiąść na nim po damsku. — A potem zwrócił się do Alecka Sander: — Gdzie jest ta półciężarówka?

— Tu za krzakami. Chyba nie mamy zamiaru urządzać defilady? Bo ja ani myślę.

— Nie, nie — zaprotestowała panna Habersham. — Mogę iść piechotą.

— Prędzej będziemy — powiedział. — Pewno już jest po dziesiątej. To łagodny koń. On tylko wtedy, jak Aleck Sander trzasnął oskardem i łopata...

— Oczywiście — powiedziała panna Habersham. Oddała narzędzia Aleckowi Sanderowi i podeszła do konia.

— Żałuję, że nie... — zaczął.

— Głupstwo — powiedziała, wzięła od niego cugle i jeszcze zanim zdążył przytrzymać jej stopę ręką, stała już w strzemieniu wsiadając tak lekko i szybko, jakby to zrobił on albo Aleck Sander, dosiadając konia okrakiem, tak że ledwo zdążył odwrócić głowę czując, że ona w ciemnościach patrzy na jego odwróconą głowę. — Głupstwo — powtórzyła. — Mam siedemdziesiąt lat. I będziemy się troszczyć o moją spódnicę, kiedy się już z tym załatwimy. — I popędziła Highboya sama, tak że ledwie zdążył złapać za uzdę, i wyjechała już na drogę, kiedy Aleck Sander nagle powiedział:

— Szszzsz. — Zatrzymali się, znieruchomieli w powłóczystym, nieustającym, niewidzialnym powiewie sosen. — Muł tu idzie z góry — powiedział Aleck Sander.

Więc on od razu zaczął zawracać konia. Panna Habersham powiedziała:

— Ja nic nie słyszę. Jesteś pewny?

— Tak, psze pani — powiedział zawracając Highboya z drogi. —• On dobrze słyszy.

I zatrzymując się przy pysku Highboya, wśród drzew i poszycia, położył drugą rękę na nozdrzach konia na wypadek, gdyby zwierzęciu przyszło do głowy parsknąć na drugie zwierzę; i ón też słyszał — wyraźnie koń albo muł schodził równym krokiem dróżką ze wzniesienia. Ten koń czy muł był prawdopodobnie nie podkuty, właściwie jedynym dźwiękiem, jaki naprawdę słyszał, było skrzywienie skóry, i przez te dwie minuty czy dłużej, zanim zwierzę zrównało się z nimi, zastanawiał się (ani chwili nie wątpiąc o samym fakcie), jak Aleck Sander w ogóle mógł to usłyszeć. Potem zobaczył je, a właściwie to miejsce, w którym zwierzę ich mijalo — plamę, ruch na tle jaśniejszego piasku dróżki, cień ciemniejszy niż cień, schodzący ze wzgórza; miękkie, równe człapanie i skrzywienie skóry oddaliło się, a potem ucichło zupełnie. Poczekali jednak jeszcze chwilę.

— Co to on wiozł na siodle przed sobą? — zapytał Aleck Sander.

— Nie widziałem nawet, czy tam ktoś siedział na tym mule, czy nie — powiedział.

— Ja nic nie widziałam — powiedziała panna Habersham. Wyprowadził konia z powrotem na drogę. — Może... — zaczęła.

— Aleck Sander usłyszy na czas — powiedział.

feiiii

Więc znów Highboy wspinał się równym i silnym krokiem na coraz bardziej stromy stok, a on szedł z jednej strony niosąc łopatę i trzymając się siodła ppd chudą, twardą łydką panny Habersham, a z drugiej strony szedł Aleck Sander z oskardem; szli pod górę, naprawdę całkiem szybko poruszając się w tym silnym, ciężkim, ruchomym, żywym zapachu sosen, który działał na płuca, kiedy się go wdychało, tak jak wino (tak sobie wyobrażał, bo nigdy go nie próbował. A mógłby — ten łyk podczas komunii się nie liczył, dlatego że był to tylko łyk, i to łyk kwasu, konsekrowanego i ostrego: nieśmiertelna Krew Naszego Pana, którą się pije nie dla smaku, spływająca nie w dół, do żołądka, ale tryskająca wzwyż i na zewnątrz ku Wszechwiedzy, między dobrem i złem, wyborem i odrzuceniem, i akceptacją na zawsze—a mógłby był go spróbować przy stole na Boże Narodzenie i w Święto Dziękczynienia, ale nigdy nie przyszła mu na to ochota) działało na żołądek.

Byli już dosyć wysoko, górzysty teren otwierał się i zapadał przed nimi niewidoczny w mroku, ale przeczuwany, odczuwalny jako wyżyna i szeroka przestrzeń; za dnia byłby je widział: jedno wzgórze za drugim, gęsto porośnięte sosną, fałdujące się na wschód i na północ jak prawdziwe góry Karoliny, a przed nimi jeszcze góry Szkocji, których nie widział i skąd przyszli jego przodkowie; zaczęło mu trochę brakować oddechu i już nie tylko słyszał, ale i czuł ciężkie krótkie sapanie płuc Highboya, kiedy koń i na tej stromiznie starał się

134

biec, mimo że z jeźdźcem na grzbiecie i ciągnąc za sobą jeszcze ich dwóch; panna Habersham hamowała konia, ściągała go cuglami, póki wreszcie nie wyjechali na właściwy szczyt i Aleck Sander raz jeszcze nie powiedział: "to tu", a wtedy zjechała z drogi; póki byli na drodze, on wciąż nic nie widział i dopiero kiedy zjechali, dojrzał w ciemnościach polanę, i to nie dlatego, że to była polana, ale dlatego, że w przesączającym się tam nikłym świetle gwiazd wznosił się na niej pochylony trochę w tę stronę, gdzie ziemia się zapadła, wąski obelisk marmurowego nagrobka. Ledwie w ogóle dostrzegał kościół (spłowiwały od działania słońca, wiatru i deszczu, nie malowany drewniany kościół nie większy od jednej izby), nawet kiedy odprowadzał Highboya za ten kościół i przywiązywał cugle do jakiegoś drzewka, odwiązywał linkę od uzdy i wracał do czekającej panny Habersham i Alecka Śandera.

— To będzie ten świeży — powiedział. — Lucas mówił, że od zeszłej zimy nie było ani jednego pogrzebu.

— Tak — stwierdziła panna Habersham. — Ten z kwiatami. Aleck Sander już go znalazł.

Ale żeby się upewnić (mówił w myśli spokojnie, sam nie wiedząc do kogo: Jeszcze mnóstwo, mnóstwo razy się omył> ale daj, żeby nie omylił się teraz), zasłonił zwiniętą chusteczką latarkę i skierował ją tak, że skupiony ostry stożek światła dotknął na sekundę świeżego kopczyka i rozrzuconych na nim nielicznych wieńców i wiązanek, a nawet pojedynczych kwiatów, a potem przez następną sekundę

spoczął na sąsiednim nagrobku, tylko tak długo, żeby można było przeczytać wyryty na nim napis: Amanda Workitt, małżonka N. B. Forresta Gowrie, ur. 1878 — zm. 19 2 6, a potem zgasił latarkę i ciemność, i mocny zapach sosen znów się nad nimi zamknęły, a oni stali przez chwilę nad świeżym kopczykiem ziemi zupełnie bezczynnie.

— To wstrętne — powiedziała panna Habersham.

— Nie tylko dla pani — powiedział Aleck Sander. — Do tej półciężarówki tylko pół mili. I to w dół.

Poruszyła się. Właśnie ona pierwsza.

— Bierz te kwiaty — rozkazała. — Ostrożnie. Widzisz je?

— Tak, psze pani — powiedział Aleck Sander. — Niedużo ich. Wygląda, że te kwiaty też cisnęły bez żadnego ładu.

— Ale my nic nie będziemy ciskać. Bierz je ostrożnie.

Musiała już teraz dochodzić jedenasta; pewno nie zdążą; Aleck Sander dobrze powiedział, właśnie to należało zrobić: wrócić do półciężarówki i odjechać do miasta, a potem przez miasto i dalej, nie zatrzymywać się, nie mieć nawet czasu myśleć wobec konieczności prowadzenia samochodu, kierowania nim, wobec nieprzerwanej jazdy pozwalającej być ciągle w ruchu, nigdy nie wracać; ale przecież już z góry wiadomo było, że nie zdążą, wiedzieli o tym, zanim jeszcze wyjechali z Jefferson; pomyślał przez chwilę, że gdyby

Aleck Sander mówił poważnie, kiedy powiedział, że nie pojedzie, i że gdyby był wobec tego przyjechał sam (natychmiast), wcale by o tym nie myślał; zanim się zmienili, Aleck Sander pierwszy kopał łopatą, a on pracował oskardem, choć ziemia leżała jeszcze tak luźno, że właściwie oskard nie był potrzebny (gdyby nie leżała wciąż tak luźno, nie uporali się z tym nawet do białego dnia); szybciej by to poszło, gdyby mieli dwie łopaty, i łopaty zupełnie by wystarczyły, teraz już jednak było za późno, ale Aleck Sander w pewnej chwili nagle podał mu łopatę, wylazł z dołu i zniknął (nie biorąc nawet ze sobą latarki) posługując się tym samym jakimś zmysłem nie wzroku i nie słuchu, za pomocą którego stwierdził, że to, co poczuł Highboy u strumienia, to była kurzawka, i za pomocą którego dobrą minutę wcześniej, nim on czy panna Habersham cokolwiek usłyszeli, rozpoznał, że ze wzgórza schodzi koń albo muł, i zaraz wrócił z krótkim kawałkiem lekkiej deski, tak że teraz obaj mieli czym kopać, a on usłyszał: "hop!", i potem cichy zgrzyt, kiedy Aleck Sander wbijał deskę w ziemię, wyrzucał ziemię na górę obok. dołu i wydychał powietrze, za każdym razem postępując: -"hu!", stęknieniem gorączkowym, zapalczywym i powściąganym, coraz szybszym i szybszym, aż rytm tego wydechu stał się taki prędki jak rytm czyjegoś biegu: "hu! hu! hu! hu!", więc nie odwracając się powiedział przez ramię:

— Nie spiesz się. Kopiemy całkiem dobrze.

Rozprostował się na chwilę, żeby obetrzeć spoconą twarz, i zobaczył znów na tle nieba nad sobą

nieruchomą sylwetkę panny Habersham w prostej bawełnianej sukience i okrągłym kapeluszu nałożonym dokładnie na czubek głowy, w sposób nieczęsto już widywany w ostatnich pięćdziesięciu latach i prawdopodobnie zupełnie nigdy i przez nikogo nie widywany z głębi na pół sprofanowanego grobu, a właściwie więcej niż na pół, bo teraz wbijając łopatę usłyszał nagle uderzenie drewna o drewno i Aleck Sander powiedział ochryple:

— No, wylaż stamtąd i zrób mi miejsce—i smyr-r gnął deskę z dołu, zabrał, wydarł mu łopatę z rąk, po czym on wylaż na górę, a jeszcze kiedy się gramolił, panna Habersham podała mu zwiniętą linkę.

— I latarkę—powiedział, więc dała mu i latarkę, wyprostował się wtedy i on; mocny, gęsty, leniwy powiew idący od sosen osuszał na nim pot, aż mokra koszula zaczęła go ziębić, a niewidoczna pod nim w jamie łopata zgrzytała i drapała o drewno, więc nachylając się i znów osłaniając światło błysnął nim w dół na nie malowane wieko sosnowej skrzyni, a potem je zgasił.

— Dobra — powiedział. — Już wystarczy. Wylaż.

I Aleck Sander razem z ostatkiem ziemi wyrzucił łopatę, smyrgając i jedno, i drugie łukiem z dołu niczym dziuryt i jednym skokiem zjawiając się za nimi, a wtedy on z latarką i linką spuścił się do dołu; dopiero teraz sobie przypomniał, że będzie mu potrzebny jakiś młotek czy sztaba—coś, czym by mógł podważyć wieko — i że jakikolwiek tego rodzaju przedmiot znajduje się — jeśli przypad

kiem panna Habersham ma coś takiego w swojej półciężarówce — pół mili pieszej drogi stąd, i to w jedną stronę pod górę, więc nachylił się, żeby po omacku poszukać uchwytu czy jakiegokolwiek miejsca, w którym można by było podważyć wieko, kiedy się nagle przekonał, że wieko w ogóle nie jest przybite — więc stając nad nim okrzakiem schwycił równowagę wsparty całym ciężarem ciała na jednej nodze, zdołał unieść wieko, cofnąć je i podpierając się tymczasem łokciem jednej ręki roztrzaskać zwój linki i znaleźć jej koniec, po czym zapalił latarkę, skierował światło w dół i zaraz powiedział:

—r Ale... — Wciąż powtarzał: "ale", zanim wreszcie usłyszał, że panna Habersham mówi syczącym szeptem:

— Charles... Charles...

— To nie jest Vinson Gowrie — powiedział. Ten człowiek się nazywa Montgomery. To taki kupiec drzewny z Crossman.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Oczywiście musieli dół z powrotem zasypać ziemią, a do tego on wracał konno. I tak jednak było jeszcze dobrze przed świtem, kiedy przy- wrotach okólnika zostawił Highboya Aleckowi Sanderowi i wszedł do domu, gdzie mimo że uważał, pamiętał, żeby stąpać na palcach, tuż za frontowymi drzwiami matka z rozpuszczonymi włosami i w nocnej koszuli przywitała go pełnym lamentu: — Gdzieś ty był?! — i poszła za nim pod drzwi pokoju wuja, a kiedy czekali, aż wuj coś na siebie włoży, lamentowała dalej: — Ty? Rozkopywałeś grób? — Na co on z jakąś znużoną, niewyczerpaną cierpliwością prawie padając z nóg po tej całej konnej jeździe i kopaniu, a potem znów zakopywaniu i na nowo konnej jeździe, i jakimś cudem stawiając jednak czoło jeszcze tej jednej nieuniknionej przeszkodzie, której prawdę mówiąc wcale nie spodziewał się wziąć, odpowiedział: — Aleck Sander i panna Habersham pomagali— co, zdaje się, że wszystkiego było najgorsze, chociaż wciąż jeszcze zachowywała się cicho — po prostu zdumiona i nie dająca wiary, aż wreszcie wyszedł wuj, zupełnie już ubrany, nawet w krawacie, tylko nie ogolony, i powiedział:

— Uspokój się, Maggie, chcesz obudzić Char- leya? — a potem wrócił razem z nimi do frontowych drzwi i teraz ona powiedziała — znów pomyślał o tym, jak to właściwie nie można im nigdy stawić czoła przez tę ich płynność, która w istocie nie jest jakąś nieograniczoną możliwością zmiany, lecz gotowością do wycofania się nie tylko z wszelkiej pozycji, ale i z wszelkiej zasady tak bezcieleś- nie i ustępliwie, jak wiatr czy w ogóle powietrze; nie potrzebowałeś szykować swoich sił, bo już były gotowe — lepsza artyleria, większa liczba, słuszność, przewaga czasu i wprawy, i wszystko inne — i uderzałeś, oczyszczałeś pole, zmiatałeś przed sobą wszystko — albo też tak ci się tylko zdawało, zanim się spostrzeżesz, że nieprzyjaciel wcale nie pierzchnął i nie tylko zdążył już opuścić pole, ale jeszcze opuszczając je przywłaszczył sobie twoje bojowe zawołanie; jesteś przekonany, żeś zdobył jakąś twierdzę, a tymczasem się okazuje, że zająłeś całkiem nie dającą się utrzymać pozycję, a nieprzyjaciel już uderza siłami nie nadwątlonymi ani o jednego człowieka na twoje nie bronione i niczego się nie spodziewające tyły — matka powiedziała:

— Ależ on powinien spać! Nawet się nie kładł do łóżka!

Więc na to stanął jak wryty i stał, aż wuj powiedział, syknął do niego:

— No, no, cóż to się z tobą dzieje? Nie wiesz, że

ona jest bardziej nieugięta niż ty i ja razem wzięci, tak samo, jak stara Habersham była bardziej nieugięta niż wy obaj z Aleckiem Sanderem? Ciebie ona nie potrzebowała tam ciągnąć za rękę, pojechałbyś sam, ale Aleck Sander nie; choć właściwie nie jestem taki pewny, czybyś pojechał, gdybyś się dobrze zastanowił.

Ruszył więc za wujem ku pannie Habersham siedzącej w półceżarówce za zaparkowanym samochodem wuja (wczoraj wieczorem o dziewiątej samochód stał w garażu, musi pamiętać, żeby później, kiedy będzie miał więcej czasu, zapytać wuja, gdzie też go matka posyłała na poszukiwania).

— Odwołuję to, co mówiłem — powiedział wuj. — Przepraszam. Z ust niemowląt, osesków i wiekowych dam.; — i sparafrazował. — To była rzeczywiście prawda, co się często zdarza rozmaitym prawdom, tylko że człowiek nie jest zbyt zachwycony, jeśli mu tą prawdą świecić w oczy

0 trzeciej nad ranem. I nie zapominaj o matce, co

I tak ci się nie uda. Ona zresztą już dawno temu zadbała o to, żeby ci się nie mogło udać. Więc tylko pamiętaj, że one się nie ugną wobec niczego, akceptują każdy fakt (to tylko mężczyźni uciekają od faktów), jeśli tylko nie muszą stawić mu czoła; potrafią go sobie przyswoić odwracając oczy i wyciągając jedną rękę poza siebie niczym polityk przyjmujący łapówkę. Spójrz na nią, przeżyje całe długie, zadowolone, szczęśliwe życie, ale nie ustąpi ani na jotę w tym swoim proteście i nie

przebaczy ci tego, że sam potrafisz zapiąć sobie spodnie.

I wciąż jeszcze było dobrze przed świtem, kiedy wuj zatrzymał swój samochód u furtki szeryfa, wszedł pierwszy na krótką dróżkę, a z niej na wynajęty ganek. (Jako że nie mógł dziedziczyć sam po sobie, choć teraz, za trzeciej swojej kadencji, szeryf Hampton miał za sobą okres dzierżawy właściwie niemal dwukrotnie tak długi jak dwanaście lat swojej służby. Hampton był- wieśniakiem, farmerem i synem farmera, kiedy wybrano go po raz pierwszy, i do niego teraz należały farma i dom, w którym się urodził, ale w okresie urzędowania mieszkał w tym wynajętym domu w mieście, skąd potem wracał na farmę, która była zawsze między jedną a drugą kadenką jego prawdziwym domem, i żył na farmie dotąd, aż znów mógł kandydować — i znów być wybranym — na szeryfa.)

— Mam nadzieję, że on nie sypia twardo — powiedziała panna Habersham.

»

— Już nie śpi — powiedział wuj. — Gotuje śniadanie.

— Gotuje śniadanie? — powtórzyła panna Habersham i wtedy zobaczył, że chociaż panna Habersham trzyma się tak prosto i chociaż ten kapelusz ani na milimetr jej się nie zsunął z samego czubka głowy, jakby go tam utrzymywała w równowadze nie za pomocą szpilek, ale samym niezachwianie prostym osadzeniem szyi, dzięki któremu Murzynki potrafią unieść na głowie całe

z nami.

Otworzył drzwi i od razu poczuli zapach kawy i smażonego boczku, idąc po linoleum w stronę słabego światła w głębi sieni, a potem przez też wyłożoną linoleum podłogę stołowego z ciężkimi meblami wyrabianymi w Grand Rapids, aż weszli do kuchni, w jaskrawy, wesoły blask szczap drzewa płonących pod płytą, przy której stał nad patelnią z pryskającym tłuszczem. Szeryf w podkoszulku, skarpetkach i spodniach z dyndającymi szelkami, z włosami zmierzwionymi i splątanymi po nocy jak włosy dziesięcioletniego chłopca, w jednej ręce trzymając łąpatkę do odwracania naleśników, a w drugiej ścierkę do naczyń. Zanim jeszcze weszli do kuchni, odwrócił swoją szeroką rodzinne pranie, to jednak i ona ledwie trzyma się na nogach ze zdenerwowania i bezsenności.

— To farmer — powiedział wuj. — Po wschodzie słońca, a przed południem, on już je tylko obiad. Pani Hampton jest w Memphis u córki, która spodziewa się dziecka, a o pół do czwartej rano tylko żona będzie mężczyźnie gotowała śniadanie. Żadna płatna miejska kucharka tego nie zrobi. Kucharka przychodzi o przyzwoitej porze, koło ósmej, i zmywa naczynia.

Wuj bez pukania otwierał już drzwi, ale zatrzymał się i obejrzał patrząc poza niego i pannę Habersham, w tę stronę, gdzie Aleck Sander stał u stóp frontowych schodków.

— A tobie niech się nie zdaje, że się od tego wykręcisz tylko dlatego, że twoja mama nie głośuje — powiedział do Alecka Sandera. — Idziesz twarz w stronę drzwi, i on zobaczył, jak małe, zimne i blade oczy szeryfa przemykają od wuja na pannę Habersham i od panny Habersham na - niego, a od niego na Alecka Sandera, przy czym to nie tyle jego oczy w tej sekundzie szerzej się otworzyły, ile same nieduże, twarde, czarne źrenice ściągnęły się na jedno mgnienie w punkciki niałe jak Ostrza szpilek. Szeryf jednak wciąż nic nie mówił, patrząc teraz tylko na wuja, i teraz nawet te małe, twarde źrenice jakby się znów rozszerzyły, tak jak się klatka piersiowa rozluźnia po swobodnym wydechu, a podczas kiedy oni we troje stali bez ruchu nie spuszczać z szeryfa oczu, wuj opowiedział mu wszystko prędko, zwięźle i dokładnie od tamtego momentu wczoraj wieczorem w więzieniu, kiedy wuj się zorientował, że Lucas zaczyna coś opowiadać czy raczej o coś go prosić, aż do momentu, kiedy on dziesięć minut temu wszedł do pokoju wuja i go obudził; a potem przerwał i znów zobaczyli, jak małe, twarde oczy przemykają myk myk myk przez ich twarze i znów zatrzymują się na wuju, wlepione w niego prawie na ćwierć minuty bez mrugnięcia. A potem szeryf powiedział:

— Z taką historią pan by do mnie nie przyszedł o czwartej rano, jakby to nie była prawda.

— To nie jest jakieś tam gadanie dwóch szesnastolatków — powiedział wuj. — Niech pan pamięta, że panna Habersham tam była.

— Nie potrzebuje mi pan tego przypominać. Nie zapomniałem o tym. Nie ma obawy, że bym zapomniał — powiedział szeryf i odwrócił się. Był

to olbrzymi mężczyzna, do tego już po pięćdziesiątce, więc nikt by nie przypuszczał, że się może szybko poruszać, i właściwie jego ruchy nie wydawały się szybkie, a jednak już zdążył zdjąć z gwoździa w ścianie nad płytą drugą patelnię i odwrócił się do stołu (na którym on dopiero teraz dojrzał poleć wędzonego boczku), zanim się można było spostrzec, że się w ogóle poruszył, i wziął do ręki nóż leżący obok boczku, nim wuj zdążył otworzyć usta.

— Nie mamy na to czasu—powiedział wuj. — Musi pan jechać sześćdziesiąt mil do Harrisburga do prokuratora okręgowego. Będzie pan musiał zabrać ze sobą pannę Habersham i tych chłopaków jako świadków, żeby ich przesłuchał, i musi pan uzyskać od niego pisemne podanie o" ekshumację zwłok Vinsona Gowrie...

Szeryf szybkim ruchem wytarł trzonek noża ścierką do naczyń.

— Zdaje się, że mi pan mówił, że Vinsona Gowrie nie ma w tym grobie.

— Oficjalnie on tam jest — powiedział wuj. — Według akt okręgu on tam jest. A jeśli pan, mieszkając tu na miejscu przez cały czas sprawowania swojego urzędu i znając pannę Habersham i mnie, musi mnie o to dwa razy pytać, to co robi Jim Halladay?... A potem musi pan tu wrócić te sześćdziesiąt mil znów, razem ze świadkami i z tym podaniem, żeby sędzia Maycox wydał zlecenie...

Szeryf upuścił ścierkę do naczyń na stół. — Muszę? — zapytał spokojnie, niemal nie zważając na to, co wuj mówi, tak że wuj już zupełnie umilkł i^v patrzył, jak szeryf odwraca się od stołu z nożem w ręku.

— Och — po wiedział, wuj.

— Przyszło mi do głowy jeszcze coś innego — powiedział szeryf. — Dziwię się, że pan o tym nie pomyślał. Ale może pomyślał pan.

Wuj nie spuszczał oczu z szeryfa. A wtedy Aleck Sander — stał za nimi wszystkimi, jeszcze po tamtej stronie drzwi ze stołowego do kuchni — powiedział takim spokojnym i obojętnym głosem, jakby odczytywał wierszowaną reklamę jakiegoś przedmiotu, którego nie posiadał i prawdopodobnie nigdy nie będzie potrzebował:

— Bo to może nie był muł. To może był koń.

— Może teraz to panu przyszło do głowy? — spytał szeryf.

. — Och — powiedział wuj. Powiedział: — Tak.

Ale już mówiła panna Habersham. Rzuciła na Alecka Sandera jedno krótkie, twarde spojrzenie, ale już zaraz tak samo szybko i tak samo twardo patrzyła na szeryfa.

— I ja tak myślę — powiedziała. — I myślę, że nam się należy coś więcej prócz tajemnicy.

r— Tak myślę i ja, panno Eunice — powiedział szeryf. — Tylko że tego, kogo teraz musimy wziąć pod uwagę, nie ma w tym pokoju.

— Och — westchnęła panna Habersham. Ona też powiedziała: — Tak. — Powiedziała: — Oczywiście — już w ruchu, spotkała się z szeryfem w pół drogi między stołem a drzwiami, wzięła od niego nóż i już podchodziła do stołu, kiedy szeryf

ją minął idąc do drzwi, a wuj, po wuju on, a po nim Aleck Sander ustępowali z drogi szeryfowi wychodzącemu do stołowego, przechodzącemu przez stołowy do ciemnego hallu i zamykającemu za sobą drzwi; teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego szeryf się nie skończył ubierać, zaraz kiedy wstał; człowiek, któremu to nie przeszkadza, którego nic do tego nie zmusza, w każdym razie człowiek, który wstaje o pół do czwartej rano, żeby sobie coś ugotować na śniadanie, mógłby na pewno bez wielkiego trudu wstać pięć minut wcześniej, żeby mieć czas włożyć od razu i koszulę, i buty, a potem powiedziała coś panna Habersham, więc przypomniał sobie o niej — to, oczywiście, obecność damy sprawiła, że szeryf poszedł włożyć koszulę i buty nie czekając, aż zje śniadanie — więc odezwała się panna Habersham, a on drgnął wynurzając się ze snu, bo od paru sekund czy nawet minut spał na stojąco jak koń, ale zobaczył, że panna Habersham kładzie tylko boczek na sztorc przed odkrajaniem pierwszego plasterka. Powiedziała:

— A nie mógłby zadzwonić do Harrisburga i powiedzieć, żeby prokurator okręgowy zadzwonił do sędziego Maycoxa?

— Właśnie to robi — powiedział Aleck Sander. — Dzwoni.

— Może lepiej idź do hallu, żebyś mógł dobrze słyszeć, co on mówi — powiedział wuj do Alecka Sandera, a potem znów spojrzął na pannę Habersham; on też się przyglądał, jak panna Habersham krótkimi cięciami odkrawa plasterki za plasterkiem boczków prawie tak prędko i równo, jakby to robiła maszyna.

— Pan Hampton uważa; że nie potrzebujemy żadnych papierów. Możemy to załatwić sami i nie zawracać głowy sędziemu Maycoxowi.

Panna Habersham puściła nóż. Nie położyła go, tylko po prostu odgięła palce, tym samym zaraz ruchem wzięła ścierkę do naczyń i wycierając ręce odwróciła się od stołu i przeszła przez kuchnię w ich stronę szybciej, nawet dużo szybciej, niż szedł szeryf.

— No to po co tu tracimy czas? — zapytała. — Czekamy, aż on włoży marynarkę i krawat?

Wuj prędko zastąpił jej drogę.

— Nic nie zrobimy po ciemku — powiedział. — Musimy czekać, aż się zrobi widno.

— Myśmy nie czekali — powiedziała panna Habersham.

Zatrzymała się; gdyby się nie zatrzymała, wpadłaby na wuja, chociaż wuj jej nie dotknął, tylko stanął między nią a drzwiami, tak że się musiała zatrzymać choć na sekundę, żeby wuj zdążył jej zejść z drogi — i on też na nią patrzył, kiedy stanęła w miejscu wyprostowana, chuda, prawie bezkształtna w prostej bawełnianej sukni, w tym okrągłym kapeluszu dokładnie tkwiącym na czubku głowy — patrzył i myślał: Ona jest na to za stara — i zaraz się poprawił: Żadna kobieta, żadna dama nie powinna tego robić, a potem przypomniał sobie, jak to wczoraj wieczorem wyszedł z gabinetu wuja, przeszedł przez podwórko, zagwizdał na Alecka Sandera i wiedział, wierzył — i teraz

jeszcze w to wierzył — że pojechałby sam, jeśliby Aleck Sander się uparł przy swojej odmowie, ale że dopiero wtedy, kiedy panna Habersham wyszła spoza domu i odezwała się do niego, zrozumiał, że to zrobi; i znów sobie przypomniał, co mu powiedział stary Ephraim, kiedy już znaleźli pod korytem dla świń tamten pierścionek: — Jak masz coś nie tak zupełnie zwyczajnego do zrobienia, i to nie może czekać, to nie trać czasu na przekonywanie mężczyzn; oni postępują według tego, co twój wujek nazywa przepisami i prawami. Idź z tym do kobiet i do dzieci; kobiety i dzieci postępują według okoliczności. — Teraz otworzyły się drzwi w hallu. Usłyszał, jak szeryf przechodzi przez stołowy do kuchennych drzwi. Ale szeryf nie wszedł do kuchni, zatrzymał się w drzwiach i stał w nich nawet po tym, jak panna Habersham. zapytała chrapliwym, niemal dzikim głosem:

— No?

Zobaczył, że szeryf wężale n\p włożył butów, nawet nie naciągnął na ramiona dyndających szelek i chyba wcale nie słyszał panny Habersham, po prostu stał w drzwiach jak jakaś zwalista zjawa i patrzył na pannę Habersham — nie na jej kapelusz, nie na jej oczy i nawet nie na jej twarz, tylko na nią, tak jak się patrzy na rządęk rosyjskich czy chińskich liter, którymi, zdaniem kogoś, komu wierzysz, napisano twoje nazwisko — aż wreszcie powiedział w zamyśleniu, niewyraźnie:

— Nie — po czym odwrócił głowę, żeby spojrzeć na niego, i powiedział: — I nie ty — i dalej

odwracał głowę, aż już patrzył prosto na Alecka Sandera, a wtedy Aleck Sander śmignął oczami w górę na twarz szeryfa, śmignął nimi z powrotem w bok i znów w górę, na szeryfa. — Ty — powiedział szeryf. — Właśnie ty. Tyś tam pojechał po ciemku i pomagał wykopać z grobu nieboszczyka. Nie dosyć na tym: białego nieboszczyka, którego, jak twierdzą biali, zamordował inny czarny. Dlaczego to zrobiłeś? Czy dlatego, że panna Habersham ci kazała?

— Wcale mi nikt nie kazał — powiedział Aleck Sander. — Nawet nie wiem, jak to się stało, że tam pojechałem. Już przedtem powiedziałem Chickowi, że nie mam zamiaru. Tylko że jakeśmy już byli przy półciężarówce, to się zrobiło tak, jakby nikt nie myślał, że mi w ogóle mogło przyjść do głowy, żeby nie jechać, i zanim się spostrzegłem, już jechałem.

— Panie Hampton — powiedziała panna Habersham i teraz szeryf na nią spojrział, i nawet usłyszał, że ona coś mówi.

— Jeszcze pani nie pokroiła tego boczku? — zapytał. — To niech mi pani odda nóż. — Ujął ją za ramię i odwrócił z powrotem do stołu. — Nie dosyć jeszcze nachachmęciła pani przez tę noc? Na jakiś czas wystarczy. Za piętnaście minut zrobi się widno, a nikt się nie zabiera do linczowania przy świetle dziennym. Jak coś tam przeszkodzi albo jak już się ma pecha i w odpowiednim Czasie się nie zdąży, to się może zdarzyć, że się kończy jakiś lincz przy świetle dziennym. Ale przy świetle

dziennym nikt się do tego nie zabiera, bo wtedy ludzie by widzieli nawzajem swoje twarze. Kto zje więcej niż dwa jajka?

Zostawili Alecka Sandera z jego śniadaniem przy kuchennym stole, a sami przeszli do stołowego zabierając z sobą — on i wuj, i panna Habersham — półmisek z jajkami sadzonymi na boczku i brytfannę biskwitów upieczonych wczoraj wieczorem, a dziś odgrzanych w piecyku, tak że zrobiły się prawie jak tosty, i ronderek z kawą, w którym woda z nie odcedzonymi fusami bałwanila się na płycie, zanim szeryf sobie przypomniał, żeby go odstawić z ognia; usiedli we czworo, choć szeryf położył pięć nakryć, i ledwo usiedli, mimo że on nic nie słyszał, szeryf podniósł głowę, chwilę nasłuchiwał, podniósł się i zniknął w ciemnej sieni w głębi domu, skąd dobiegło do jego uszu trzaśnięcie kuchennych drzwi, i zaraz potem szeryf wszedł z Willem Legate'em już bez strzelby, a on odwrócił głowę, żeby wyrzeć przez okno, do którego siedział tyłem, i przekonał się, że już jest widno.

Szeryf nałożył im jaja, a wuj i Will Legate podali filiżanki swoje i filiżankę szeryfa pannie Habersham, żeby nalala kawy z rondelka. A potem naraz okazało się, że już od dłuższego czasu słyszy niczym z bardzo daleka, jak szeryf mówi: — ...chłopiec... chłopiec... -r- i wreszcie: — Niech go pan obudzi, Gavin. Niech on zje śniadanie, zanim pójdzie spać — i drgnął, ale nic się nowego nie zdarzyło, było tylko widno, a panna Habersham nalewała kawę jeszcze do tej samej filiżanki, więc zaczął jeść — żuł i nawet połykał unosząc się i opadając jakby w rytm zucia w tej miękkiej, głębokiej, bezdennej toni snu, spadając w dźwięk, a potem wydobywając się z dźwięku głosów, które brzęczały o sprawach już zakończonych i dla niego już obojętnych; głos szeryfa:

— Czy znasz Jake'a Montgomery'ego z okręgu Crossman? Tego, co przez ostatnie pół roku tak często pokazywał się w mieście?

I głos Legate'a:

— Pewnie, że znam. Ón teraz kombinuje w drzewie. Kiedyś miał tuż za Memphis, za torem kolejowym do Tennessee, taki lokal. Nazywał to restauracją, choć nigdy nie słyszałem, żeby tam kto dostał coś do przegryzienia. Miał ją, dopóki kiedyś wieczorem nie ukatrupili tam jednego faceta. To było jakieś dwa, trzy lata temu. Nigdy się nikt nie dowiedział, czy Jake maczał w tym palce, czy nie, ale policja z Tennessee dla samej zasady wygoniła go z powrotem przez granicę do stanu Missisipi. Zdaje mi się, że po tamtej historii zamelinował się na farmie swojego taty gdzieś za Glasgow. Może czeka, aż będzie pewny, że ludziska o tamtym zapomnieli i że może znów gdzieś przy szosie uwić sobie gniazdko ze schowkiem pod podłogą na skrzynkę whisky.

— A co robił tutaj? —| głos szeryfa.

I głos Legate'a:

— Kupował drzewo, no nie? Czy on nie z Vinsonem Gowrie... — I Legate powtórzył z wyraźnym naciskiem: — Co robił? — A potem powiedział bez żadnego nacisku: — Co robi?

A on teraz usłyszał swój głos, własny głos pozbawiony wszelkiego nacisku, stępiony o miękki, wysoki brzeg snu i zbyt był obojętny, żeby się przejmować, czy ten głos zabrzmiał głośno, czy cicho:

— Już teraz nic nie robi.

Ale później było lepiej, kiedy wyszli z ciepłego zaduchu domu znów na powietrze, w poranek, gdzie słońce jednym wysokim, prostym, złotym strumieniem obmywało same wierzchołki drzew, złocąc nieruchomą, otyłą wyniosłość miejskiej wieży ciśniętą w pajęczonogim wydłużeniu na tle błękitu, a oni we czworo wsiedli znów do samochodu wuja i szeryfa, ubrany teraz nawet w jaskrawy żółtopomarańczowy krawat, pochylił się ku przedniej szybie samochodu, mówiąc do wuja:

— Niech pan zawiezie pannę Eunice do domu, żeby się mogła przespać. Za jakąś, powiedzmy, godzinę po pana przyjadę...

Panna Habersham siedząca na przednim siedzeniu obok wuja powiedziała: — Też coś. — I to było wszystko. Nie zakłęła. Nie potrzebowała. To było daleko bardziej dosadne i mocne niż byłe przekleństwo. Pochyliła się do przodu, żeby spoza wuja spojrzeć na szeryfa. — Wsiadaj pan do swojego samochodu i jedź do więzienia czy dokądś tam, skąd będziesz pan teraz kogoś brał do tego kopania. Musieliśmy ten grób z powrotem zasypać, bośmy wiedzieli, że pan nam nie uwierzysz, póki nie zobaczysz sam. No, ruszaj pan — powiedziała. — Spotkamy się na cmentarzu. Ruszaj pan.

Ale szeryf się nie poruszył. Słyszał, jak szeryf oddycha, wdycha do samej głębi olbrzymie hausty powietrza i wydycha je powściągliwie, prawie jakby wzdychał.

— Oczywiście, nie wiem, jak tam pani, — powiedział. — Dama, która nic więcej nie ma na głowie oprócz karmienia, pojenia i pielęgnowania paru tysięcy kurczaków, i doglądania ledwie pięć-cioakrowej warzywnej farmy, to może nic nie mieć do roboty przez cały dzień. Ale przecież ci chłopcy muszą iść do szkoły. Ja w każdym razie nigdy nie słyszałem o żadnym takim rozporządzeniu Rady Szkolnej, które by zwalniało z lekcji do wykopywania nieboszczyków.

To nawet zamknęło jej usta. Ale jeszcze się nie wyprostowała. Siedziała pochylona do przodu, tak żeby spoza wuja patrzeć na szeryfa, a on znów pomyślał: Ona jest na to za stara, za stara, żeby musieć to robić, tylko że gdyby nie ona, zostałby on sam z Aleckiem Sanderem, których i ona, i wuj, i szeryf, wszyscy troje, i jego matka, i ojciec, a także i Paralee nazwaliby dziećmi — i nie tylko byłiby to zrobili, ale musieliby to zrobić, nawet nie w obronie sprawiedliwości i uczciwości, ale w obronie niewinności — i pomyślał o człowieku, który najwidoczniej musiał zabić drugiego człowieka bez motywu czy powodu, ale dla samej potrzeby, impulsu, konieczności zabicia, o człowieku, który po zabójstwie wymyśla i stwarza sobie motyw i przyczynę, aby móc jeszcze stanąć między ludźmi jako istota rozumna; ktokolwiek to był, co musiał zabić Yinsona Gow-

usta:

— I dla mężczyzny to nie było dziś w nocy.

— Chwileczkę, Hope — powiedział wuj i odwrócił się do panny Habersham. — Dla pani jest teraz tu w mieście coś do zrobienia — powiedział. — Przecież pani wie. — Teraz panna Habersham patrzyła na wuja. Ale wciąż jeszcze nie odchyliła się swobodnie do tyłu, nikomu jeszcze nie ustępując, patrząc; było tak, jakby nie przyjęła faktu, że zmienił się jej przeciwnik, że w miejsce jednego pojawił się drugi, ale jakby bez chwili zwłoki czy wahania przyjęła wyzwanie ich obu nie prosząc pardonu i nie domagając się dla niego, . musiał go potem martwego wykopać i zabić kogoś innego, żeby ten ktoś legł w opróżnionym grobie po to, żeby ten, kto go musiał zabić, mógł żyć spokojnie; a krewni i sąsiedzi Vinsona Gowrie będą musieli zabić Lucasa czy kogoś innego, czy kogokolwiek, i to naprawdę nie będzie ważne kogo, zanim będą mogli położyć się i odetchnąć spokojnie i dopiero wtedy w spokoju oddać się żałobie, i dopiero wtedy spocząć. Głos szeryfa był łagodny, nawet niemal troskliwy, kiedy powiedział:

— Niech pani wraca do domu. Pani i ci chłopcy dobrzeście się spisali. Wygląda na to, że ocaliliście jedno ludzkie życie. Teraz niech pani jedzie do domu i pozwoli nam zająć się resztą. To nie będzie dla damy.

Ale okazało się, że to, co przedtem powiedział szeryf, nie na długo zamknęło pannie Habersham

siebie forów. — Will Legate jest farmerem — powiedział wuj. — Pomijając już to, że całą noc czuwał, musi jechać do domu i zająć się trochę własnymi sprawami.

— Czy pan Hampton nie ma już innych pomocników? — zapytała panna Habersham. — Od czego są oni?

■— To są tylko ludzie ze strzelbami — powiedział wuj. — Legate sam mówił wczoraj wieczorem Chickowi i mnie, że jakby się znalazło wystarczająco wielu zdecydowanych i jakby sobie tym dosyć mocno nabili głowy, toby dali radę i jemu, i panu Tubbsowi. Ale gdyby kobieta, biała kobieta, dama... — Przestał mówić, urwał; patrzyli jedno na drugie; patrząc na nich znów pomyślał o wuju i Lucasia wczoraj wieczorem w celi (było to przecież wczoraj wieczorem, a zdawało się, że całe lata temu) — znów, tylko że teraz wuj i panna Habersham rzeczywiście patrzyli sobie w oczy, zamiast napinać jedno ku drugiemu ową najzupełniejszą koncentrację wszystkich zmysłów, wobec której zwykła, niezdarna, i często omylna zdolność pojmowania nie znaczyła wiele więcej, niż znaczyłaby umiejętność czytania sanskrytu; było teraz zupełnie tak, jakby się przyglądał dwóm ostatnim, walczącym o pulę pokerzystom. — ...gdyby dama siedziała tam tylko, na widocznym miejscu, tak żeby pierwszy, co będzie tamtędy przechodził, mógł rozpuścić o tym pogłoskę na długo przedtem, zanim podokręg czwarty zdąży zapalić silnik ciężarówki

wyjeżdżającej do miasta... a tymczasem my tam pojedziemy i skończymy z tym na dobre, na zawsze...

Panna Habersham odchyliła się powoli do tyłu, aż plecami dotknęła oparcia. Powiedziała:

— Więc ja mam tam siedzieć na tych schodach z rozpostartą spódnicą albo może lepiej z plecami opartymi o balustradę, a jedną nogą o ścianę kuchni pani Tubbs, kiedy wy, mężczyźni, coście nie zdążyli wczoraj nawet paru pytań zadać temu staremu Murzynowi, tak że nie miał wczoraj wieczorem nikogo prócz tego chłopca, tego dziecka...

Wuj nic nie powiedział. Szeryf stał nachylony ku szybie, oddychając tymi olbrzymimi głębokimi westchnieniami, nie oddechem ciężkim, ale właśnie takim, jakim, zdaje się, powinien oddychać wielki mężczyzna. Panna Habersham powiedziała:

' — Podwieźcie mnie najpierw do domu. Mam trochę cerowania. Nie będę tam siedziała przez całe rano z założonymi rękami, żeby się pani Tubbs zdawało, że mnie musi bawić rozmową- Zawieźcie mnie wpierw do domu. Ja już godzinę temu wiedziałam, jak bardzo wam się spieszy, panu i panu Hamptonowi. Ale na to możecie poświęcić trochę czasu. Moją półciężarówkę Aleck Sander może podrzucić pod więzienie, jak będzie szedł do szkoły, i zaparkować ją przed bramą.

— Tak, proszę pani — powiedział wuj.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Więc odwieźli pannę Habersham do domu, na sam skraj miasta i za zapuszczony, zaniedbany, cedrowy gaj, przed nie malowany portyk z kolumnami, gdzie wysiadła, weszła do środka i najwidoczniej nawet się nie zatrzymując przeszła przez dom od razu na tyły, bo zaraz usłyszeli, jak gdzieś z drugiej strony na kogoś — pewno na tego starego Murzyna, który był bratem Molly, a szwagrem Lucasa — krzyczy swoim donośnym głosem, trochę niecierpliwym i piskliwym od niewyspania i zmęczenia, a potem wróciła, niosąc wielkie tekturowe pudło pełne czegoś, co wyglądało jak nie prasowane pranie, i pończoch w długich wiotkich pasmach i strąkach, wsiadła do samochodu i pojechali z powrotem na Rynek przez świeże i ciche poranne ulice wśród starych, wielkich, chylących się do upadku drewnianych domostw, tych pradawnych, pierwszych podwalin Jefferson, położonych, jak i dom panny Habersham, w głębi zaniedbanych, opuszczonych ogródków zarośniętych starymi drzewami i pachnącymi krzewami, obsypanymi kwieciami, których nazw nawet nie pamiętali już ludzie

poniżej pięćdziesiątki, domostw, które, nawet jeśli mieszkały w nich dzieci, tak samo wydawały się nawiedzane przez cienie kobiet, starych kobiet, starych panien i wdów czekających już od siedemdziesięciu pięciu lat na spóźniony telegram z wieścią z pól bitewnych w Tennessee, Wirginii i Pensylwanii, domostw, które już nie patrzyły wprost na ulicę, ale wyglądały ku niej ponad schludnymi, małymi, parterowymi domkami pojutra, zbudowanymi w stylu budownictwa Florydy i Kalifornii, z bliźniaczymi garażami w schludnych ogródkach porośniętych strzyżonym trawnikiem i nudnymi klombami, na które podzielono place, uważane dwadzieścia pięć lat temu za nie wystarczające na jeden przyzwoity trawnik, domkami, w których młode dorabiające się pary mieszkały każda z dwójgiem dzieci i (skoro tylko mogli sobie na to pozwolić) każda z samochodem, każda z przynależnością do miejscowego towarzyskiego klubu i do klubu brydżowego, i do Klubu Młodych Rotarian, i do Izby Handlowej, każda rodzina zaopatrzona w najróżniejsze patentowane elektryczne przyrządy do gotowania, zamrażania i sprzątania i w czyściutkie fer- tyczne murzyńskie pokojówki w karbowanych cze- peczkach, do obsługiwania tych urządzeń, gawędzące przez telefon z domu do domu, podczas gdy panie domu ubrane w sandałówki i spodnie, wype- dikiurowane, z umazanych szminką papierosów wydmuchują kłęby dymu nad torbami do zakupów w sklepach spożywczych i d rug storę'ach.

A może tak by było i tak powinno być; nie dzieła, więc mogli sobie pozwolić na to, zgodzić się na jeden dzień nieobecności tych od włączania i wyłączania buczących odkurzaczy i naciskania guziczków w kuchni, jako na dzień wychodnego czy może okolicznościowego urlopu z okazji chrzcin albo pikniku czy uroczystego pogrzebu; ale już był poniedziałek, nowy dzień nowego tygodnia, i odpoczynek, potrzeba zabicia czasu, zwalczania nudy stały się już nieaktualne, dzieci znów szły do szkoły, a mężowie i ojcowie do sklepów czy biur, czy na codzienne posterunki przed kontuarem Western Union, gdzie co godzina otrzymywano telegraficznie giełdowe notowania bawełny; było tuż przed porą śniadania i hałaśliwego pośpiechu wychodzenia z domów, a oni wciąż nie widzieli ani jednego Murzyna r— ani dziewczyn z włosami wyprostowanymi u fryzjera, z makijażem, w barwnych, uszytych z tanim szykiem, masowej produkcji sukienkach, dziewczyn, które by poza białą kuchnią nawet nie włożyły na siebie czepeczków i fartuszków wymaganych przez ich chlebobawczynie, ani starszych kobiet w długich po kostki domowego szycia barchanach i kretonach, kobiet, które od rana do nocy chodziły zawsze w obszernych, niewymyślnych, uszytych w domu fartuchach, tak że te fartuchy przestały być symbolem i stały się odzieżą, ani też mężczyzn, którzy powinni byli o tej porze strzyc trawniki i przycinać żywopłoty; nie widzieli nawet (przejeżdżając już przez Rynek) miejskich sprzątaczy, którzy powinni o tej porze zmywać chodniki wodą z gumowych wężów

i zamiatać pozostałe jeszcze wszędzie z niedzieli papierki i pudełka po papierosach; przejechali przez Rynek i stanęli przed więzieniem, a wuj wysiadł z panną Habersham, wszedł po schodkach, do których prowadziła krótka dróżka, i zniknął za wciąż jeszcze otwartymi drzwiami, gdzie on zobaczył stojące nadal na tym samym miejscu, oparte o ścianę krzesło Legate'a i wynurzył się znów z tej powłóczystej, miękkiej, beczkowskiej, mknącej czerności snu po to, żeby się przekonać, jak za każdym razem, że nie trwała ona ani chwilę, że wuj wciąż jeszcze wkłada z powrotem kapelusz i odwraca się, żeby wrócić dróżką do samochodu. Potem zatrzymali się przed domem; Aleck Sander wysiadł już * szedł do rogu domu, żeby go obejść, i zaraz zniknął za rogiem, a on powiedział:

— Nie.

— Ależ tak — powiedział wuj. — Musisz iść do szkoły. Albo, co będzie jeszcze lepsze, do łóżka spać. Tak — dodał nagle wuj. — I Aleck Sander też. On też musi dziś zostać w domu. Dlatego że nie wolno o tym mówić ani słowa, póki z tym nie skończymy. Sam rozumiesz.

Ale on nie słuchał, on i wuj mówili o zupełnie różnych rzeczach nawet wtedy, kiedy on znów powtórzył: — Nie — a wuj wysiadł już z samochodu i idąc w stronę domu zatrzymał się i spojrzał jeszcze na niego, a potem stał nie spuszczać z niego wzroku dobrą chwilę i wreszcie powiedział:

— Zaczęliśmy trochę nie od tej strony, prawda? To ja ciebie powinienem pytać, czy mogę jechać.

Ale on myślał o matce; nie to, żeby sobie dopiero teraz o niej przypomnieć, bo zrobił to już wcześniej, jak tylko wjechali na Rynek pięć minut temu; co by było najprostsze, to zaraz tam wysiąść z samochodu wuja, pójść i wsiąść do samochodu szeryfa i najzwyczajniej zostać w nim, aż będą gotowi jechać z powrotem pod ten kościół, o czym na pewno pomyślał wtedy i co na pewno nawet byłby zrobił, gdyby nie był taki zmęczony, taki apatyczny i otepiały z senności; przy tym wiedział, że już teraz nie dałby jej rady, nawet gdyby był zupełnie wypoczęty; już samo to, że przeciwstawił się jej dwa razy w ciągu jedenastu godzin, raz stawiając na swoim po kryjomu, a drugi raz przez zaskoczenie, szybkość działania i przewagę głosów, już samo to skazywało go teraz tym bardziej na porażkę i sromotny odwrót, więc zadumał się nad dziecinny i naiwnym rozumowaniem wuja o niepójściu do szkoły i o łóżku, kiedy jego czekało starcie z tym płynnym i nie dającym się ułagodzić atakiem, ale wuj znów odczytał jego myśli — nie odchodząc od samochodu patrzył na niego jeszcze chwilę ze współczuciem i zupełnie bezradnie, choć sam był przecież starym kawalerem, pięćdziesięcioletnim i od trzydziestu pięciu lat wolnym od panowania kobiety, a mimo to jednak też przypomniawszy sobie, wiedział, że ona posłuży się argumentami o jego nauce i zmęczeniu, może tylko z mniejszym zapałem, niż gdyby te argumenty odrzucała; zdol

na była równie dobrze nie słuchać rozsądnych powodów na to, żeby został w domu, jak na to, żeby jechał — na przykład: obywatelski obowiązek czy prosta sprawiedliwość albo solidarność ludzka, albo obrona czyjegoś życia czy choćby spokój jego własnej nieśmiertelnej duszy.

— No, dobrze. Chodź. Ja z nią pomówię — powiedział wuj.

Poruszył się, zaczął wysiadać; spokojnie i nagle, w zdziwieniu wypływającym nie z rozpaczliwej nadziei, ale zdziwiony, jak wielką bezradność człowiek jest w stanie znieść, powiedział:

— Jesteś tylko moim wujem.

,— Co gorsze, jestem tylko mężczyzną — powiedział wuj — ale zaraz znów odczytał jego myśli. — No, dobrze. Spróbuję pomówić i z Paralee. Sytuacja jest identyczna, macierzyństwo chyba nie ma pod skórą żadnego pigmentu.

I pewno wuj też myślał, jak to jest: że nie tylko pokonać ich nie można, ale nawet nie zdąża się znaleźć pola bitwy, na którym odniosło się porażkę, bo one już przez ten czas zmieniły pole bitwy; przypomniał sobie, jak — było to już dwa lata temu — dostał się wreszcie do szkolnej drużyny baseballu, to jest wylosował czy też wybrano go na jedną z pozycji przed wyjazdem na mecz do innego miasta, kiedy chłopiec, który zwykle grał na tej pozycji, został kontuzjowany podczas treningu czy też opuścił się w nauce, czy może nie jechał dlatego, że jego matka nie chciała mu pozwolić, albo z jakiegoś innego powodu nie jechał, nie pamiętał już dokładnie z jakiego, bo

wtedy przez cały tamten czwartek i piątek za bardzo był zajęty łamaniem sobie głowy na próżno, jak tu powiedzieć matce, że jedzie do Motts- town grać w reprezentacji, aż do ostatniej chwili, kiedy musiał jej już coś powiedzieć i wreszcie powiedział; nie to, co trzeba; zwlekał z tym, aż ojciec będzie obecny przy tej rozmowie [choć właściwie nie układał sobie tego w ten sposób — nie znaczy to, że nie byłby zdolny ułożyć, gdyby nie był tak bardzo strapiony i zmieszany jednocześnie ze złości i ze wstydu, że się złości, i gdyby się nie wstydził (w pewnym momencie krzyząc do matki: "Czy to wina drużyny, że jestem twoim jedynym dzieckiem?!") o tym myśleć], i pojechał w tamten piątek po południu z drużyną czując się tak, jak sobie wyobrażał, że czuje się żołnierz, kiedy się wydziera z powstrzymujących ramion matki, żeby iść walczyć za jakąś haniebną sprawę; oczywiście, będzie płakała po nim, gdyby poległ, i przecież jeśli wróci żywy, nie odwróci się od niego, ale zawsze pozostanie między nimi nie dający się wymazać do końca, wiecznie świeży i wiecznie żywy cień; więc przez całą tamtą noc z piątku na sobotę usiłując usnąć w obcym łóżku, a później przez całe przedpołudnie, czekając na zaczęcie meczu, myślał, że lepiej by było dla drużyny, gdyby był nie przyjeżdżał, skoro teraz chyba za bardzo się gryzie, żeby być do czegoś zdatnym na boisku; gryzł się tak, dopóki nie świsnął pierwszy gwizdek i póki nie ruszył naprzód, a potem dopóki gdzieś na samym spodzie pod spiętrzoną tłumem obu drużyn, przyciskając

HHHHH

piłkę do piersi, z ustami i nosem pełnymi roz- pryśniętego suchego wapna znaczącego linię, nie usłyszał i nie rozpoznał ponad wszystkimi innymi tego jednego, cienkiego, tryumfującego i wojowniczego głosu, i wtedy wyrwał się wreszcie z piłką, a wiatr przyniósł mu znowu uderzenie okrzyków, zobaczył ją tuż przy boisku, na czele tłumu tych nie siedzących na trybunie, ale drepczących w miejscu, a nawet biegających wzdłuż linii bocznej boiska za przenoszącą się grą, a potem wieczorem, w drodze powrotnej do Jefferson, kiedy siedział na przednim siedzeniu samochodu przy wynajętym szoferze, a matka i jeszcze trzech innych graczy z drużyny z tyłu, matka mówiła głosem tak dumnym, pogodnym i pozbawionym litości, jakim on sam by mówił:

— Jeszcze cię ramię boli?

I wchodząc do hallu dopiero uświadomił sobie, że wciąż się jeszcze spodziewał, że zastanie ją czekającą w domu tuż za frontowymi drzwiami, wciąż jeszcze z włosami rozpuszczonymi i w nocnej koszuli, i że wejdzie z powrotem w nieprzerwany, nie milknący nawet po trzech godzinach lament. Tymczasem to właśnie ojciec wyszedł ze stołowego już krzycząc i nie przestając, mimo że wuj próbował go przekrzyczeć wołając mu niemal prosto w twarz:

— Charley, Charley! Do licha, zaczekaj!

I dopiero wtedy matka, już zupełnie ubrana, energiczna, zaafierowana i panująca nad sobą, nadeszła z głębi hallu od strony kuchni i powiedziała do ojca nawet nie podnosząc głosu:

— Wracaj, Charley, i dokończ śniadania. Paralee nie czuje się dziś dobrze i wołałaby nie być zajęta przygotowywaniem obiadu przez całe przedpołudnie. — I zaraz zwróciła się do niego — ta miła, wierna, bliska twarz, znana od początku życia i dlatego w ogóle ani niemożliwa do opisanie komuś obcemu, żeby mógł ją rozpoznać z opisu, ani niemożliwa do rozpoznania dla niego z opisu czyjegoś, ale teraz tylko ożywiona, spokojna i jakby trochę nieuważna — a cały tamten lament

0 tyle tylko był lamentem, «że z dawien dawna łączył się z uwagami takimi jak ta, z którą teraz się do niego zwróciła: — Nie umyleś twarzy. — Nie zatrzymując się nawet, żeby, zobaczyć, czy on za nią idzie, wbiegła na górę po schodach, weszła do łazienki i odkręcając nawet kurek, podając mu mydło do rąk, stojąc z rozpostartym ręcznikiem

1 czekając miała twarz w znajomy sposób zdziwioną, zgorszoną i oburzoną, naznaczoną niepokojem i niezwalczonym sprzeciwem jak przez całe jego życie, ilekroć zrobił jeszcze jeden krok oddalający go od niemowlęctwa, od dzieciństwa: kiedy wuj podarował mu szetlandzkiego pony, którego ktoś nauczył brać osiemnasto- i dwu- dziesiętrocetralowe przeszkody, i kiedy ojciec dał mu pierwszą prawdziwą, strzelającą prochem strzelbę, i tamtego wieczora, kiedy stajenny przywiózł Highboya ciężarówką i on dosiadł go po raz pierwszy, a Highboy wspiął się na tylnych nogach; usłyszał wtedy jej krzyk i spokojny głos stajennego: “Jak on tak robi, to go trzaśnij dobrze po łbie. Nie chcesz chyba, żeby się prze-

walił do tyłu i ciebie przygniótł". Ale mięśnie twarzy układały jej się w ten dawny wyraz tylko wtedy, jeśli zapomniła się na chwilę, z dawnego nawyku, tak jak jej głos, jeśli na chwilę się zapomniła, z samego nawyku wybierał dawno zużyte słowa lamentu, bo teraz było w nim jeszcze coś innego — to samo, co tamtego popołudnia w samochodzie, kiedy zapytała: "Jeszcze cię ramię boli?", i owego innego popołudnia, kiedy ojciec wrócił do domu, a on wprawiał Highboya do skoków używając jako przeszkody betonowego koryta do pojenia bydlę na podwórku pod okiem matki opartej o ogrodzenie; wtedy ojciec wpadł w furję, a matka spokojnym głosem powiedziała: "No i cóż takiego? Koryto jest dużo niższe niż ten rozlatujący się płótek, nawet gwoździami do kupy nie zbity, co mu kupiłeś". Tak że teraz, nawet otępiały z senności, poznał ten ton i odwracając w jej stronę twarz i ręce, z których kapłała woda, krzyknął z pełną przerażenia i niedowierzania wściekłością:

— Ty z nami nie jedziesz! Ty nie możesz jechać! — A potem, nawet tak jak był otępiały z senności, pojmując niedorzeczną naiwność użycia przez kogokolwiek - w odniesieniu do niej słowa: "nie możesz", postawił wszystko na ostatnią kartę: — Jak ty pojedziesz, to ja nie pojedę! Słyszysz? To ja nie pojedę!

— Wytrzymaj twarz i uczesz się — powiedziała.. — A potem zejdź na dół i wypij swoją kawę.

Jeszcze i to. Na pewno i Paralee była zupełnie zdrowa, bo wuj telefonował w hallu, kiedy on

wchodził do stołowego, a jeszcze nie zdążył usiąść, jak ojciec znów krzyczał:

— Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś mi nic wczoraj wieczorem! Niech to się nigdy więcej nie...

— Bo i ty byś mu też nie uwierzył — powiedział wuj wchodząc z hallu. — Nawet byś nie chciał słuchać. Do tego trzeba było starej kobiety i dwóch dzieciaków, po to, żeby uwierzyć prawdzie bez żadnego innego powodu, ale tylko dlatego, że to jest prawda, którą powiedział jakiś stary człowiek osaczony w sytuacji zasługującej na litość i na wiarę kogoś zdolnego do litości, nawet jeśli żadne z nich naprawdę mu nie wierzyło. Boście mu na początku nie wierzyli — zwrócił się wuj do niego. — Kiedy naprawdę zaczęliście mu wierzyć? Jak otworzyliście trumnę, co? Rozumiesz, że chciałbym wiedzieć! Może i ja nie jestem za stary jeszcze, żeby się tego nauczyć. Kiedy to było?

— Nie wiem — powiedział.

Naprawdę nie wiedział. A zdawało mu się, że wiedział cały czas. Nagle mu się wydało, że naprawdę to nigdy nie uwierzył Lucasowi. I zaraz wydało mu się, że to się w ogóle nigdy nie zdarzyło, pomyślał tak wydobywając się znów, choć bez najmniejszego ruchu, znów się wynurzając na powierzchnię z długiej, głębokiej toni snu, ale tym razem na powierzchnię, na której upłynęło już trochę czasu; przynajmniej tyle udało mu się tym razem zyskać, tyle, żeby przez jakiś czas pozostać bezpiecznie na powierzchni, jakby wziął jedną

HM9HHI

z tych tabletek, jakie biorą nocni szoferzy ciężarówek — mniejszą nawet niż guzik od koszuli, a jednak zawierającą dość trzeźwości, żeby móc dojechać do najbliższego miasta — bo matka była już w pokoju, żwawa i spokojna, i stawiała już przed nim filiżankę kawy tak, że gdyby to zrobiła Paralee, ona by powiedziała, że Paralee smyrga ją w niego; i to z tego powodu, - z powodu kawy, i ojciec, i wuj ani na nią nie spojrzeli; i teraz na odwrót: to właśnie ojciec wykrzyknął:

— Kawa?! Cóż to znaczy, u diabła? Zdaje się, że na tym stanęło, kiedyś się wreszcie zgodziła, żeby Gavin kupił mu tego konia, że zanim nie skończy osiemnastu lat, nigdy ani nie poprosi sam bodaj o łyżeczkę kawy, ani bodaj łyku nie wypije, choćby go kto częstował.

Ale matka nawet nie słuchała, na pół popychając, na pół smyrgając w jego stronę tą samą ręką, którą podała mu kawę, dzbanuszek ze śmietanką i cukiernicę i idąc już z powrotem do kuchni powiedziała głosem właściwie nieprędkim i bez niecierpliwości, po prostu rześkim:

— Wypij to zaraz. Już i tak straciliśmy dużo czasu.

Teraz dopiero jej się przyjrzeni: była już zupełnie ubrana, nawet w kapeluszu, a przez zgięte przedramię jednej ręki przewieszony miała słomiany koszyk, w którym trzymała, odkąd tylko pamiętał, przeznaczone do reperacji skarpetki jego i jego ojca, i wuja, i pończochy, ale wuj, zdaje -się, z początku zobaczył tylko kapelusz i przez chwilę o mało co nie podzielił z nim tego samego przerażenia i zdumienia, które on przeżył w łazience.

— Maggie! — zawołał wuj. — Ty nie możesz! Charley...

— Wcale nie mam zamiaru — powiedziała matka nawet się nie zatrzymując. — Tym razem już wy, mężczyźni, zajmijcie się kopaniem. Jadę do więzienia. — Weszła już do kuchni i słychać było tylko jej głos: — Nie pozwolę, żeby panna Habersham siedziała tam sama, a cały okręg wyślepiął na nią oczy. Jak tylko pomogę Paralee ułożyć, co na obiad, zaraz... — przy czym jej głos nie tyle ucichł, ile raptem się urwał, przestała mówić, bo już nie zwracała na nich uwagi; ale ojciec spróbował jeszcze raz:

— On powinien, iść do szkoły.

Tego jednak nawet wuj nie słuchał.

— Potrafisz chyba poprowadzić samochód panny Eunice, co? — zapytał wuj. — W szkole dla Murzynów nie będzie dziś żadnych lekcji i Aleck Sander nie będzie szedł do szkoły, więc on może zostawić samochód pod więzieniem. A choćby nawet były dziś lekcje, wątpię, czy Paralee pozwoli mu w tym tygodniu wyjść na podwórko od frontu. — I teraz, zdaje się, dotarły do wuja słowa ojca, a przynajmniej teraz dopiero zdecydował się mu powiedzieć: — I żadna biała szkoła nie byłaby otwarta, jeśli już o to idzie, gdyby ten chłopak nie posłuchał Lucasa, czego ja bym nie zrobił, i panny Habersham, czego ja nie zrobiłem. Może nie? —

zapytał wuj. — Czy możesz jeszcze przez tyle czasu powstrzymać się od zaśnięcia? Zdrzemniesz się trochę, jak już będziemy w drodze. — Tak, proszę wuja — powiedział. Pił więc kawę, a mydło, woda i to, że się porządnie natarł ręcznikiem, zdarły z niego mgłę otepienia na tyle, aby mógł osądzić, że kawa mu nie smakuje i że nie ma na nią ochoty, ale już nie na tyle, żeby mu przyszło do głowy najprostsze rozwiązanie, co ma wobec tego począć — że po prostu może jej nie pić — próbował ją pić małymi łyżkami, a potem dosypywał cukru, aż i jedno, i drugie — i kawa, i cukier — przestały być kawą i cukrem, a stały się najbardziej niekorzystnym połączeniem tych dwóch składników, mdlącą mieszaniną słodczy z gorzkością chininy, aż w końcu wuj powiedział:

— Zostaw to, do licha — po czym wstał, wyszedł do kuchni, przyniósł ronderek gorącego mleka i miseczkę, wylał kawę do miseczki, dolał do niej gorącego mleka i powiedział:

— No pij, już daj temu spokój. Wypij to.

A on wypił niemal nie czując żadnego smaku, trzymając miseczkę oburącz, jakby pił wodę czerpakiem z wysuszonej skorupy dyni, podczas gdy ojciec przechylając się trochę do tyłu w krześle i patrząc na niego wciąż mówił, wciąż go wypytywał, czy Aleck Sander bardzo się bał i że pewno on bał się jeszcze bardziej, tylko próżność nie pozwoliła mu się z tym zdradzić przed czarnuchem, ale teraz może się przyznać: przecież żaden z nich nie dotknąłby po ciemku tego grobu, choćby tylko chodziło o to, żeby zdjąć kwiaty, gdyby panna Habersham ich do tego nie zmusiła; dopiero wuj mu przerwał:

— Aleck Sander nawet ci wtedy powiedział, że ktoś już musiał naruszyć grób i że ten ktoś musiał się spieszyć, prawda?

— Tak, proszę wuja — powiedział, a wuj zapytał:

— Wiesz, o czym teraz myślę?

— Nie, proszę wuja.

— Cieszę się, że Aleck Sander nie widział w tej ciemności zupełnie dobrze i że nie zawołał po nazwisku tego, kto zwoził coś ze wzgórza na tym mule.

A on zaraz sobie to przypomniał: każde z nich trojga o tym myślało nic jednak nie mówiąc, stojąc tam nad tą atramentowoczarą, niewidoczną rozpadliną grobu, jedno niewidoczne dla drugiego.

“Zasypcie” — powiedziała panna Habersham. Zasypali, a poruszona (teraz już po raz piąty) ziemia zapełniała grób dużo szybciej, niż go przedtem odsłaniała, choć wydawało się, że trwa to całe wieki w tym nikłym blasku gwiazd pełnym nieustającego szeptu nie poruszanych wiatrem sosen, niby jakiegoś wielkiego, nie uciszającego się poszumu nie zdumienia, ale uwagi, oczekiwania, ciekawości — szeptu, który nic nie osądzając, obojętny, z niczym nie związany, wszystko słyszał i widział. “Połóżcie kwiaty na miejsce” — powiedziała panna Habersham. “Nie traćmy na to czasu” — powiedział. “Połóżcie kwiaty na miejsce” — powtórzyła panna Habersham. Zrobili to. “Ja

to. "Nigdy nie potrafię wytłumaczyć tego twojej matce, ale Aleck Sander zupełnie jest tu niepotrzebny — powiedziała. — Idźcie obaj tuż za mną, a konia trzeba prowadzić na końcu" — i* zaraz odwróciła się, ruszyła pierwsza, kiedy on wciąż nie wiedział, na co to wszystko, a nie wiedział dlatego, że w jego rozumieniu słowo "zasadzka" już samo w sobie znaczyło "z boku, z flanki"; ale już wracali, idąc gęsiego tą samą drogą, teraz w dół, na miejsce, w którym Aleck Sander ukrył półcięża- rówkę w zaroślach, a on myślał: Na jego miejscu tam właśnie bym ją zostawił — i to samo pomyślała panna Habersham, powiedziała: "Czekajcie", "Jak pani będzie mogła dalej stać przed nami, jeżeli nie będziemy stać razem?" — zapytał, a teraz ona nie powiedziała nawet: "To wszystko, co mi przychodzi do głowy" — ale po prostu stała tam jak wryta, więc Aleck Sander ją minął, wszedł w krzaki, zapalił silnik półciężarówki, wycofał ją na drogę i wykręcił przodem w dół wzgórza z silnikiem na chodzie, ale jeszcze bez świateł, a wtedy panna Habersham powiedziała: "Podwiąż mu wyżej cugle i puść go wolno. Przecież wróci sam do domu". "Myślę, że tak" — powiedział. Wsiadł na konia. "To przywiąż go do jakiego drzewa — powiedziała. — Wrócimy i go zabierzemy, jak tylko zobaczymy się z twoim wujem i z panem Hamptonem..." "A wtedy wszyscy będziemy mogli dojrzeć na drodze tamtego, jak będzie popędzał przed sobą jeszcze może tego konia czy jakiego muła" — powiedział Aleck Sander. Włączył bieg i zaraz znów przełączył silnik na wolne obroty.

pójdę po konia — powiedział, -fg Pani i Aleck Sander..." "Wszyscy idziemy" — powiedziała panna Habersham. Więc zebrali z powrotem narzędzia i linę (nie używając już latarki), a Aleck Sander powiedział: "Zaraz", namacał deskę, której używał jako łopaty, wziął ją i odszedł, żeby ją wepchnąć z powrotem pod podmurówkę kościoła, a on już odwiązał Highboya i przytrzymał strzemień, kiedy panna Habersham powiedziała: "Nie, będziemy go prowadzić. Aleck Sander może iść zaraz za mną, a ty idź tuż za Aleckiem Sanderem i prowadź konia". "Tak by było szybciej..." — powiedział znów, ale obaj nie mogli dojrzeć jej twarzy, widzieli tylko chudą, wyprostowaną sylwetkę, ten cień, ten kapelusz, który na kim innym nie przypominałby nawet kapelusza, ale na jej głowie, tak jak na głowie jego rodzonej babki, wyglądał jak należy, dokładnie jak nic innego tylko kapelusz; słyszeli jej głos niegłośny, niewiele głośniejszy niż oddech, jakby nawet nie poruszając wargami, nie zwracając się do nikogo, po prostu mruczała pod nosem: "To najlepsze, co mi przychodzi do głowy. Nie wiem, co byśmy mogli zrobić innego". "Może wszyscy powinniśmy iść środkiem" — powiedział; wypadło to głośno, za głośno, dwa razy głośniej, niż chciał czy nawet pomyślał, rozległo się pewno na całe mile wokoło, a w każdym razie na całą tę okolicę już niestety rozbudzoną i czujną na skutek tego nie usypiającego nigdy szszszsz, które prawdopodobnie Paralee i na pewno stary Ephraim, i Lucas też nazwaliby "pacierzem" sosen. Patrzyła teraz na niego. Czuł

“No, już, wsiadajcie. On albo tu siedzi i nas szpieguje, albo nie. Jak nie siedzi i nie szpieguje, to nic nam nie grozi, a jak siedzi i szpieguje, to już przegapił swoją szansę, kiedy nam dał wrócić do samochodu”. “No to jedź zaraz za nami — powiedziała panna Habersham. — Będziemy jechać pomału...” “Nie, psze pani” — powiedział Aleck Sander; wychylił się z szoferki. “Ruszaj, i tak będziemy musieli czekać na ciebie w mieście”. Więc — nie potrzebowali go przecież poganiać — puścił Highboya w dół ze wzgórza, ściągnając tylko cugle; światła półciężarówki się zapaliły, ruszyła, a Highboy, jak tylko znalazł się na płaskim terenie, choć jeszcze nie na szosie, zaraz spróbował przejść w galop, więc go powściągnął i wyjechał na szosę, skąd zobaczył, jak światła samochodu tryskają i nikną, w chwili kiedy tamci wyjeżdżali na płaszczyznę, a wtedy popuścił Highboyowi cugli i koń pomknął kłusa, pobrzękując wędzidłem jak zwykle i jak zwykle myśląc, że już następny ruch zuchwy tak wypchnie wędzidło do przodu, że będzie mógł je przygryźć przednimi zębami; pędził teraz kłusem, a światła półciężarówki już też wkołysały się w górę na szosę, i usłyszał osiem głuchych uderzeń kopyt przenoszących go przez mostek, a sam pochylił się naprzeciw czarnemu wiatrowi, puścił konia wolno i przez całe pół mili nie widział nawet światła półciężarówki, dopóki nie zwolnił biegu Highboya do tego ciężkiego, długiego kroku, którym ten koń zwykle pokonywał trudną drogę, a dopiero prawie po mili półciężarówka go dogoniła i

minęła, i ukazało się rubinowe tylne światełko, po czym i ono umknęło i znikło, ale wtedy wyjechał już spośród sosen, uciekł tamtemu niewyraźnemu, szpiegującemu z góry szszszsz, nie zważającemu na nic i wszystko słyszającemu, widzącemu, nawołującemu wokoło: “Patrz/Patrz”; jednak i teraz sosny nie przestawały wołać i na pewno wołały już dosyć długo, żeby cały czwarty podokrąg, Gowrie i Ingrumowie, i Workittowie, i Fraserowie, i wszyscy pozostali je usłyszeli, więc odrzucił myślenie o tym, a i teraz przestał o tym myśleć w tym samym mgnieniu, w którym sobie to przypomniał przełykając ostatni łyk z miseczki i odstawiając ją, kiedy ojciec wprost jak oparzony zerwał się od stołu i nogi krzesła pchniętego do tyłu zaklekotały po podłodze.

— Może ja lepiej pójdę do pracy — powiedział ojciec. — Ktoś tu musi trochę pozarabiać na chleb, kiedy reszta bawi się w policjantów i złodziei.

I zaraz ojciec wyszedł, a na to, co on nazywał swoim procesem myślenia czy w każdym razie procesem tego, co ludzie nazywają myśleniem, kawa najwidoczniej jakoś wpłynęła, bo teraz umiałby już odpowiedzieć i na “dlaczego” tłumaczące ojca — że to była wściekłość przynosząca ulgę, która musiała się jakoś wyrazić i wybrała gniew, chociaż nie dlatego, że ojciec byłby mu zabronił jechać, ale dlatego, że nie miał okazji mu zabronić; że to było pseudopogardliwe, śmieszne umniejszanie odwagi jego i Alecka Sandera, lekceważenie nie tyle ich odwagi wobec profanowanego

w ciemnościach grobu, ile wobec woli panny Habersham — a prawdę mówiąc tylko grubo-skórne oczernienie całej tej sprawy przez to, że ojciec ją umniejszył do wymiarów jakiegoś stracha dla przedszkolaków, co może było po prostu męską formą tego samego zaprzeczenia jego praw do, jak mówił wuj, wieku wystarczająco dorosłego, żeby samemu zapinać sobie spodnie; więc przestał myśleć o ojcu i słysząc, że matka jest tuż za drzwiami od kuchni i zaraz wejdzie do stołowego. odepchnął krzesło do tyłu i wstał, a wtedy nagle przyszło mu do głowy, że chociaż kawa okazała się i tak czymś więcej, niż przypuszczał, to przecież nikt go nie ostrzegł, że wywołuje przywidzenia, tak jak kokaina czy opium: patrzył, widział, jak krzyki i gniew ojca gasną i rozwiewają się niczym dym albo mgła. nie tylko odsłaniając, ale jakby wypuklając tego człowieka, który go począł, 2 teraz odsłonięty ogląda się na mego sponad nie związanego żadnym mostem drugiego brzegu przepaści owego poczęcia nie tylko z dumą, ale i z zazdrością; wyrzekające się i retoryczne samorozdarcie wujia było rozdarcie fałszywym, a ojciec rozgryzał prawdziwą, gorzką, nie do osłodzenia prawdę — rozminiecie się z czasem, takt przyjscia na świat za wcześniej czy też za późno, żeby samemu mieć dziś lat szesnaście i galopować konno po nocy dziesięć mil, żeby ocalić przed stryczkiem hardy kark jakiegoś opuszczonego przez wszystkich starego Murzyna,

Ale przynajmniej nie spał. Kawa tego jakoś dokOE52&&. Wciąż jeszcze czuł, że dobrze by mu

zrobiła drzemka, tylko że teraz nie mógł usnąć; pragnienie snu nie ustąpiło, ale tym, co teraz musiałby przezwyciężyć i odpychać, było zupełne rozbudzenie. Minęła już ósma; przejechał jeden z autobusów dowożących dzieci z okolicy do szkoły, kiedy wsiadał do półciężarówki panny Habersham, stojącej przy krawężniku, żeby ją odwieźć na umówione miejsce; o tej porze w ten poniedziałkowy rano na ulicach będzie pełno dzieci w świeżych ubrankach, z książkami i papierowymi torebkami z drugim śniadaniem do zjedzenia podczas przerwy; za szkolnym autobusem ciągnął sznur samochodów osobowych i ciężarówek utyłanych w wiejskim błocie i kurzu, samochodów jadących jeden za drugim bez żadnej przerwy, tak że wuj z jego matką byli już chyba w więzieniu, panini on zdołał choćby włączyć się v ten sznur pojazdów, a to dlatego, że poniedziałek był dniem bydłowego targu w halach targowych za Rynkiem, i widział już puste samochody i cięża- ró»lri stojące rząd za zbitym rzędem wzdłuż chiyfafka przed sądem, niczym wieprze tłoczące się do koryta z karmą, i widział już tych mężczyzn z laskami takimi właśnie, jakie noszą handlarze bydła, jak nie zatrzymując się nawet na chwilę, zdążają na przelaj przez Rynek, a potem uliczką prosto w saunę hal targowych, żeby ram żuć tytoń i końce nie zapalonych cygar przechodząc od jednego boku do drugiego w amoniakowym zaduchu nawozu a mazwiła, wśród meczenia cieląt, tupotu i parskania koni i mulów, między używanymi wozami, pługami i strzelbami, uprzężami

i zegarami, podczas gdy w okolicach Rynku i po sklepach pozostały tylko kobiety (ta niewielka liczba kobiet, jaka w poniedziałek przyjeżdżała, skoro w przeciwieństwie do soboty dzień targu bydłęcego był dniem wyłącznie męskim), a na samym Rynku było pusto, stały tam tylko samochody osobowe i ciężarówki, dopóki w południe na godzinę mężczyźni nie wrócą do tych nielicznych kobiet, do kawiarni i restauracji.

Kiedy teraz się ocknął, nie było to ocknięcie na skutek jakiegoś refleksu i nawet nie zbudzenie się ze snu, ale z jakiejś ułudy na jawie, bo wyniósł ze sobą z domu ten stan hipnozy nawet w jasne, mocne słońce dnia i nie uwolnił się od niego prowadząc już tę pół ciężarówkę, której jeszcze przed wczorajszym wieczorem nie byłby poznał wśród innych, ale która od wczorajszego wieczora stała się tak nieodłączną częścią jego pamięci, doświadczenia i oddychania, że bardziej nieodłączne nie mogły się stać świst wyrzucanej łopatą ziemi czy zgrzyt kawałka metalu o sosnową skrzynię, czym to wszystko się stało w jakiejś próżni mirażu, w której o mało nie zdarzył się wcale wczorajszy wieczór, a na ubiegłą sobotę już nie było miejsca, i przypomniał sobie teraz, jakby dopiero przed chwilą to zobaczył, że w szkolnym autobusie nie było ani jednego dziecka, ale sami dorośli, a w sunących strumieniem za autobusem, a teraz już za nim, kiedy mu się udało wjechać w ten strumień, samochodach osobowych i ciężarówkach, w których tu i ówdzie nawet w targowy poniedziałek (a w soboty połowa płytkich, odkrytych skrzyń ciężarówek zapchana była nimi i nabita mężczyznami, kobietami i dziećmi wystrojonymi z tandetną elegancją, jak zawsze z okazji przyjazdu do miasta) jechali Murzyni, dzisiaj nie widać było ani jednej czarnej twarzy.

Nie widział też na ulicy ani jednego dziecka idącego do szkoły, chociaż kiedy wuj rozmawiał przez telefon, nawet specjalnie uważnie nic słuchając, usłyszał dosyć, żeby się domyślić, że to kierownik szkoły dzwoni, aby się zapytać, czy mają dziś być lekcje, czy nie, i usłyszał, jak wuj mu odpowiada, że powinny być, a teraz, dojeżdżając już do Rynku, zobaczył dalsze trzy żółte autobusy, które powinny były zgodnie ze swoim przeznaczeniem przywozić z okolicy dzieci do szkoły, ale które ich właściciele, pośrednicy i kierowcy w jednej osobie, w soboty i święta przemieniali na płatne autobusy pasażerskie, a później, kiedy znalazł się już na samym Rynku, zobaczył tam zaparkowane samochody osobowe i ciężarówki, jak zawsze, ale sam Rynek był zupełnie pusty — i to nie dlatego, żeby wszyscy mężczyźni wynieśli się do hal bydłęcych, a wszystkie kobiety do sklepów, bo kiedy zaparkował półciężarówkę przy krawężniku za samochodem wuja, widział już tam, gdzie było widoczne, i czuł tam, gdzie widoczne nie było, to jakieś mielenie się i rojenie tłumu, jedną pulsującą gęstwę i pomruk, którego Rynek był pełny, jak wtedy, kiedy tłum nie mieszcząc się w centrum karnawałowej zabawy albo na boisku piłki nożnej rozlewa się wokół; widział, jak tłum wylewa się na ulicę i zastyga już w stłó-

czeniu wzdłuż chodnika naprzeciwko więzienia, a jego czoło mija już kuźnię, przy wejściu do której szukał wczoraj ukrycia, a wszyscy ci ludzie jak gdyby czekali na defiladę (przy czym niemal na samym środku jezdni, tak że ten wciąż nieprzerwany strumień samochodów osobowych i ciężarówek musiał ją okrążyć, stała grupka kilkunastu mężczyzn, przypominająca raczej gromadkę zwiedzających wokół stoiska, a w tej grupce z kolei rozpoznał czapkę komendanta policji, który zwykle o tej porze tkwił na posterunku przed szkołą i zatrzymywał ruch, żeby dzieci mogły przejść przez ulicę, i nie potrzebował sobie przypominać, że nazwisko tego komendanta policji brzmi Ingrim, Ingrim z czwartego podokręgu, który imigrował do miasta, jak to robili od czasu do czasu wyrodni synowie tego podokręgu po to, aby żenić się z miejskimi dziewczynami i zasilać szeregi fryzjerów, woźnych magistrackich i nocnych stróżów, tak jak pomniejsze niemieckie książątka od czasu do czasu zniżały się ze swoich brandenburskich wyżyn, aby się żenić z dziedziczkami tronów europejskich) — sami mężczyźni i kobiety, ani jednego dziecka, ogorzałe wiejskie twarze, opalone karki i napiętki, czyste spłowiałe koszule koloru szarego, bez krawatów, i spodnie, i wzorzyste bawełniane sukienki zatłaczające Ry-

stniejący, jeszcze nie niecierpliwy ani nie zastanawiający się nawet, co nastąpi, ani jeszcze nie czujny, na razie tylko w owym wstępnym stadium narastania na jednym miejscu, osiadania, niczym w teatrze przed podniesieniem kurtyny; i pomyślał, że to było to — dzień świąteczny — to znaczy dzień dzieci, który tu jednak stał się czymś odwrotnym, ale nagle zrozumiał, że myli się zupełnie; to nie soboty nie było, ale dopiero minioną noc była czasem, który się dla nich jeszcze nie wydarzył, i nie tylko nie wiedzieli nic o minionej nocy, ale nikt, nawet Hampton, nie mógłby im o tej nocy opowiedzieć, bo nikomu by nie uwierzyli; i zaraz coś niby zasłona czy błonka podobna do tej, jaka przesłania kurze oko i o której nawet nie wiedział, że też ją ma, jednym mignięciem — mig! — spadła z jego oczu i po raz pierwszy naprawdę ich zobaczył: te same ogorzałe, nieruchome, niemal tępe twarze i te same spłowiałe, czyste, bawełniane koszule i spodnie, i sukienki, ale teraz ani śladu tłumu czekającego, aż kurtyna podniesie się nad uludą sceny, prędzej już tłum czekający w sali sądowej na wołanie woźnego: "Sąd idzie! Sąd idzie! Sąd idzie!" — Ten wysoki sąd; nawet nie niecierpliwiący się, bo jeszcze czas nie nadszedł, żeby zasiąść do sądenia — nie Lucasa Beauchamp, bo jego już obwołano winnym, ale podokręg czwarty; więc zgromadził się nie po to, żeby wymierzyć tak zwaną sprawiedliwość, i nawet nie po to, żeby dopilnować uiszczenia zapłaty, ale po to, aby dopatrzeć, żeby pookręg czwarty nie dopuścił do pohańbienia

I reprezentowanej przez siebie wysokiej godności białego człowieka.

Więc zahamował półciężarówkę, wysiadł i już biegł, kiedy się nagle zatrzymał — powstrzymało go w części poczucie godności, w części duma, kiedy przypomniał sobie ubiegłą noc i jak to sam zainicjował i w pewnym sensie poprowadził, a w każdym razie dopomógł w tym uderzeniu u> którego wartości i znaczenia nie potrafili dostrzec nawet ludzie dorośli i poważni, nie mówiąc już o tym, żeby dostrzegli jego potrzebę, a w części powstrzymała go i ostrożność, bo przypomniał sobie, jak wuj mówił, że byle głupstwo wystarcza, aby poruszyć tłum, i pomyślał, że może im wystarczyć, jeśli zobaczą choćby dziecko biegnące w stronę więzienia — a potem przypomniał sobie te twarze niezliczenie różne, a jednak zastanawiające identyczne we wspólnym im wszystkim braku indywidualnej tożsamości, ich całkowite wyrzeczenie się indywidualnej tożsamości na korzyść jednego wspólnego MY, nawet nie niecierpliwego, nawet nie spieszącego się, niemal świątecznego w swoim pełnym zapamiętaniu wspólnie wyrażanej groźby MY, w których by nic obudziła impetu i setka biegnących dzieci — a w tym samym mgnieniu zobaczył i odwrotność całej sytuacji: tłum nie do zatrzymania, nic do zmylenia przez sto razy po sto dzieci; więc zdając sobie sprawę z czystego niepodobieństwa tego zamiaru, kiedy ten zamiar był jeszcze mglistym zamiarem, a potem z jego fizycznego nieprawdopodobieństwa, kiedy się ukształtował, teraz po

znał całą okropność wszystkiego, w co się wmieszał tak na ślepo, i zrozumiał, że jego pierwszy instynktowny impuls — biec do domu, zarzucić na konia siodło i uzdę i uciekać, tak jak ptak ucieka aż do ostatecznego wyczerpania, a potem usnąć, a potem wrócić, kiedy już będzie po wszystkim — był słusznym impulsem [dlatego że wydało mu się teraz, że to on (nie mając teraz tej ucieczki po prostu dlatego, że przypadkowo nie był sierotą) jest odpowiedzialny za wydostanie na światło i pełny blask dnia czegoś wstrząsającego i hańbiącego z samych fundamentów białego społeczeństwa tego okręgu, w czym i on musi mieć swój udział, bo również z niego pochodzi; za wydobycie czegoś, co w przeciwnym wypadku rozbłysłoby i buchnęło tylko z czwartego podokręgu, a potem ukryłoby się na powrót w swój mrok albo przynajmniej niewidoczność wraz z dogasającymi węglami Lucasowego stosu].

Ale teraz już było na to za późno, nie mógł już nawet tego porzucić, zaniechać, od tego uciec — drzwi więzienia wciąż były otwarte, a w głębi za nimi widział już pannę Habersham siedzącą na krześle, na którym przedtem siedział Legate, tekturowe pudełko stało na podłodze u jej stóp, a na kolanach trzymała jakąś sztukę bielizny i wciąż była w tym kapeluszu; widział już równe ruchy jej dłoni i łokcia, a nawet wydało mu się, że dostrzega błysk i miganie igły w jej ręku, chociaż wiedział, że tego nie może widzieć z takiej odległości; pełny widok zasłaniał mu wuj, więc musiał posunąć się dalej na chodniku i w tym samym

momencie wuj się odwrócił, wyszedł z drzwi i przeszedł przez ganek, a wtedy i ją zobaczył, siedzącą na drugim krześle obok panny Habersham; jakiś samochód podjechał za nim do krawężnika i zatrzymał się, i w tej chwili ona bez pośpiechu wyłowiła z koszyka skarpetkę i wsunęła w nią grzybek do cerowania; miała już nawet wpiętą w suknię na piersiach nawleczoną igłę i teraz rozróżniał błysk i miganie igły, ale może rozróżniał ten błysk i miganie dlatego, że tak dobrze znał jej ruchy towarzyszące szyciu, tę wąską, znajomą, gibką rękę, której przypatrywał się od początku swojego życia — co do tego jednak, że to jego skarpetka, nikt na świecie nie wzbudziłby w nim wątpliwości.

— A to kto? — odezwał się za nim szeryf.

Odwrócił się. Szeryf siedział za kierownicą swojego samochodu garbiąc i kuląc plecy i ramiona, żeby móc wyjrzeć przez boczne okno samochodu. Silnik jeszcze pracował, a on zobaczył w samochodzie z tyłu drzewce dwóch łopat i oskard, którego nie będą potrzebowali, a na tylnym siedzeniu milczących i nieruchomych, wyjąwszy regularne póbłyskiwanie i przygasanie białek oczu, dwóch Murzynów w niebieskich bluzach i wybrudzonych spodniach w poprzeczne paski, jakie nosili więźniowie pracujący w ulicznych brygadach roboczych.

— Któż by to mógł być? — odezwał się za nim i wuj, ale teraz on ani się nie odwrócił, ani nawet dłużej nie słuchał, bo z tłumy zebranego na ulicy

nagle wyszli trzej mężczyźni, podeszli do samochodu, a on widział, jak podchodzą dalszych pięciu czy sześciu i w następnej chwili cały tłum może zacząć przepływać ku nim przez ulicę; już jakiś przejeżdżający samochód zahamował nagle (a za nim następny), w pierwszej chwili dlatego, żeby ich nie przejechać, ale zaraz jadący w nim ludzie wychylili się, żeby zajrzeć do samochodu szeryfa, do którego już ten pierwszy mężczyzna zaglądał zwierając brązowe dłonie farmera na krawędzi otwartego okna, wsuwając brązową, ogorzałą twarz do samochodu wścibsko i ciekawie, bezceremonialnie, podczas gdy poza nim stłoczone jego sobowtóry w pilśniowych kapeluszach i przepoconych kapeluszach słomkowych stały i słuchały.

— Do czego ty się bierzesz, Hope? — powiedział pierwszy mężczyzna. — Może nie wiesz, że sąd przysięgłych się do ciebie dobierze, jak będziesz tak przepuszczał społeczne pieniądze? Nie słyszałeś to o tym nowym prawie linczu, co je Jankesi uchwalili? Że faceci, co linczują czarnego, sami mają wykopać grób?

— Może on tam wiezie te łopaty, żeby się Nub Gowrie i jego chłopaki przedtem trochę wprawili — powiedział drugi mężczyzna.

— Jak tak, to Hope dobrze robi, że wiezie ludzi do kopania — powiedział trzeci. — Jeśli się spodziewa, że ktoś, co się nazywa Gowrie, wykopie bodaj dołek albo zrobi coś innego, przy czym by się mógł spocić, to ci mu się na pewno przydadzą.

— A może on ich wiezie nie do kopania — powiedział czwarty. — Może to na nich Gowrie ma ją się wprawiać?

Ale chociaż jeden z nich zachichotał, nie śmiali się, samochód otaczało teraz kilkunastu, rzucając krótkie, szybkie, wszystko dostrzegające spojrzenia na tylne siedzenie, gdzie dwóch Murzynów tkwiło nieruchomo, jak figury wyrzeźbione z drzewa, patrząc prosto przed siebie w próżnię i nie poruszając się nawet tyle co przy- oddychaniu, wyjąwszy ledwie dostrzegalne rozszerzanie się i zwięzanie białek oczu; rzucając spojrzenia, a potem zwracając wzrok na szeryfa niemalże z tym samym dokładnie wyrazem, jaki kiedyś widział na twarzach ludzi czekających, aż się zatrzyma taśma za okienkiem ulicznego automatu do gry.

— Coś mi się zdaje, że dosyć tego — powiedział szeryf. Wysunął przez okno głowę i swoją olbrzymią rękę, którą odepchnął od samochodu najbliższych stojących, robiąc to tak samo bez wysiłku, jakby rozsuwał firankę, i podnosząc trochę głos, ale nie bardzo,

— Willy — powiedział.

Ruszył do niego komendant policji, i on zaraz usłyszał jego głos:

— Z drogi, chłopaki, dajcie mi się dowiedzieć, co tam dziś sobie wysoki szeryf umyślił.

— Dlaczego nie usuniesz tych ludzi z ulicy, żeby samochody mogły wjeżdżać do miasta? — zapytał szeryf. — Może i tamci też sobie tu chcą stanąć i popatrzeć na więzienie?

«— A jakbyś zgadł — powiedział komendant policji. Odwrócił się, rozcarniając najbliższych stojących rękami, bez dotykania, jakby zaganiał stado bydła. — No, chłopaki — powiedział.

Nie poruszyli się i omijając wzrokiem komendanta policji wciąż patrzyli na szeryfa wcale nie jakoś opornie, bez żadnego wyzwania — po prostu cierpliwie, wesoło i niemal dobrodusznie.

— Ej, szeryfie—powiedział jakiś głos, a za nim drugi:

— To wszystkich ulica, no nie, szeryfie? Póki wydajemy u was nasze pieniądze, to chyba wam, z miasta, nie będzie przeszkadzać, jak sobie tu postoiemy, co?

— Ale nie zawalajcie drogi innym, co chcą się dostać do miasta, żeby też trochę wydać — powiedział szeryf. — Ruszajcie no. Usun ich z tej ulicy, Willy.

— Jazda, chłopaki — powiedział komendant policji. — I inne ludzie oprócz was chcą się tu dostać i popatrzeć sobie na te cegły.

Wtedy się poruszyli, ale wciąż bez pośpiechu, i komendant policji odganiał ich wstecz jak kobieta zaganiająca stadko kur przez podwórko, kiedy nadaje kurom tylko kierunek, nie szybkość, a i kierunek nie za bardzo wyraźnie narzuca ptactwu posuwającemu się przed jej trzepoczącym fartuchem bez oporu, po prostu swobodnie, nie bojąc się jej i nawet jej obecnością się nie niepokojąc; auto, które się pierwsze zatrzymało, ruszyło i te stojące za nim ruszyły także: w żółtym tempie ciągnąc ładunek zwróconych w jedną stro

nę twarzy; słyszał, jak komendant policji pokrzykuje na kierowców:

— Dalej, dalej tam, są inne samochody za wami...

Szeryf znów patrzył na wuja.

— Gdzie jest ten drugi?

— Jaki drugi? — zapytał wuj.

— Ten drugi detektyw. Ten, co widzi po ciemku.

— Aleck Sander — powiedział wuj. — I on będzie panu potrzebny?

— Nie — powiedział szeryf. — Zdziwiło mnie tylko, że go tu nie widzę. Zdziwiło mnie, że znalazł się ktoś w tym okręgu, kto miał tyle taktu i rozsądku, żeby zostać dziś w domu.

Pan gotów? Ruszajmy.

— Gotów — powiedział wuj.

Szeryf miał opinię złego szofera, który wykańcza jeden samochód na rok, tak jak zamiatacz z ciężkimi łapami zużywa miotłę za miotłą — nie na skutek dużej szybkości, ale od zbyt mocnego ścierania; i teraz samochód wprost skoczył od krawężnika i zniknął, zanim on zdążył spostrzec. Wuj podszedł do ich samochodu i otworzył drzwiczki.

— Wskakuj — powiedział.

Wtedy on to powiedział; to przynajmniej było znacznie prostsze.

— Ja nie jadę.

Wuj zatrzymał się i odwrócił ku niemu tę swoją drwiącą, pochmurną twarz, drwiące oczy, którym nie uszło wiele, jeśli tylko dało im się trochę cza

su — którym prawdę mówiąc, odkąd je znał, aż do wczorajszego wieczora nigdy nic nie uszło.

— Ach — powiedział wuj. — Panna Habersham to, oczywiście, dama, ale ta druga to na dodatek twoja matka.

— Popatrz na tamtych — powiedział, nie wsiadając, ledwo, ledwo poruszając wargami.

— Tam po drugiej stronie ulicy. I na Rynku. A tu poza Willym Ingrumem i tym diabelnym...

— Nie słyszałeś, jak rozmawiali z Hamptomem? — zapytał wuj.

— Słyszałem. Nawet się nie śmiali ze swoich własnych dowcipów. Śmiali się z niego.

— Nawet mu nie docinali — powiedział wuj. — Nawet z niego nie kpili. Tylko mu się przyglądali. Patrzą tylko na niego i na podokrąg czwarty i czekają, co się stanie. Ci ludzie tylko po to przyjechali do miasta, żeby zobaczyć, co on albo podokrąg czwarty, albo i on, i podokrąg czwarty zrobią.

— Nie — powiedział. — Po coś więcej.

— Dobra, dobra — powiedział wuj, teraz też zupełnie poważnie. — Powiedzmy, że tak.

I co dalej?

— Przypuśćmy, że...

Ale wuj mu przerwał:

— Przypuśćmy, że podokrąg czwarty zwała się tu, łapie krzesła twojej matki i panny Habersham i wytaszcza na podwórko, żeby je sobie usunąć z drogi? Lucasa nie ma w tej celi. Jest u pana Hamptona w domu i pewno siedzi sobie w tej chwili w kuchni i je śniadanie. Jak myślisz, co tam

robił Will Legate, kiedy się zjawił kuchennym wejściem nie dalej jak piętnaście minut po nas i po tym, jak powiedzieliśmy wszystko panu Hamptonowi? Aleck Sander nawet słyszał, jak szeryf telefonował.

— To dlaczego panu Hamptonowi tak się spieszy? — zapytał; a głos wuja tym razem brzmiał zupełnie poważnie, ale tylko poważnie, nic więcej:

— Bo najlepszym sposobem, żebyśmy nie musieli przypuszczać ani zaprzeczać, jest jechać tam i zrobić, co mamy do zrobienia, i wracać tutaj. Wskakuj do samochodu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Samochodu szeryfa nie dogonili, zastali go już przy kościele. Nie dane mu było jednak usnąć, chociaż, biorąc na rozsądek, powinien i chociaż mimo wypitej kawy mógł się spodziewać, że uśnie, i rzeczywiście tego się spodziewał. Aż do chwili kiedy siedząc za kierownicą półciężarówki podjechał tak blisko, że mógł już dojrzeć Rynek, a dalej tłum ludzi wzdłuż chodnika naprzeciwko więzienia, spodziewał się, że skoro tylko razem z wujem znów znajdą się na drodze do tego kościoła, kawa nie kawa, znów będzie walczył z sennością, i nie tyle walczył z nią, co — wręcz przeciwnie — podda się jej i ją przyjmie, i na przestrzeni dziewięciu mil żwiru i jednej mili polnej drogi wznoszącej się w górę nadrobi przynajmniej jakieś pół godziny snu z tych ośmiu, które stracił ostatniej nocy, a jak mu się teraz wydawało — z tej trzy czy cztery razy większej ilości godzin, którą spędził ostatniej nocy usiłując przestać myśleć o Lucasie Beauchamp.

Kiedy dzisiaj rano tuż przed trzecią dojeżdżali do miasta, nie uwierzyłyby nikomu, że o tej porze — była już prawie dziewiąta — nie będzie miał

odespanych przynajmniej pięciu i pół godziny, jeśli już nie całych sześciu; przypomniał sobie teraz, jaki to był pewny — a niewątpliwie tak samo była pewna i panna Habersham, i Aleck Sander — że skoro tylko oni i wuj znajdą się raz u szeryfa, wszystko będzie skończone; wejdą frontowymi drzwiami i złożą w szerokiej, kompetentnej i do tego powołanej dłoni szeryfa — tak jak się kładzie kapelusz na stole przechodząc przez hall — ten całonocny koszmar niepewności, niezdecydowania, bezsenności, napięcia i zmęczenia, i wstrząsu, i zdumienia, i (przyznawał się do tego) odrobiny strachu też. Ale tak się nie stało i teraz wiedział, że naprawdę to nigdy się tego nie spodziewał; sam ten pomysł tylko dlatego w ogóle przyszedł im do głowy, że byli zmęczeni, wyczerpani nie tyle bezsennością, fizycznym wysiłkiem i napięciem, co nagłością wstrząsu, zdumienia i odprężenia; nie potrzebował widzieć tego tłumu twarzy wpatrzonych w ślepy ceglany fronton więzienia ani twarzy ludzi, którzy przyszedli z drugiej strony ulicy i nawet już ją zatarasowali tłocząc się wokół samochodu szeryfa, odczytując i nie aprobując tego, co znajdowało się wewnątrz samochodu, jednym, wspólnym, zgodnym spojrzeniem postrzegającym, śmiałym, szperającym, nie dającym się oszukać, niczym spojrzenie bardzo zajętego ojca, który jednak znajduje chwilę czasu, żeby skontrolować i przewidzieć zamierzenia dziecka, które kocha, ale któremu zbytnio nie dowierza. Jeżeli jeszcze czegoś potrzebował, to też nie mógł narzekać, że mu tego zabrakło — zobaczył prze-

cież te twarze, głosy nawet nie wyzywające i nawet nie kpiące, po prostu brzmiące dobitnie, żartobliwie i bez litości — to było tak, jakby kładąc się i nareszcie pozwalając sobie na odprężenie mięśni poczuł ukłucie szpilki tkwiącej w materacu, więc równie jak wuj, który przespał całą noc, a przynajmniej jej większą część, i on był trzeźwy i daleki od senności, kiedy wydostali się już za miasto i dodali gazu, ponieważ zaraz na pierwszej mili minęli ostatnie ciężarówki i samochody i teraz już nie spotykali ani jednego, bo każdy, kto miał zamiar dzisiaj być w mieście, o tej porze przemierzał już ostatnią, szybko kurczącą się milę — wszyscy biali w całej tej części okręgu korzystali z pięknej pogody i z dobrych, przystosowanych do każdej pogody szos, które były ich szosami z racji płaconych przez nich podatków i oddawanych przez nich w wyborach głosów i głosów ich krewniaków, i ludzi z nimi skoligaconych, głosów, które mogły zaważyć na opinii członków Kongresu przydzielających fundusze, za które te szosy były budowane — a więc wszyscy biali, korzystając z szos i z pięknej pogody, śpieszyli do miasta, które też należało do nich istniejąc wyłącznie na skutek ich zgody i pomocy w utrzymywaniu ich więzienia i ich sądu, śpieszyli do miasta, aby tam się tłoczyli, blokować i tarasować ulice, jeśli tak im się spodoba — cierpliwi, domagający się swoich praw i pozbawieni uczucia litości, nie dając się ani popędzić, ani zatrzymać, ani rozproszyć, ani pominąć, skoro do nich należał zarówno zamordowany, jak i morderca, do nich

należał zarówno gwałciciel, jak i pogwałcone przez niego prawo, do nich należał ten biały i ich wyzuto z własności, kiedy jemu odebrano życie, do nich należało prawo nie tylko wymierzania zwykłej sprawiedliwości, ale i dopełnienia lub powstrzymania zemsty.

Szybko, szybciej niż kiedykolwiek za jego pamięci wuj prowadził samochód tą długą drogą, którą wczoraj w nocy przejechał konno, a którą dziś jechali w biały dzień, w niewypowiedzianym spokoju majowego poranka — i widział teraz białe rozpryski kwiecia derenia w żywopłotach znaczących dawne linie podziału gruntów albo migające niby postacie zakonnic wśród klasztornych łąk i gajów zieleniejących drzew i różowość, i biel drzew brzoskwiniowych i grusz, i różowobiałe kwiecie pierwszych zakwitających jabłoni w sadach, które wczoraj w nocy dawały mu o sobie znać tylko zapachem, a wszędzie za nimi i zewsząd ich otaczając leżała cierpliwa ziemia — pola równo pocięte bruzdami, w które wysiano kukurydzę wraz z pierwszym wabieniem się gołębi gdzieś pod koniec marca i kwietnia, i bawełnę, kiedy tylko pierwszy lelek rozkrzyczał się którejs nocy na początku maja, jakiś tydzień temu: ale wszędzie pusto, żadnej krzątanimy ani śladu życia — farmerskie domki, z których kominów nie podnosił się dym, bo o tej porze dawno już było po śniadaniu, a obiadu nie gotowano, skoro w domu nikogo nie będzie w obiadowej porze, nie malowane murzyńskie chaty, przed którymi w poniedziałek rano w kurzu nie porośniętych trawą i nie osłoniętych drzewami podwórek, wśród części popsutych kultywatorów, zdartych opon samochodowych, pustych buteleczek po pachnidłach i blaszanych puszek, powinny pełzać i gmerać na pół nagie dzieci, a za tymi chatami okopcone żelazne garnki powinny bulgotać nad płonącymi szczapami drzewa obok krzywych, popaczonych płotków ogradzających małe ogródki i wybiegi dla kur, płotków, na których wieczorem zawisną suszące się kombinezony, fartuchy, ręczniki i bielizna, ale nie dziś rano, nie teraz — przed chatami leżały części kultywatorów i gigantyczne obwarzanki starych opon, butelki i puszki rozrzucone i porzucone w kurzu od tamtej chwili w sobotę po południu, kiedy pierwszy głos zawołał z głębi domu; a za chatami garnki tkwiły puste i zimne wśród ostatnich poniedziałkowych popiołów, pod nagimi sznurami do wieszania bielizny i, kiedy przed mknącym samochodem migają ślepe i puste otwory drzwi, tu i ówdzie chwytał spojrzeniem nikły żar paleniska, i już nie chwytał spojrzeniem, ale tylko wyczuwał pośród cieni nieustające przetaczanie się białek oczu; przede wszystkim jednak migają te bezładne pola, z których na każdym tego dnia i o tej godzinie, w drugi poniedziałek maja, powinny tkwić w monotonnym powtórzeniu żywe symbole tego kraju — sztywne grupki o rytualnym, niemal mistycznym znaczeniu, identyczne i powtarzające się jak kamienie milowe łączące serce okręgu z najdalszymi jego granicami właśnie tak, jak łączą je kamienie milowe: zwierzę, pług i człowiek

HH HI

przenikający się w jedno, wrośnięci korzeniami w zastygłą falę odkładanej przez nich bruzdy, dygoczący od napięcia trudu, a jednocześnie wcale nie posuwający się naprzód, ciężcy, nieruszalni i nieruchomi jak rzeźbiona grupa zapaśników ustawiona na de niezmiernego ogromu tego kraju; aż nagle (byli osiem mil za miastem i widział już niebieskozielone wzniesienie wzgórz) z przechodzącym wszelką miarę i niemal odbierającym oddech zdumieniem on, który od czterdziestu ośmiu godzin prócz Paralee, Alecka Sander i Lucasa nie widział ani jednego z nich, powiedział:

— Widzę czarnego.

— Aha — powiedział wuj. — Dzisiaj jest dziewiąty maja. W tym okręgu została jeszcze do obsiania połowa stu czterdziestu dwóch tysięcy akrów ziemi. Ktoś musi zostać w domu i pracować.

A samochód pędząc, wcinając się w przestrzeń podrzucił tak, że poprzez skraj pola i te jakieś pięćdziesiąt jardów, które dzieliły go od Murzyna za pługiem, spojrzeli sobie obaj prosto w oczy, dopóki Murzyn nie odwrócił twarzy — twarzy czarnej i lśniącej od potu, napiętej z wysiłku, stężalej, skupionej i opanowanej — po czym samochód śmignął dalej, a on najpierw wychylił się za otwartą szybę, a potem odwrócił się na swoim miejscu, żeby móc, patrząc przez tylną szybę samochodu, widzieć dłużej ten niezmacony, szybko zmniejszający się obraz — człowieka, muła i drewniany pług łączący zwierzę z człowiekiem, zażartych i samotnych, wrośniętych w ziemię i nie posuwających się naprzód, straszliwie pozbawionych oparcia.

Widzieli już góry; byli prawie na miejscu — długa wyniosłość najbliższego porośniętego sosnami grzbietu przekreślała pół horyzontu, a poza nią przeczuwało się, czuło następne sosny, cały ich tłum, który jakby nie wznosił się i wystrzelał wzwyż z równiny, ale wisiał nad tą równiną, tak jak w opowiadaniu wuja wyglądało to w górach Szkocji, mniej jednak urwistych i innego koloru; jakieś dwa, a może trzy lata temu wuj powiedział: “To właśnie dlatego ci ludzie wybrali z własnej woli życie wśród tych gór, na małych poletkach, z których nie zbierze się ośmiu buszli kukurydzy czy pięćdziesięciu funtów surowej bawełny licząc na jeden akr, jeśli w ogóle nie są zbyt strome, żeby muł mógł po nich podejść z pługiem (zresztą i tak nie mają zamiaru uprawiać na nich bawełny, tylko kukurydzę, i to nie za wiele, bo prawdę mówiąc niewielkiej potrzeba ilości kukurydzy, żeby uruchomić gorzelnię akurat taką dużą, aby mogła zająć czas jednemu chłopu i jego synalkom), że nazywają się Gowrie, McCallum, Fraser i Ingrum, co brzmiało kiedyś Ingraham, i nazywają się Workitt, co brzmiało kiedyś Urquhart, tylko że ten, który przywiózł to nazwisko do Ameryki, a z kolei do Missisipi, nie umiał go napisać, i właśnie ci ludzie kochają się w burdach, boją się Boga i wierzą w piekło...*” — I teraz wuj, jakby odgadł jego myśli, utrzymując wskazówkę szybkościomierza na liczbie pięćdziesiąt pięć przez

ostatnią milę zwirowanej szosy (droga zaczęła się już pochyłać ku zarośniętemu wierzbina i cyprysami wąwozowi strumienia Dziewiętej Mili), odezwał się, to jest, dopiero teraz zechciał coś powiedzieć od czasu, jak wyjechali z miasta:

— Gowrie i Fraser, i Workitt, i Ingrum. A w dolinach nad rzekami urodzajny, łatwy do uprawy, równinny kraj, gdzie da się uprawiać coś, co potem można sprzedać jawnie, w biały dzień, i ludzie, którzy nazywają się Litdejohn i Green-leaf, i Armstead, i Millingham, i Bookwright...

Urwał, ponieważ samochód zjeżdżał w dół zwiększając szybkość własnym ciężarem; zobaczył teraz most, na którym Aleck Sander czekał na niego w ciemnościach i pod którym Highboy zwęszył kurzawkę.

— Skręcamy zaraz za mostem — powiedział.

— Wiem — powiedział wuj. — ...I ludzie, którzy nazywają się Sambo i żyją i tu, i tam, wybrali i to, i tamto, bo mogą znieść warunki życia i w górach, i w dolinie, dlatego że mogą znieść wszystko. — Most był już zupełnie blisko, pędził na nich jego wylot otwarty między dwiema białymi barierami. — Nie wszyscy biali ludzie zdolni są znieść niewolnictwo, a najwidoczniej żaden człowiek nie potrafi znieść wolności (Nawiasem mówiąc — założenie, że człowiek rzeczywiście pragnie pokoju i wolności, stanowi rdzeń naszych obecnych kłopotów w stosunkach z Europą* w której ludzie nie tylko że nie wiedzą, co to jest pokój, ale — z wyjątkiem Anglosasów — w gruncie rzeczy boją się i nie dowierzają wolności

osobistej; mamy nadzieję, właściwie zupełnie nie mając nadziei, że nasza bomba atomowa wystarczy, żeby obronić ideę dorównującą wiekiem arce Noego.); jednomyślnie, zgodnie i bez zastanowienia wszyscy siłą wpychamy naszą wolność w ręce pierwszego nadarżającego się demagoga. — a jeśli człowiek nie ma pod ręką tego demagoga, sam niweczy swoją wolność i wymazuje jej obraz sprzed swoich oczu i ze swoich widnokręgów, a nawet z pamięci z obłąkańczą jednomyślnością, jakby wszyscy wspólnie zdeptywali płonąca w bliskim sąsiedztwie łąkę. Ale lud Sambo przeżył jedno i kto wie, może nawet udźwignie to drugie. I kto wie...

Błysnął teraz piasek, zapaliła się i zamigotała woda; białe poręcze poleciały wstecz w jednym huku i pędzie, i klekocie desek, i byli już za mostem. Będzie musiał teraz zwolnić — pomyślał, ale wuj nie zwolnił, wyłączył tylko silnik, tak że samochód potoczył się dalej własnym rozpędem, który — wciąż jeszcze zbyt szybko — zniósł go morderczym poślizgiem na piaszczystą drogę i tą drogą jeszcze pięćdziesiąt jardów, ciskając nim między koleinami, aż tam, gdzie ostatek płaskiego gruntu łamał się w pierwszą łagodną pochyłość, i rozpęd niósł go dalej jeszcze -na najszybszym biegu w górę pochyłości, aż tam, gdzie zobaczył ślady półciężarówki, którą Aleck Sander zjechał z drogi w krzaki, i gdzie on sam stał gotów na wszystko, z ręką na nozdrzach Highboya, a tamten koń czy muł, jeśli koń to był albo muł, schodził ze wzgórza z owym ładunkiem ułożonym przed

amaKMHi

jeźdźcem, ładunkiem, którego nie udało się nawet rozpoznać Aleckowi Sanderowi mającemu oczy sowy albo nurka, albo czego innego, co poluje po nocy (i znów przypomniał sobie nie wuja dziś rano przy stole, ale siebie samego, kiedy stał wczoraj wieczorem na podwórku, w owej chwili po odejściu Alecka Sandera i jeszcze zanim poznał zbliżającą się pannę Habersham, kiedy to naprawdę był przekonany, że jedzie sam zrobić to, co musi być zrobione, i teraz pomyślał tak samo jak wtedy przy stole: Nie będę o tym myślał); byli już prawie na miejscu, właściwie byli już na miejscu, bo ta odległość, która jeszcze pozostawała do przebycia, nie mierzyła się już nawet na mile.

Choć zaledwie czołgając się teraz, samochód był na drugim biegu pod nieruchomą stromizną głównego zbocza i w nieustającym gęstym, żywicznym powiewie sosen, wśród których krzewy derenia wyglądały już naprawdę jak zakonnice stojące w długich zielonych korytarzach, samochód był wyjeżdżając na sam szczyt, ściętą równo płaszczyznę, skąd wydało mu się, że widzi cały swój ojczysty kraj, swoją ojczyznę — piach, ziemię, która rodziła jego i jego ojców od sześciu pokoleń i wciąż jeszcze go kształtowała nie w jakiegoś człowieka w ogóle, ale w człowieka określonego, nie w człowieka o ludzkich namiętnościach i aspiracjach, i wierzeniach, ale w człowieka

0 określonych namiętnościach i nadziejach, i przekonaniach, i o określonym sposobie myślenia

1 działania, należącego nawet do określonego gatunku i do określonej rasy — a nawet więcej —

nawet w obrębie gatunku i rasy — w człowieka określonego i niepowtarzalnego (według opinii większości, a właściwie wszystkich ich, tych, co dziś rano tłumem pchali się do miasta, aby stanąć na ulicy przed więzieniem i tłoczyć się wokół samochodu szeryfa — nawet diabelnie niepowtarzalnego), skoro przeniknęło w niego także to niewiadome, co rozkazało mu poświęcić trochę uwagi i wysłuchać jakiegoś przeklętego, bezczelnego, zadzierającego nosa Murzyna, który, choćby nawet nie był mordercą, miał już dostać to, na co może nie zasługiwał, ale w każdym razie dokładnie to, czego dopraszał się przez całe swoje sześćdziesiąt-ileś-tam lat — więc zdawało mu się, że cały jego ojczysty kraj w jakiejś powolnej, bezgłośnej eksplozji rozwija się pod nim jak mapa: na wschód jeden za drugim zielone grzbiety waliły się w stronę Alabamy, a na zachód i południe szachownica pól i lasy rozplywające się w niebieskim i przysłoniętym mgiełką horyzoncie, za którym wreszcie leżała jak chmura długa ściana wysokiego wału przeciwpowodziowego i płynęła sama Wielka Rzeka nie tyle z północnej strony, ale z Północy wypływająca, opływająca i określająca granice — pępowina Ameryki łącząca glebę, która była jego ojczyzną, z łonem, którego trzy pokolenia temu ta gleba w krwawej walce nie zdołała się wyrzec; kiedy się odwrócił, dostrzegł nikłą plamę dymu — miasto z odległości dziesięciu mil, ® patrząc prosto przed siebie widział daleko żyzny i nizinny kraj podzielony na wielkie dzierżawy Plantacji (z których jedna należała do Edmond-

sów i na której urodzili się obecny Edmonds i Lucas, wywodząc się od jednego dziada) położonych nad ich własną małą rzeką (choć jeszcze za pamięci jego dziadka pływały po niej parowce), dalej widać było grubą krechę samej nadrzecznej dżungli — a za tą krechą dal na wschód i północ, i zachód, nic tylko po najdalsze cyple sfałdowane grzbietem do grzbietu, wrzynające się w bezkres dwóch oceanów, i do długiej krawędzi Kanady, ale aż po ostateczny skraj samej Ziemi; ku samej Północy — nic w północnym kierunku, ale ku Północy, obcej, wszystko ppassującej, nie będącej żadnym geograficznym miejscem, ale pojęciem emocjonalnym, stanem, który wysłał z mlekiem matki jako trwałą, nieustającą czujność, nic po to wcale, żeby się bał, i bynajmniej nic po to, żeby nienawidził, a po to tylko, żeby — i to czasami ze znużeniem, a czasami nawet mrużąc oko — stale protestował; wyniósł z sobą z niemowlęctwa dzie- cinnie obraz, do którego zmiany nic było powodów ani środków na progu wieku męskiego i żadnych racji do przypuszczania, że obraz ten miałby się zmienić, kiedy on będzie już starcem: był u> wybruszony półkuliście, niewysoki mur (każdy* kto by naprawdę chciał, mógł się na niego wdra* pać; był pewien, że byle chłopak potrafi tego dokonać), z którego szczytu — z całą tą wielką przestrzenią ich płodnej, nie znającej najeźdźcy ziemi, z olśniewającymi miastami, co nie zaznały zniszczenia i pożogi wojny, i farmami nie wiedzącymi, co to spustoszenie, ziemi od tak dawns bezpiecznej i opływającej w dostatki, że zdaWało by się, iż nic zostało tu miejsca na ciekawość — patrzyły w dół na niego i na to, co do niego należało, szeregi i szeregi twarzy takich samych jak jego twarz i mówiących językiem, jakim on mówił, i nawet czasami odpowiadających na to samo imię, które i on nosił, ale twarzy, pomiędzy którymi a nim i tym, co do niego należy, nie było już żadnego istotnego pokrewieństwa, a wkrótce i nie będzie żadnego kontaktu, skoro nawet słowa, których wspólnie używali, nie będą już miały tych samych znaczeń, a wkrótce potem nawet i to przestanie być ważne, bo odejdą od siebie tak daleko, że nie będą się nawzajem słyszeć — zostanie tylko tłum nieprzeliczonych twarzy spoglądających z góry na niego i to, co do niego należy, z rozwiewającym się zdumieniem i gniewem, i rozczarowaniem, i co najdziwniejsze, z bezmyślną łatwowiernością; jakąś bezwolną, niemal bierną zdolnością i skwapliwością, żeby uwierzyć we wszystko, w każde słowo powiedziane o Południu, nic tylko wtedy, kiedy to jest opinia ujemna, i dlatego, ale jeśli już tylko jest ona wystarczająco dziwaczna — i właśnie w tym miejscu wuj znów się odezwał wypowiadając to, co on by chciał wypowiedzieć, a on i tym razem bez zdziwienia stwierdził, że nic przerwało to jego myśli, tylko poniosło je dalej.

— To dlatego — mówił wuj — że my jedni w całych Stanach Zjednoczonych (w tej chwili nie mówię o Sambo, zajmę się nim za chwilę) jesteśmy ludnością homogeniczną. Chcę powiedzieć, jedyną, która przedstawia jakąś wielkość. Mieszkaniec

_____ {Anglii oczywiście też siedzi w głębi kraju z dala od wyrzucanych na brzeg szumowin Europy, które ten kraj w okresie kwarantanny przemienił z- mętów nigdzie niezdolnych zapuścić korzeni w mieszkańców miast nie wrosłych głębiej i efemerycznych, miast z fabrykami, odlewniami i zasiłkami dla bezrobotnych, i zamknął w tych miastach tak bezpiecznie, że lepiej by tego nie zrobiła żadna policja, ale nie ma już wystarczającej liczby mieszkańców dawnej Nowej Anglii, tak samo jak nie ma tylu Szwajcarów, co są nie tyle narodem, ile czyściutkim, schludnym, małym, bo do grosza wypłacalnym przedsiębiorstwem handlowym. Więc my w gruncie rzeczy nie opieramy się temu, co tamci wokoło nas nazywają (co i my nazywamy) postępem i oświatą. W gruncie rzeczy bronimy nie naszej polityki czy naszych przekonań, czy nawet naszego sposobu życia, ale po prostu naszej homogeniczności przed rządem federalnym, któremu pozostałe części tego kraju po prostu nie mając innego wyboru musiały się dobrowolnie poddawać coraz bardziej i bardziej, rezygnując z osobistej i prywatnej wolności, aby tylko trwały Stany Zjednoczone. I oczywiście nie przestaniemy jej bronić. My [mam na myśli nas wszystkich: podokrąg czwarty nie usnie spokojnie, dopóki nie wykreśli za Vinsona Gowrie Lucasa Beauchamp (czy kogoś innego) używając do tego atramentu tego samego koloru; mam na myśli i podokrąg pierwszy, i drugi, i trzeci, i piąty, które dla samej zasady, nie zaangażowane w to emocjonalnie, zamierzają dopilnować, żeby podokrąg czwarty dokonał tego wykreślenia] nie wiemy, dlaczego to jest takie ważne. Nie potrzebujemy tego wiedzieć. Załedwie kilku z nas wie, że tylko z homogeniczności rodzą się wartości trwałe i nie podlegające zmianom, wartości z ludu i dla ludu — literatura, sztuka, nauka, owo minimum rządów i polityki oznaczające wolność i swobodę, i może najcenniejsze ze wszystkiego: charakter narodu, rekompensujący wszystkie straty podczas kryzysu, kryzysu, wobec jakiego staniemy któregoś dnia, kiedy zmierzmy siły z nieprzyjacielem mającym nie mniej ludzi niż my i nie mniejsze środki niż my i — któż to wie? — może nawet umięjącym przechwalać się i chełpić tak, jak my przechwalamy się i chełpimy.

I to dlatego musimy się opierać Północy — nie tylko, żeby po prostu zachować siebie ani nawet obie części kraju jako jedność, aby pozostać jednym narodem, bo to będzie i tak nieuniknionym produktem ubocznym tego, co zachowamy — tego, w czego obronie trzy pokolenia wstecz przegraliśmy krwawą wojnę na naszym własnym podwórku: postulatu, że Sambo jest istotą ludzką żyjącą w wolnym kraju i dlatego Sambo musi być wolny. To tego przecież bronimy: naszego przywileju, żeby go naszymi własnymi rękami uwolnić, i co będziemy musieli zrobić dla tej przyczyny, że nikt inny tego zrobić nie może, bo już blisko sto lat temu Północ próbowała to zrobić, a teraz już od siedemdziesięciu pięciu lat przyznaje, że się jej nie udało. Więc to my musimy tego dokonać. Już wkrótce coś takiego przestanie

nam grozić. Nawet teraz nie powinno. Nie powinno nam grozić nigdy. A jednak w zeszłą sobotę ta groźba się pojawiła i prawdopodobnie jeszcze się pojawi, może nie raz i nie dwa razy. Ale potem już nigdy; problem będzie rozwiązany; oczywiście, hańba pozostanie jeszcze, ale przecież cała historia nieśmiertelności człowieka zapisana jest w jego cierpieniu, w jego wydzieraniu się ku 1 gwiazdom po kamiennych progach swojej pokuty. Pewnego dnia Lucas Beauchamp będzie mógł zabić białego człowieka strzałem w plecy tak samo nie narażając się na pętlę linczu czy płomień ■ benzyny, jak gdyby to zrobił biały człowiek; przyjdzie czas, że będzie mógł głosować wszędzie i zawsze tak, jak biały człowiek, i będzie mógł posyłać swoje dzieci wszędzie do tej samej szkoły, do której chodzą białe dzieci, i podróżować wszędzie tam, gdzie i biały człowiek, tak jak podróżuje biały człowiek. Ale nie stanie się to w najbliższy wtorek. A ludziom na Północy się zdaje, że taką rzecz można narzucić już od najbliższego poniedziałku, że wystarczy przyjąć drogą głosowania drukowany paragraf; tak się zdaje ludziom, którzy nie pamiętają, że chociaż już w zeszłym stuleciu wolność Lucasa Beauchamp stała się artykułem naszej konstytucji, a właściciel Lucasa Beauchamp nie tylko musiał ugiąć kolan jako pokonany, ale jeszcze przez dziesięć lat wciskano mu twarz w proch ziemi, żeby to przelknał, a mimo to zaledwie trzy krótkie pokolenia później staje przed nimi raz jeszcze konieczność wydania ustawy gwarantującej wolność Lucasa Beauchamp.

A teraz zajmijmy się Lucasem Beauchamp, Sambo, który też jest człowiekiem homogenicznym, oprócz tej jego części, która wyrywa się nawet nie ku temu, co najlepsze w białej rasie, ale ku temu, co pośledniejsze — ku wulgarnej, taniej, nieuczciwej muzyce, wulgarnym, efekciarskim, bezsensownym, przecenionym pieniądzom, błyskotliwemu gmachowi reklamy, bez fundamentów, niby domek z kart nad przepaścią, i ku całemu temu hałaśliwemu zamieszaniu działalności politycznej, będącej niegdyś naszym podrzędnym zajęciem narodowym, a teraz narodową rozrywką dla amatorów — ku całemu temu sztuczному hałasowi wzniecanemu przez ludzi rozmyślnie go kultywujących, a potem robiących majątek na naszym narodowym upodobaniu do przeciętności; oprócz tych, co by nawet przyjęli to najlepsze, gdyby przedtem, zanim zostanie im podane, uległo spodleniu i splugawieniu; oprócz tych, którzy jedyni ze wszystkich ludzi pod słońcem chępią się publicznie faktem, że są przeciętni, na przykład — że są półinteligentami. Więc mówię nie o takim Sambo. Mówię o całej reszcie, o Sambo, który jest jeszcze bardziej homogeniczny niż my i który dowiódł tego zapuszczając korzenie w glebę, z której przedtem musiał usunąć białych ludzi — ponieważ miał cierpliwość, jeśli nawet nadziei nie miał, ponieważ umiał patrzeć daleko, nawet jeśli tam nic nie mógł zobaczyć, nie tylko mając wolę, ale żądę przetrwania, ponieważ kochał tych parę starych prostych rzeczy, których nikt nie chciał mu odebrać — nie auto ani

jaskrawe ubranie, ani swoją fotografię w gazecie, ale parę tonów muzyki (swojej własnej), ognisko domowe, nie swoje dziecko, ale każde dziecko, Boga, niebo, którym człowiek może się cieszyć po troszku od czasu do czasu nie musząc czekać, aż umrze, kawałek ziemi, w którą by wsiąkał jego własny pot, między własnoręcznie uprawiane zielone pędy i roślinki. My — on i my — pójdziemy razem: my mu damy resztę przywilejów ekonomicznych, politycznych i kulturalnych, do których ma prawo, a on w zamian da nam swoją zdolność czekania i cierpliwości i żywotność. Wtedy odniesiemy zwycięstwo; razem opanujemy Stany Zjednoczone; staniami murem nie tylko nieprzebitym, ale i nieustraszonym wobec tłumu ludzi, których już między sobą nic nie łączy prócz obłąkanej chciwości pieniędzy i najgłębszego lęku przed klęską narodową, lęku, który ukrywają jedni przed drugimi za głośnym, bezmyślnym odklepywaniem chwały fladze.

Zajechali już na miejsce, i to niedługo po przyjeździe szeryfa. Samochód szeryfa stał już w gaju przed kościółkiem, ale szeryf był jeszcze przy nim, a jeden z więźniów Murzynów wyjmował właśnie z samochodu oskard i podawał nie odwracając się drugiemu więźniowi, który trzymał już obydwie łopaty. Wuj podjechał do tamtego samochodu i zahamował, a p n teraz w biały dzień właściwie po raz pierwszy zobaczył ten kościółek, chociaż przez całe życie mieszkał dziesięć mil od niego i musiał go widywać, przejeżdżając obok przynajmniej tyle razy, ile wynosiła

połowa tej odległości. A jednak nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek naprawdę go widział — kościółek nie miał wieży, było to pudło zбите z tarcic, nie wyższe niż niektóre jednoizbowe góralskie chaty, tak samo nie malowane, ale (dziwna rzecz) nie walące się i nawet ani zaniedbane, ani opuszczone, bo widać było kłocę surowego świeżego drewna, skrawki i łaty syntetycznego materiału do krycia dachów, przyłatane i wstawione w stare ściany i na miejsce starych gontów z jakąś dziką i niemal nieprzystojną skwapliwością, i nie było to jakieś pudło przycupnięte i pochylone czy choćby przysiadłe — stało prosto wśród pni wysokich, mocnych sosen obrośniętych wiecznymi brodami, kościółek samotny, ale nie opuszczony — przekorny i niezależny, niczego od nikogo nie potrzebujący, nie uznający żadnych kompromisów; przypomniał sobie wysokie smukłe wieże wołające: "pokój", i przysadziste dzwonnice utylitarian wołające: "żałuj", i przypomniał sobie jedną wołającą nawet: "strzeż się", ale ta tutaj dzwonnica wołała tylko "spal"; obaj z wujem wysiedli* szeryf z dwoma Murzynami niosącymi narzędzia byli już za ogrodzeniem, więc weszli za nimi przez zwisającą na zawiasach furtkę w niskim drucianym ogrodzeniu okrytym gęstwiną powoju i małych, bezwonnnych, różowych i białych pnących różyczek i — też po raz pierwszy — zobaczył ten cmentarz, on, który nie tylko zbeczczył jeden z grobów na tym cmentarzu, ale unieważnił jedną zbrodnię wydobywając na światło dzienne drugą — był to ogródzony, mniejszy niż znajome ma-

łe ogródki kwadrat ziemi, który do września zdławią i uczynią prawie nieprzebytym i niemal niewidocznym szalwie, piołuny i dziadowskie wszy, a z tego kwadratu sterczały bez żadnego porządku czy symetrii, niby zakładki wsunięte niedbale tu i ówdzie w wielką księgę rachunkową albo wykałaczkę wetkniętą w bochenek, wszystkie odrobinę' pochylone, jakby przejmując ten swój zastygły kąt nachylenia od pni niespokojnych, nigdy nie stojących zupełnie pionowo sosen, ukośne, cienkie tafle taniego szarego granitu, równie szare i spłowiałe, jak nic malowane ściany kościółka, jak gdyby odciosano je toporami z tych ścian (i nie było na nich epitafiów, tylko po prostu imiona i daty, jakby o tych, co pod nimi leżeli, nawet ci okryci żałobą nic pamiętali nic więcej poza tym, że żyli i że umarli), a to, co sprawiło, że w te złupione stare ściany trzeba było wstawić łąty nie malowanego i nie zszarzałego jeszcze, odbijającego świeżością drewna, to nie było ani niszczenie, ani czas, ale nieunikniony skutek śmiertelności i przeznaczenia ciała.

Obaj z wujem przeszli pomiędzy płytkami granitu do miejsca, w którym szeryf i dwaj Murzyni stali już nad świeżym kopczykiem ziemi, który on, ten, co ów grób zbeczczył, teraz właściwie zobaczył po raz pierwszy. Ale nic zaczęli jeszcze kopać. Zamiast tego szeryf odwrócił się i patrzył na niego przez ten czas, kiedy oni obaj z wujem jeszcze szli i póki nie stanęli obok.

— A co teraz? —7 zapytał wuj.

Ale szeryf łagodnym, spokojnym głosem zwrócił się do niego:

— Myślę, że ty i panna Eunice, i ten wasz asystent byliście piekielnie ostrożni wczoraj w nocy i nieźle uważaliście, żeby was tu nikt przy tej robocie nie złapał, co?

Odpowiedział wuj:

— To robota nie bardzo lubiąca widzów.

Ale szeryf wciąż patrzył na niego.

— To dlatego nie położyli z powrotem kwiatów?.

Wtedy i on je zobaczył — ten sztuczny wieniec, obrzydliwa, wymyślna płatanina drutu, sznurka, farbowanych liści i zasuszonych kwiatów, którą ktoś przyniósł czy przysłał z kwiaciarni z miasta, i trzy bukiety zwędłych polnych i ogrodowych kwiatów przewiązane bawełnianym sznurkiem, to wszystko, co, jak powiedział wczoraj w nocy Aleck Sander, wyglądało, jakby zostało ciśnięte przez kogoś w ten grób czy na ten grób, i co, jak pamiętał, on i Aleck Sander odłożyli na bok, i co, był pewny, położyli z powrotem po zasypaniu dołu; przypominał sobie, że panna Habersham dwa razy im powtarzała, żeby to położyli z powrotem, nawet kiedy on się temu sprzeciwił jako czemuś niepotrzebnemu, a w każdym razie niepotrzebnej stracie czasu; może nawet pamiętał, że panna Habersham sama pomagała ułożyć je z powrotem; — a może w ogóle nie pamiętał, czy je z powrotem położyli, a tylko mu się zdawało, że sobie to przypomina, ponieważ kwiaty najwidoczniej nie

I powrotem położone, skoro leżały teraz Splątane i ciśnięte na bok, a jeszcze któryś z nich, (Aleck Sander albo on, musiał podeptać ten wieniec, chociaż teraz to było nieważne, co właśnie powiedział wuj:

f — Teraz to już nieważne. Zaczynajmy. Nawet kiedy już tu z tym skończymy i zawrócimy do miasta, będziemy mieli za sobą dopiero początek.

— Dobra, chłopaki — powiedział szeryf do Murzynów. — Bierzcie się do tego. Skończmy z tym...

I nie usłyszał żadnego dźwięku, nic, co by go ostrzegło, ot, tak podniósł oczy i rozejrzał się wokoło, tak samo jak rozejrzeli się wuj i szeryf, i zobaczył — nie na drodze wiodącej z góry, ale wyjeżdżającego spoza kościoła, jakby spośród samych wysokich wietrznych sosen, jakiegoś mężczyznę w wyblakłym szerokim kapeluszu i czystej, spłowiałej, niebieskiej koszuli, z pustym lewym rękawem zawiniętym schludnie do tyłu i przypiętym do ramienia agrafką, jadącego na zgrabnej, jasnokasztanowatej, łyskającej białkami oczu klaczy, za którą dwóch młodszych mężczyzn jechało oklep na jednym, wielkim, czarnym mule z wytartą w sierści na szyi obrozą od linki, i za którym z kolei biegły dwa wielkie ogary (w bezpiecznej odległości od kopyt muła) zmierzając szybkim kłusem przez las do furtki, gdzie ten mężczyzna zatrzymał klacz i przy pomocy swojej jednej ręki lekko i szybko zeskoczył na ziemię, a potem zarzucił klaczy wodze na szyję, przeszedł przez furtkę i podszedł do nich krokiem szybkim i elas

tycznym ową podskakującą niemal elastycznością sprężyny; był to niski, chudy mężczyzna o oczach tak jasnych jak oczy szeryfa i o czerwonej, ogorzalej twarzy, z której sterczał nos podobny do zakrzywionego orlego dzioba; wysokim, cienkim i silnym, nie załamującym się głosem już mówił.

— Co się tu dzieje, szeryf?

— Chcę otworzyć ten grób, panie Gowrie — powiedział szeryf.

— Nie — powiedział tamten natychmiast głosem najzupełniej tym samym, co przedtem, nie wdając się w dyskusję, obojętnie stwierdzając fakt: — Tego grobu nie otworzycie.

— Tak, panie Gowrie — powiedział szeryf. — Otworzę ten grób.

Stary bez pośpiechu, niemal z namysłem, zręcznie odpiął swoją jedyną ręką dwa guziki u koszuli, włożył rękę w zanadrze skręcając się lekko w biodrach, żeby sobie ułatwić zadanie, wyciągnął spod koszuli ciężki niklowany pistolet i wciąż bez pośpiechu, ale i nie tracąc ani chwili czasu, wsadził pistolet rękojeścią do przodu pod lewą pachę przyciskając go kikutem drugiej ręki, kiedy tamtą jedyną ręką zapinał koszulę, po czym ujął w nią znów pistolet w nic go nie wymierzając, po prostu trzymając.

Jednak już dużo wcześniej on zobaczył ruch szeryfa, naprawdę niewiarygodnie szybki ruch nie w stronę starego, ale zwrot w kierunku stóp grobu, wyprzedzający nawet tę chwilę, w której obaj Murzyni rzucili się do ucieczki i już z miejsca chyba pędząc jak wystrzeleni wpadli prosto na

szeryfa niczym na skałę, a nawet, zdaje się, zdążyli się od niego odbić, kiedy szeryf złapał ich obu, każdego jedną ręką niby dwoje dzieci, i zaraz w następnej chwili wyglądało, jakby ich trzymał obu jedną ręką jak gałgankowe lalki, tak się ustawiając, żeby być między nimi a tym małym, sprężystym, starym człowiekiem z pistoletem w rękę; powiedział swoim łagodnym, niemal sennym głosem:

— Dosyć tego. Nie wiecie, że nic gorszego by się czarnemu nie mogło przydarzyć jak to, żeby się dzisiaj zaczął kręcić po okolicy ubrany w więzienne portki?

— Racja, chłopcy — powiedział stary swoim wysokim, drewnianym głosem. — Nic wam nie zrobię. Gadam z szeryfem. Nie otworzycie grobu mojego chłopaka, szeryf.

— Niech wracają do samochodu — szepnął prędko wuj. Ale szeryf nic nie odpowiadając wciąż patrzył na starego.

— Pańskiego chłopaka nie ma w tym grobie, panie Gowrie — powiedział szeryf. A on przyglądając się pomyślał o wszystkich tych rzeczach, które ten stary mógłby wypowiedzieć — o zaskoczeniu, niedowierzaniu, może oburzeniu, a nawet o tej myśli, którą na głos wypowie: Skąd możecie wiedzieć, że w nim nie ma mojego chłopaka? — o rozumowaniu kategoriami, w których mógłby sparafrazować słowa, jakie szeryf wypowiedział sześć godzin temu do wuja: Nie powiedziałbyś mi tego, gdybyś nie wiedział, że to prawda; przyglądał się i niemal razem z tym starym przedzierał przez to wszystko, wreszcie pomyślał ze zdumieniem: Ależ

on jest smutny, i przypomniał sobie, że jest to już drugi raz w czasie ostatnich dwóch lat, kiedy widzi smutek tam, gdzie się go nie spodziewał, a przynajmniej nie przewidywał, tam gdzie w pewnym sensie nie było miejsca na serce zdolne się zasmucić — pierwszy raz było to serce starego Murzyna, któremu wypadło przeżyć swoją starą czarną żonę, a teraz serce tego starego, bezbożnego gwałtownego bluźniercy, któremu wypadło stracić jednego z tych sześciu leniwych, rozpróżnionych, niepohamowanych synów, wszystkich na bakier z prawem i co do jednego nie byle jakich ladaco, z których żaden nigdy nie przysłużył się niczym swojemu społeczeństwu i całemu rodzajowi oprócz tego jednego, a i ten tylko w ten desperacki i ostateczny sposób, że jako ofiara morderstwa przestał do tego społeczeństwa należeć; ale znów usłyszał ten nagły, wysoki, płaski i silny głos mówiący, jakby nigdy nie przerywał, tym samym co przedtem tonem, tonem zwyczajnej niemal rozmowy:

— No, lepiej mi nie gadajcie, jak się nazywa ten facet, co to sprawdził, że mojego chłopaka tu nie ma. Tego, szeryf, lepiej nie róbcie.

I małe, twarde, jasne oczka patrzyły prosto w małe, twarde, jasne oczka, a wciąż łagodny głos szeryfa zabrzmiał teraz tajemniczo:

— Nie, panie Gowrie, ten grób nie jest pusty — a on później, już po tym wszystkim, zrozumiał, że właśnie wtedy zdawało mu się, że wie, może nie tyle, dlaczego Lucas w ogóle dojechał do miasta żywy, ponieważ to było zupełnie jasne, skoro w krytycznym momencie nie było na miejscu

żadnego z Gowrie'ch prócz zabitego, ale że przynajmniej wie, dlaczego ten stary i dwaj jego synowie wynurzyli się z lasów za kościółkiem przypadkiem niemal w tej samej chwili, kiedy on, szeryf i wuj zdążyli stanąć nad tym grobem, a że wie na pewno, dlaczego jeszcze prawie czterdzieści osiem godzin po fackie Lucas znajdował się wśród żywych. — W tym grobie leży Jake Montgomery — powiedział szeryf.

Stary odwrócił się ruchem nagłym, nie śpiesz- nym i nawet nie prędkim, ale wręcz swobodnym, jakby jego niepozorna, mała, chuda postać poruszała się nie wiedząc ani, co to opór powietrza, ani, co to wysiłek mięśni, odwrócił się i krzyknął w stronę ogrodzenia, gdzie ci dwaj młodszy mężczyźni wciąż jeszcze siedzieli na mule tacy identyczni, jak dwa manekiny z magazynu odzieżowego, i tak samo nieruchomi, nie zabierając się nawet do zsiadania, dopóki stary nie krzyknął:

— Hola, chłopaki!

— Nie trzeba — powiedział szeryf. — My to zrobimy. — Odwrócił się do Murzynów.
— Dalej, 'bierzcie no łopaty...

— Mówiłem wam — znów prędko mruknął wuj — żeby ich odesłać do samochodu.

— Dobra jest, panie adwokat. To pan adwokat Stevens, co? — powiedział stary. — To niech pan ich stąd zabiera. Ten tu interes do nas należy. My go załatwimy.

— Teraz to już interes mój, panie Gowrie — powiedział szeryf.

Stary spokojnie i bez pośpiechu podniósł pistolet zginając rękę w łokciu, aż pistolet znalazł się na odpowiednim poziomie, i odwiódł kciukiem kurek prawie do końca, celując w coś gdzieś na wysokości pustych szlufek do paska przy spodniach szeryfa.

— Zabieraj ich pan stąd, szeryf — powiedział stary.

— Dobra, dobra — powiedział szeryf nie poruszając się. — Wracajcie, chłopaki, do samochodu.

— Zabieraj ich pan stąd gdzieś dalej — powiedział stary. — Niech wracają do miasta.

— To więźniowie, panie Gowrie—powiedział szeryf. — Nie mogę ich samych odsyłać.

— Nie poruszał się. — Wracajcie do samochodu i wsiadajcie — powiedział do Murzynów.

Murzyni odeszli, nie zawracając w stronę furtki, ale idąc prosto, na przełaj przez ogrodzony teren całkiem szybko, trochę zbyt wysoko unosząc stopy i kolana odziane w brudne więzienne nogawki, idąc już bardzo szybko, kiedy znaleźli się przy ogrodzeniu cmentarza po tamtej stronie, przez które już prawie przeskoczyli, dopiero wtedy skręcając w stronę obu samochodów, żeby zanim dojdą do samochodu szeryfa, ani przez chwilę nie znaleźć się bliżej tych dwóch białych na mule, niż byli, kiedy odchodzili od grobu — przygląda! się teraz tym na mule, identycznym jak dwie spinki do przyczepiania na sznurze bielizny: dwie twarze zupełnie identyczne, nawet dokładnie tak samo ogorzałe, grubiańskie, porywcze i spokojne, póki stary znów nie zawołał:

— Dobra jest, chłopaki!

A wtedy jak jeden zsiadli z muła, jednocześnie niby zgrany zespół wodewilowy, i wciąż jak jeden lewymi nogami przekroczyli ogrodzenie całkowicie ignorując furtkę — byli to bliźniaczy bracia Gowrie, podobni do siebie jak dwie krople wody, włączając w to i buty, a wyłączając koszule, bo jeden z nich miał na sobie przypadkiem koszulę khaki, a drugi koszulkę bez rękawów, trzydziestoletni, wyższy o głowę od ojca, o takich samych jasnych oczach jak on, i takich samych nosach, tylko że ich nosy nie przypominały orlego dzioba, a raczej dziób jastrzębia — i podeszli bez słowa, ani jeden, ani drugi nie podnosząc nawet swoich ponurych, zaciętych, obojętnych twarzy, póki stary nie wskazał im pistoletem (zauważył, że jednak kurek był już opuszczony) dwóch łopat i nie powiedzianym swoim ciekim głosem, -który brzmiał ha wet prawie pogodnie:

— Biercie się za łopaty. To łopaty rządowe i jak się którp złamie, to niczyj kłopot, tylko samego sądu przysięgłych.

Bliźniacy stojąc naprzeciw siebie po obu stronach mogiły i pracując z tą całkowitą, niemal choreograficzną harmonią — dwaj najmłodszy przed tym nieżyjącym, przed Vinsonem: czwarty i piąty z sześciu synów; Forrest, najstarszy, nie tylko wydarł się spod władzy tego wściekłego tyrana, ojca, ale się nawet ożenił i już od dwudziestu lat pracował jako zarządca plantacji bawełny w delcie za Vicksburgiem; po nim był Crawford, którego wzięto do wojska drugiego listopada tysiąc dzie

więcet osiemnastego roku i który w nocy dziesiątego listopada (prawdopodobnie prześladowany jakimś wyjątkowym pechem,, jaki — zdaniem wuja — nie powinien już zupełnie nikomu się wydarzyć, z którym to punktem widzenia musiały się chyba zgadzać władze federalne ograniczając termin jego pobytu w Leavenworth za ledwie do jednego roku) zdezerterował i krył się przez prawie osiemnaście miesięcy po rozmaitych jaskiniach i tunelach w górach, piętnaście mil od sądu federalnego w Jefferson, zanim go wreszcie złapano po czymś w rodzaju regularnej bitwy (szczęściem dla niego nikt nie został poważnie ranny), podczas której bronił swojej jaskini przez przeszło trzydzieści godzin uzbrojony (zdaniem wuja, była w tym jakaś konsekwencja i ład: dezertor z armii Stanów Zjednoczonych broniący swojej niezależności od rządu tychże Stanów Zjednoczonych bronią zdobytą na nieprzyjaciela, przeciw któremu nie zgodził się walczyć) w pistolet automatyczny zabrany przez jednego z chłopców McCalluma wziętemu do niewoli niemieckiemu oficerowi i zaraz potem, po powrocie do domu, przehandlowany za parę ogarów Gowrie'm, a kiedy odsiedział swój rok i wrócił do domu, po raz drugi miasto usłyszało o nim na skutek jego poczynań w Memphis, gdzie, jak opowiadano: 1) szmuglował whisky z Nowego Orleanu, 2) w jakimś strajku pełnił rolę najętego przez pracodawców szpiega; tak czy owak jednak wrócił nagle do domu i nikomu specjalnie nie pchał się w oczy, a dopiero parę lat temu w mieście zaczęto po-

gady wać, że się mniej więcej ustatkował handlując trochę drzewem i bydłem i nawet uprawiając kawałeczek pola; po nim szedł Bryan, trzeci z kolei: rzeczywista siła i władza, element spójni czy też, jak byśmy to inaczej nazwali, czynnik rządzący, na którym opierała się ta farma ich wszystkich żywiąca; po nim szło tych dwóch bliźniaków, Vardaman i Bilbo: ci całe noce spędzali przykucnięci nad żarzącymi się szczapami i pniami, podczas gdy ich psy goniły lisa, a całe dni przesypiali wyciągnięci na wznak na gołej podłodze frontowego ganku, póki nie przyszła noc i czas, aby na nowo spuścić psy; a wreszcie szedł ostami, Vinson, który już jako dziecko okazywał skłonność do handlu i do pieniędzy, tak że teraz, choć umierając miał lat zaledwie dwadzieścia osiem, podobno nie tylko posiadał na własność kilka niewielkich działek uprawnej ziemi w okolicy, ale był pierwszym ze wszystkich Gowrie'ch mogącym podpisać się na czeku, który by akceptowano w banku — a więc bliźniacy, zanurzeni w dole po kolana, a potem po pas, pracowali z zawziętą i ponurą szybkością niby dwa roboty i w owej absolutnej harmonii, tak że, zdaje się, obie łopaty w tej samej sekundzie zadźwięzwały o zbitą z desek skrzynię, i nawet wówczas jakby w owym zupełnie nie fizycznym porozumieniu ptaków czy innych zwierząt — nie powiedzieli ani słowa i nie uczynili żadnego gestu — po prostu jeden z nich wyrzucił swoją łopatę, jakby w kontynuacji tegoż rozmachu, z którym przed chwilą wyrzucił na wierzch ziemię, po czym sam bez najmniejszego wysiłku

śmignął z dołu i stanął wśród pozostałych, a jego brat oczyścił wieko trumny z leżącej jeszcze na nim ziemi, cisnął na górę łopatę nawet nie patrząc i — tak jak zrobił on sam wczoraj w nocy — strząsnął resztki ziemi z krawędzi wieka, złapał równowagę, uchwycił za wieko, podważył je do góry, przechylił w bok, zsunął i zdjął zupełnie, tak że wszyscy stojący przy krawędzi grobu mogli mu przez ramię zajrzeć do skrzyni.

Była pusta. Była najzupełniej pusta, dopóki cienki strumyczek piasku z suchym, trzeszczącym szmerem nie wsypał się do środka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie zapomni tego: stali w pięciu na skraju grobu nad tą pustą trumną, po czym znów takim samym giętym, lotnym ruchem jak jego bliźniaczy brat tamten drugi Gowrie wy dostał się z grobu i nachylił, i z niecierpliwą, pełną dezaprobaty, a nawet złości uwagą jął strzepywać i obłupywać grudki gliny z brzegów nogawek, a kiedy ten drugi się nachylił, ruszył i ten pierwszy prosto do niego ze ślepą, nieśpieszną nieomylnością powrotu na swoje miejsce części jakiejś maszyny, jakiegoś na przykład wrzeczona tokarki wędrującego po tym samym niezmiennym torze do swego łożyska, podszedł i też się pochylił, i jął strząsać i szysz- czać z tyłu ziemię ze spodni brata; a teraz prawie pełna łopata ziemi zsunęła się w dół na odchylone wieko trumny i z dudnieniem wpadła do pustej skrzyni niemal dość głośno i dość ciężko, żeby obudzić niewielkie głu che echo.

— Teraz ma ich obu — powiedział wuj.

— Tak — powiedział szeryf. — Ale gdzie ich trzyma?

— Niech diabli ich obu — powiedział stary Gowrie. — Gadajcie, szeryf, gdzie mój chłopak-

—i Zaraz go znajdziemy, panie Gowrie — powiedział szeryf. -^-. To było sprytne z pana strony, I że wziął pan psy. Schowaj pan swój pistolet, każ chłopakom połapać psy i niech je przytrzymają, zanim my się stąd pozbieramy.

— Nie martw się pan o ten pistolet i o te psy — powiedział stary Gowrie. — Wytropią i złapią wszystko, co kiedy biegalo czy chodziło. Ale mój chłopak i ten tam Jake Montgomery — jak to był Jake Montgomery, ten, co go znaleźli w trumnie mojego chłopaka — nie mogli się stąd ulotnić, żeby nie zostawić żadnego śladu.

— Cicho teraz, panie Gowrie — powiedział szeryf.

Stary spojrzal nagle na szeryfa. Ani nie drgnął, ani nie widać było w nim żadnej popędliwości czy zaskoczenia, zdumienia, nic w ogóle. Patrząc na niego pomyślał o jednym z tych zimnych, jasnoniebieskich, kształtem przypominających łzę, najwidoczniej zupełnie nie gorących chwiejnych płomieni, jakby ledwo utrzymujących się na czubkach palców nad gazowym palnikiem.

— Dobra — powiedział stary. — Jużem cicho. A teraz się zbierajcie. Widzi mi się, że tylko pan jeden na tym wszystkim się rozumie, bo to pan mnie zawiadomił, że mam was tutaj spotkać, kiedy siedziałem dziś rano o szóstej przy śniadaniu. To teraz niech pan zaczyna.

— Właśnie to zaraz zrobimy — powiedział szeryf. — Zaraz zobaczymy, skąd zaczynać. — Zwrócił się do wuja mówiąc tym swoim łagodnym, rozsądnym, niemal obojętnym tonem:

—

Powiedzmy, że jest koło jedenastej w nocy. Ma pan muła albo konia, w każdym razie coś, co zdoła ująć pod podwójnym ciężarem, i wiezie pan na siodle przed sobą nieboszczyka. I nie ma pan za dużo czasu, to jest — czas nie należy do pana. Oczywiście, jest gdzieś około jedenastej, kiedy ludzie na ogół leżą w łózkach, i do tego to jest noc z niedzieli na poniedziałek, i będą musieli nazajutrz wstać wcześniej, żeby zacząć nowy tydzień w pełni sezonu sadzenia bawełny; księżycy ani na lekarstwo, więc nawet jakby się ludzie jeszcze gdzieś kręcili, to pan jest w bezludnej okolicy i ma pan wszelkie szanse na to, żeby nikogo nie spotkać. Ale wciąż ma pan ze sobą tego trupa z dziurą w potylicy i choć to dopiero godzina jedenasta, wcześniej czy później kiedyś noc się skończy. Dobra. Co pan wtedy zrobi?

Obaj na siebie patrzyli, nie spuszczała oczu, a właściwie to tylko wuj wytrzeszczał z tej swojej zbyt chudej, kościstej, podniecone twarzy oczy bystre, uważne, szybko wszystko dostrzegające, a naprzeciwko wuja w twarzy szeryfa, szerokiej i sennej, tkwiły oczy nie wytrzeszczone, najwidoczniej nawet nie patrzące, mrugające niemal śpiąco, podczas gdy właściciele obu tych par oczu i przez to też przedzierali się bez słowa.

— Oczywiście — powiedział wreszcie wuj — z powrotem zwróciłbym tego trupa ziemi. I to nigdzie daleko, bo jak pan powiedział, wcześniej) czy później noc się jednak kończy, choćby dopiero była jedenasta wieczorem... Nigdzie daleko, tym bardziej że starczyło mu czasu, żeby wrócić i

zrobić to wszystko jeszcze raz bez niczyjej pomocy przy kopaniu. I niech pan jeszcze to weźmie pod uwagę: tę konieczność, straszliwą konieczność, żeby nie tylko zrobić to raz jeszcze, ale raz jeszcze to wszystko zrobić dla tych powodów, które jego do tego zmuszały; i pomyśleć, że zrobił wszystko, co możliwe, wszystko, czego można by od niego żądać czy spodziewać się po nim, czy nawet wyobrazić sobie, że będzie musiał zrobić; był tak bezpieczny, że większe bezpieczeństwo nawet mu się nie śniło — kiedy nagle spłoszył go jakiś dźwięk, jakiś hałas albo może przez czysty przypadek natknął się na zaparkowaną pół ciężarówkę, a może było to jego szczęście, jego dobra gwiazda albo przychylność jakiegoś licha czy .skrzata, czy innego duszka, co opiekuje się przez krótką chwilę mordercami i zsyła im bezpieczeństwo i bezkarność, zanim inne losy zdążą uprząć i skrócić powrót — tak czy owak musiał się podczołgać, przywiązać do drzewa tego muła czy konia, czy co tam było, i przyczołgać się na brzuchu z powrotem tutaj, położyć się (kto wie? może zaraz tu, właśnie za tym ogrodzeniem?) i patrzeć, jak jakaś stara, mieszająca się w nie swoje sprawy kobieta i dwa dzieciaki, co już od dwóch godzin powinny leżeć w łóżku dziesięć mil stąd, niszczą wynik całego jego starania i wściekłego wysiłku i niweczą nie tylko pracę jego życia, ale i jego śmierci...

Wuj umilkł i teraz on zobaczył te bystre, niemal świetliste oczy rzucające twój blask na niego.

— A co do ciebie... Zanim przyśedłś do

domu, nie mogłeś w żaden sposób wiedzieć, że panna Habersham z tobą pojedzie. A żeby nie ona, tak samo wcale nie mogłeś się spodziewać, że Aleck Sander pojedzie z tobą. Więc jeśli ci w ogóle przyszło do głowy, żeby samemu przyjechać tu odkopać ten grób, nie opowiadaj mi nawet...

— Na razie dosyć — powiedział szeryf. — Dobrze. Gdzieś w ziemi. Ale w jakiej ziemi? W jakiej ziemi najłatwiej i najszybciej można wykopać dół, kiedy się komuś spieszy i jest sam, nawet gdyby miał ze sobą łopatę? Jak pan myśli, w jakim rodzaju ziemi mógłby pan szybko ukryć ciało, gdyby pan nie miał przy sobie nic prócz scyzoryka?

— W piasku — powiedział wuj natychmiast, szybko, niemal obojętnie, niemal nieuważnie. — Na dnie wąwozu. Przecież powiedzieli panu dziś 0 trzeciej rano, że widzieli go, jak tam z tym jechał. Na co czekamy?

— Racja — powiedział szeryf. — To ruszajmy. — I zwrócił się do niego: — Pokaż nam dokładnie, gdzie...

— Tylko że Aleck Sander powiedział, że to może nie był muł — powiedział.

— Dobra, dobra — powiedział szeryf. ■— Więc koń. Pokaż nam dokładnie, gdzie...

Będzie to pamiętał: patrzył, jak ten stary człowiek znów wpycha sobie pistolet lufą pod pachę

I przyciska go tam kikutem ramienia, swoją jedną ręką rozpiną koszulę, po czym wyjmując pistolet spod pachy, wpycha go z powrotem w zanadrze, zapina koszulę i zawraca nawet szybciej niż jego dwaj synowie o połowę lat od niego młodszy, wy' przedzając wszystkich już wtedy, kiedy przeskakiwał z powrotem ogrodzenie, po czym podszedł do klaczy, zebrał cugle i opierając się o łęk siodła— wszystko jedną ręką — jednym skokiem dosiadł już klaczy; a potem oba samochody ruszyły w dół na drugim biegu hamując na stromej pochyłości i jechały, dopóki on nie powiedział: — To tu — kiedy dojechali do miejsca, w którym ślad kół półciągarówki umykał z drogi w zarośla, a dalej znów wracał na drogę, i wuj zatrzymał samochód; zobaczył, jak ten krewki, stary, jednoręki człowiek skacze na swojej jasnokasztanowatej klaczy z drogi w las na przeciwnym zboczu chylącym się już w dół ku wąwozowi strumienia, za nim przelatują dwa psy śmigające lekko przez nasyp przy drodze, a za nim muł dźwigający na grzbiecie jego dwóch identycznych synów o twarzach jak z drewna; i zaraz on i wuj wyskakiwali już z samochodu, za którym zatrzymał się dotykając zderzakiem do zderzaka samochód szeryfa, i słyszeli, jak klacz przedziera się przez zarośla w dół, ku wąwozowi, a potem usłyszeli wysoki, martwy głos starego wołającego na ogary:

— Hej! Hej! Szukać chłopaka! Szukaj go, Ring!

A potem głos wuja:

— Przypnij ich pan kajdankami do kierownicy.

I głos szeryfa: '

— Nie. Przydadzą się z łopatami. '

A on też wdrapał się na nasyp nasłuchując i odgłosów z drogi, i dochodzących z dołu trzasków w zaroślach, i krzyków, a za nim wdrapali się wuj i szeryf, i tych dwóch Murzynów z łopatami.

Chociaż strumień przecinał niemal pod kątem prostym szosę zaraz za tym miejscem, gdzie odchodziła od niej polna droga, było to prawie ćwierć mili stąd, gdzie teraz stali, a właściwie szli, i chociaż wszyscy słyszeli dobrze, jak stary Gowrie wciąż pokrzykuje na psy i jak kłacz i muł z trzaskiem przedzierają się przez gęste zarośla w dole pod nimi, to jednak szeryf nie poprowadził tą samą drogą, ale zboczył, i szli przez kilka minut wzdłuż wzgórza, niemal równoległe do drogi, a dopiero wtedy zaczęli się od niej oddalać, kiedy weszli w wysoką trawę sierpiku i krzaki laurowe i na zarośniętą gęsto wierzbina płaszczynę pomiędzy wzgórzem a strumieniem i ruszyli przez tę płaszczynę, szeryf na przedzie, aż szeryf zatrzymał się w miejscu i spojrzął pod nogi, po czym odwrócił głowę, obejrzał się na niego i nie spuszczał z niego wzroku, kiedy doganiali go obaj z wujem.

— Twój asystent za pierwszym razem miał rację — powiedział szeryf. — To był muł.

— Ale chyba nie czarny muł z obtartą szyją i — powiedział wuj. — To już niemożliwe. Chyba nawet morderca nie byłby taki głupi i taki bezczelnie przewrotny.

— Tak — powiedział szeryf. — To dlatego oni są niebezpieczni i dlatego musimy ich zniszczyć albo pozamykać.

A kiedy spojrzął na ziemię, i on zobaczył wąskie, delikatne, niemal wytworne ślady kopyt muła, nie pozostające w żadnym stosunku do rozmiarów tego zwierzęcia, odgniecione, odcisnięte głęboko, zbyt głęboko jak na muła, nawet, najcięższego, dźwigającego jednego jeźdźca, odcisnięte w grząskim błocku i podeszłe wodą ślady, w jednym z których nawet, podczas kiedy się przyglądał, jakieś maleńkie wodne stworzonko śmignęło przez powierzchnię wody, pozostawiając za sobą cieniutkie jak nitka pryśnięcie rozlewającego się błota; teraz, kiedy już stali na odnalezionym tropie, mogli dojrzeć i samą ścieżkę stratowanych zarośli, które po obu jej stronach sięgały im do ramion, ścieżkę biegnącą niby bruzda przez pole albo zastygły ślad łódki, przecinającą mokradło prosto jak strzała i wreszcie znikającą w gęstwinie na brzegu wąwozu.

Ruszyli za śladem, wchodząc na ten trop, depcząc po tych dwóch tropach, z których jeden prowadził ich naprzód, a drugi zamiast wracać też biegł w tę samą stronę, przy czym tu i ówdzie ślad kopyta drugiego tropu zachodził na poprzedni ślad; szeryf tak jak i przedtem szedł pierwszy i znów mówił, chociaż się nie odwracał, mówił na głos, jakby — tak mu się z początku wydawało — nie zwracał się do nikogo:

— Nie wracał tędy. Za pierwszym razem nie miał czasu. Wtedy się puścił prosto przed siebie las nie las i noc nie noc. To było wtedy, kiedy posłyszał, cokolwiek tam posłyszał. — Teraz już wiedział, do kogo szeryf mówi. — Może ten twój asystent tam gwizdał czy coś takiego? Jak się jest na cmentarzu o tej porze nocy...

Stanęli na samym skraju wąwozu — był to szeroki rów, kanał — w czasie zimowych i wiosen

nych deszczów pędził nim potok, ale teraz płynął strumyczek zaledwie na cal głęboki i wąziutki, w najszerszych miejscach niewiele szerszy ponad jard, wijąc się od jednego sadzawkowego rozlewiska do drugiego wśród wybielonego słońcem piasku ~ i w tej samej chwili, kiedy wuj powiedział: — Na pewno ten głupiec... — stojący jakieś dziesięć jardów dalej na brzegu wąwozu szeryf powiedział:

— Tu go mamy.

Więc podeszli do szeryfa i wtedy zobaczył miejsce, gdzie do młodego drzewka musiał być uwiązany muł, i ślady tam, gdzie jeździec już pieszo przedzierał się wzdłuż skraju wąwozu zostawiając ślady też głębsze niż wszelkie możliwe ślady nie wiadomo jak ciężkiego człowieka, więc i o tym też pomyślał: o tej udreće, rozpaczy, tym pośpiechu w czarnej ciemności i o tych kolczastych krzakach, i tym przyprawiającym o zawrót głowy umykaniu sekund, o dźwiganiu ciężaru, do którego dźwigania człowiek nie został stworzony; a zaraz potem usłyszał rumor i trzask w niskich zaroślach jeszcze dalej na brzegu wąwozu i tętent klaczy, a potem okrzyk starego Gowrie, a potem nowy trzask, który mógł być spowodowany przez wspinającego się muła, a potem już jedno pandemonium: wrzaski i przekleństwa starego, ujadanie psów i głuche dudnienie psich żeber pod kopnięciem obcasa, ale nie mogli się już bardziej pospieszyć, bo przedzierali się i przebijali poprzez kolczaste, czepiające się głogi i pnącza, aż wreszcie spojrzeli w dół i zobaczyli niski kopczyk świeżej
PHHHBBHBHHhRHS SHBBBBBI

1 1 ziemi, rozgrzebywany teraz przez oba psy, które

stary Gowrie wciąż kopał i przeklinał, a w chwilę ■ potem wszyscy prócz dwóch Murzynów już byli tam na dole, w wąwozie.

— Czekaj pan, panie Gowrie — powiedział szeryf. — To nie Vinson.

Ale stary chyba go nie słyszał. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek prócz niego tu jest; zapomniał, zdaje się, nawet, dlaczego kopie te psy — że tylko dlatego, żeby je oderwać od mogiły — wciąż jeszcze kuśtykał i skakał za nimi na jednej nodze z drugą uniesioną i podkurczoną do kopnięcia, nawet kiedy się już cofnęły i tylko usiłowały przemknąć obok niego i wydostać się z wąwozu w bezpieczne miejsce, wciąż kopał je i kłął, nawet kiedy już szeryf chwycił go za jego jedyną rękę i odciągnął na bok.

— Patrz pan na tę ziemię — powiedział szeryf. — Nie widzisz pan? Ledwie go zdążył przysypać. To był ten drugi, kiedy jemu już się ziemia paliła pod stopami, kiedy się już prawie robił dzień, a on musiał tego trupa gdzieś schować.

I teraz wszyscy to zobaczyli: mały kopczyk świeżej ziemi tuż pod ścianą wąwozu, a nad nim w górze, u szczytu tej ściany, dziko wyszarpane ślady łopaty, jakby się wgryzał w tę ścianę ostrzem łopaty niczym zamachami topora (więc znów o tym pomyślał: rozpacz, konieczność, obłąkańcza walka wręcz z ciężką wrogą inercją samej ziemi), aż odłupał jej dość i zwałił w dół, aby ukryć to, co miał do ukrycia. Teraz nawet nie potrzebowali łopat. Ciało było

ledwie przysypane, tak że już psy je odkryły, więc rozumiał naprawdę, jak wielki był tamten rozpaczliwy, desperacki pośpiech, tamto bankructwo czasu człowieka, który nie miał go nawet tyle, żeby móc ukryć świadka swojej desperacji i powód swojego pośpiechu; kiedy on i Aleck Sander, pracując we dwóch we wściekłym tempie, zasypali z powrotem grób, było po drugiej, a więc zanim morderca, nie tylko że sam, ale mając za sobą od wczorajszego zachodu słońca jedno rozkopanie dołu głębokiego na sześć stóp i zakopanie go z powrotem, wykopał to drugie ciało i po raz drugi zasypał grób, musiało już świtać, a może nawet było później, może nawet samo słońce się przyglądało, jak po raz drugi zjeżdża ze wzgórza i kieruje się na przełaj do wąwozu — może nawet sam poranek przyglądał się, jak on poprzez nawis ściany wąwozu spycha to ciało i potem zaciekle z tej ściany wyrąbuje tyle tylko ziemi, żeby tymczasem jakkolwiek ukryć jego widok, trochę jak oszalała, zrozpaczona żona zarzucająca swój peniuar na zapomnianą przez kochanka rękawiczkę — leżało (to ciało) twarzą do ziemi i widać było tylko strzaskaną potylicę, póki stary nie schylił się i jedną ręką nie szarpnął tego ciała sztywno, odwracając je na wznak.

— Fiuuu — powiedział stary Gowrie tym swoim wysokim, rześkim, donośnym głosem — przecież to ten diabelny Montgomery.—A potem wyprostował się elastycznie i szybko, jak zwolniona sprężyna od zegarka, znów wrzeszcząc, pohukując na psy: — Hej, maluśkie! Szukać Vinsona.

A potem odezwał się wuj, też krzyżąc, żeby go usłyszano:

— Zaraz! panie Gowrie, zaraz! — po czym zwrócił się do szeryfa: — Postąpił jak głupiec, dlatego że nie miał czasu, nie dlatego, żeby był w ogóle głupcem. Po prostu nie pojmuje, jak dwa razy... — powiedział rozglądając się wokoło, rzucając szybkie spojrzenia. Zatrzymał je na bliźniakach. Spytał ostro: — Gdzie jest ta kurzawka?

—■ Co? — zapytał jeden z bliźniaków.

— Kurzawka — powiedział wuj. — Kurzawka tu w wąwozie. W którym to miejscu?

— Kurzawka? — powtórzył stary Gowrie. — Skurwysyn, panie adwokat. Cisnąć kogoś w kurza wkę? Mojego chłopaka w kurza wkę?

— Cicho pan bądź, panie Gowrie — powiedział szeryf i zwrócił się do tego bliźniaka: — No, w którym miejscu?

Ale on odpowiedział pierwszy. Od jakiejś sekundy już chciał to zrobić. Zrobił to teraz:

— Przy moście — po czym, sam nie wiedział dlaczego, i teraz nie było to ważne, dodał: — I tym razem to nie Aleck Sander... to Highboy.

— Pod mostem przy szosie — poprawił go ten bliźniak. — Tam gdzie zawsze była.

— Och — powiedział szeryf. — Który to był, ten Highboy?

A on właśnie już miał na to odpowiedzieć, kiedy nagle stary jakby zapomniał nawet o swojej klaczy, zakręcił w miejscu, biegnąc już, zanim który z nich się poruszył, a nawet zanim sam się poruszył, przebiegając już kilka szybkich, długich kroków

w stronę tego nieprzekupnego piasku, zanim zawrócił i z tą samą kocią zwinnością, z jaką dosiadł przedtem kłaczy, wdrapał się, jednoreki, na stromą ścianę wąwozu \ wciął się w zarośla, i już przerzynał się przez nie, aż zniknął, 7anńn kto zdążył — prócz dwóch Murzynów, którzy wcale na dół nie schodzili — choćby wdrapać się na tę ścianę,

— Biegiem — powiedział szeryf do bliźniaków. — Łapać go.

Aie go nie złapali. Werznęli się za nim w zarośla i przedzierali się naprzód, na czele jeden z bliźniaków, a za zms wszyscy pozostali i obaj Murzyni, na leb. na szyję przez kolczastą gęstwinię, górą z biegiem strumienia, a z gęstwiny na wy- karczowany skrót poniżej drogi przy moście; zobaczył ślady ślizgających się kopyt Highboya, tam gdzie koń zeszedł prawie tuż nad wodę, a potem nie chciał pść, strumień, wodę kłębiącą się u betonowego umocnienia, wąską wstążkę wody, która przy tym brzegu rozplýwała się w płachcie mokrego piasku o powierzchni takiej gładkiej, nieskalanej i równej, jak powierzchnia mleka; przeszedł, przeskoczył przez leżący nad skrajem ściany wąwozu wierzbowy drag, który na długości trzech czy czterech stóp pokryty był leciutką patyną wyschłego piasku, niczym jakiś pręt zanurzony w kubelku czy kadzi z farbą, i chociaż szeryf krzyknął do tego bliźniaka na przedzie: — Ej, ty, łap go! — zobaczył, jak ten stary człowiek skacze nogami naprzód ze ściany wąwozu i bez najmniejszego plaśnięcia, w żaden sposób nie zakłócając powierzchni piasku, spada dalej, nie rozrywając tej gładkiej powierzchni, ale przenikając przez nią, jakby w nic nie wskoczył, ale obsunął się ze skalnego urwiska czy z parapetu jakiegoś okna, a potem zatrzymuje się na pół zanurzony, równie nagie, bez żadnego uderzenia czy wstrząsu: utkwiał tam po prostu nieruchomy, jakby mu odcięto sierpem nogi u samych łądźwi pozostawiając korpus wyprostowany na tym gładkim, bezdennym, mlecznym piasku.

— W porządku, chłopaki! — krzyknął stary Gowrie ostrym i donośnym głosem.—Tu on jest. Stoję za nim.

Jeden z bliźniaków zdjął z muła Hnkę shizącą jako uzda, a z kłaczy rzemienną uzdę i popręg, obaj Murzyni używając łopat jak toporów nacięli wierzbowych gałęzi, a pozostali naściągali jeszcze gałęzi i dragów, wszystkiego, co się tylko dało przywlec czy wyrwać, po czym obaj bliźniacy i dwaj Murzyni, zostawiwszy buty na brzegu, spuścili się też na piasek, a z gór zeszedł spokojny, nieustający, potężny szept sosen, prócz którego, chociaż natęzał słuch nasłuchując w górę i w dół szosy, nie słycać było jeszcze żadnego innego dźwięku; nasłuchiwał nie z myślą o dostojności śmierci, ponieważ śmierć wcale nie jest dostojna, ale z myślą o przynajmniej jakiejś jej przyzwoitości: o bodaj odrobinie tej przyzwoitości, która powinna być nienaruszalnym prawem każdego człowieka, póki ta padlina, którą człowiek opuszcza, nie będzie mogła zostać ukryta przed po

śmiewiskiem i hańbą — ciało wynurzało się już, stopami najpierw, windowane pętlą zaimprovizowanej dźwigni w górę z tego niezgłębionego wessania, i wydobyło się wreszcie z piasku z cichym, wilgotnym cmoknięciem niczym może cmoknięcie warg we śnie, nie pozostawiając po sobie nic na gładkiej powierzchni: jakiś drgający, ledwie dostrzegalny wirek rozplywający się już i zaraz zanikły bez śladu jak ostatni cień leciutkiego, wstydliwego, niknącego uśmiechu, po czym znalazło się na brzegu, a oni stali nad nim wokół; a on, teraz jakby trochę w tym szalonym popłochu samego mordercy, uważniej niż kiedykolwiek przedtem nasłuchiwał w górę i w dół szosy, choć wciąż nic stamtąd nie było słyhać — patrząc na tego starego, pokrytego do pasa tą samą cieniutką warstewką patyny piasku, którą pokryty był tamten drog, starego przyglądającego się leżącemu na ziemi ciału z twarzą skurzoną i górną wargą ściągniętą do góry znad martwego, lśniącego, porcelanowego uśmiechu i znad różowych, bez-krwistych dziąseł sztucznych zębów, usłyszał i poznał swój własny głos najwidoczniej w długą chwilę potem, kiedy inni go usłyszeli:

— Ojej, wujku Gavinie, ojej, wujku Gavinie, zabierzmy go z drogi, już go lepiej weźmy z powrotem do lasu...

— Uspokój się — powiedział wuj. — Już oni wszyscy do tej pory przejechali. Oni już wszyscy do tej pory są w mieście.

I dalej patrzył, jak teraz ten stary się nachyla i zaczyna niezręcznie wycierać swoją jedną ręką piasek zalepiający tamte oczy i tamten nos, i usta, przy czym jego ręka wyglądała dziwnie i sztywno, będąc tak gibką i szybką w gwałtowności, tak szybko sięgając do guzików koszuli, tak szybko chwytając za pistolet; potem ręka cofnęła się i zaczęła gmerać niezręcznie w bocznej kieszeni spodni, a wuj już wyciągnął swoją chusteczkę i podawał ją, zresztą i tak już za późno, bo stary człowiek, klęcząc teraz, wyszarpnął brzeg swojej koszuli i pochylając się z brzegiem koszuli w rękę wytarł czy też osuszył nim martwą twarz, po czym jeszcze niżej się pochylając spróbował zdmuchnąć z niej mokry piasek, jakby nie pamiętał, że piasek wciąż jeszcze jest mokry. Po czym stary człowiek wstał i swoim wysokim, drewnianym, donośnym głosem, w którym wciąż nie było żadnego uczucia, powiedział:

— No co, szeryf?

— To nie był Lucas Beauchamp, panie Gowrie — powiedział szeryf, g1 Jake Montgomery był wczoraj na pogrzebie Vinsona. A kiedyście chowali Vinsona, Lucas Beauchamp siedział już zamknięty u mnie w więzieniu w mieście.

— Nie gadam o Jake'u Montgomerym, szeryf— powiedział stary Gowrie.

—'.Ja też o nim nie mówię, panie Gowrie — powiedział szeryf. — A i ten pistolet, z którego zastrzelono Vinsona, to też nie był Colt czterdzieści jeden Lucasa Beauchamp.

A on patrząc na nich pomyślał: Nie! Nie! Nie powiedz tego! Nie zapytaj o to! — i przez chwilę* miał nadzieję, że stary tego nie zrobi: stał obró-

eony dQ szeryfa, nie patrząc jednak na niego, gdyż pomarszczone powieki opadły mu na oczy zakrywając je, ale tylko tak, jak powieki przysłaniają oczy, kiedy się patrzy na coś w dół, u stóp, więc nie można było właściwie powiedzieć, czy stary zamknął oczy, czy tylko patrzy w dół, w ziemię pomiędzy sobą a szeryfem. Ale pomylił się; powieki się z powrotem uniosły i znów twarde, wyblakłe oczy starego człowieka patrzyły na szeryfa; znów jego głos zabrzmiał tak, że dla dziewięciuset ludzi spośród dziewięciuset i jednego brzmiało to niemal pogodnie:

— Z czego zastrzelono Vinsona, szeryf?

— Z niemieckiego automatycznego Luga, panie Gowrie — powiedział szeryf. — Z takiego jak ten, co go Buddy McCallum przywiózł z Francji w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym i tego lata sprzedał za parę ogarów.

A on pomyślał, że to jest właśnie odpowiednia chwila, kiedy powieki mogłyby, a nawet powinny się znów zamknąć, i tym razem jednak się pomylił, tylko że nie mylił się długo, bo zaraiz stary odwrócił się, prędko i sprężysto, już w ruchu, już mówiąc głośno i rozkazująco, nie z jakąś nietolerancją wobec sprzeciwu czy niezgody, ale po prostu nie przyjmując nic podobnego do wiadomości, mówiąc:

— Dobra, synkowie. Ładujmy naszego chłopaka na muła, i do domu.

■■■

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

A tego samego dnia o drugiej po południu, kiedy jechał w samochodzie wuja tuż za półciężarówką (była to inna półciężarówka — zarekwirowana przez szeryfa —' na dnie skrzyni miała drewnianą kratę do przewożenia bydła, i to jeden z bliźniaków Gowrie wiedział, gdzie jej szukać: że stoi na pewnym opuszczonym podwórku za odległym dwie mile od cmentarza domem, w którym był również telefon — pamiętał, że się zdziwił, co tam ta półciężarówka robi i jak się dostali do miasta ci, co ją zostawili, ale teraz bliźniacy Gowrie ją prowadzili, posłużąwszy się przedtem zamiast kluczyka do stacyjki widelcem znalezionym przez niego według ich wskazówek w nie zamkniętej kuchni, kiedy wuj wszedł do tego domu dzwonić do koronera) i bez ustanku prędko mrugał nie tyle od blasku, ile od czegoś gorącego i szorstkiego, co tkwiło mu pod powiekami niczym ziarnka szkła (i co właściwie mogło, a nawet powinno być kurzem po tych zrobionych w ciągu jednego ranka z górą dwudziestu milach polnych dróg i szosy, gdyby nie to, że w przeciwieństwie do tych ziarenek wszelki prawdziwy

kurz dawno by się już zwilżył od mrugania), wydało mu się, że widzi, jak po drugiej stronie ulicy, naprzeciw więzienia, stoi tłumem nie tylko ten, okrąg, nie tylko okrąg pierwszy i drugi, i trzeci, i piąty, te spłowiałe khaki koszule bez krawatów i serże, i wzorzyste kretony — ale i miasto: nie tylko te twarze, które zobaczył, kiedy wysiadały z zakurzonych ciężarówek podokręgu czwartego przed zakładem fryzjera i przed domem gry w sobotę po południu, a potem spotkał w niedzielę rano u fryzjera, a potem znów tu, na ulicy, w niedzielę w południe, kiedy szeryf przyjechał z Lucasem, ale i inne, oprócz doktorów* prawników i duchownych, twarze tych, którzy nie są miastem, ale Miastem: kupców, handlarzy bawełny, sprzedawców samochodów i tych młodszych mężczyzn: urzędników w domach handlowych i kantorach, przedsiębiorców bawełnianych i subiektów, i mechaników z garaży i stacji benzynowych, wszystkich ich wracających po lunchu do pracy — i nawet nie czekali, kiedy samochód szeryfa na tyle się zbliży, żeby go można było poznać, ale skręcili w miejscu i pobiegli, popędzili z powrotem na Rynek, niczym nagły odpływ morza, już w pełnym biegu, kiedy samochód szeryfa dojeżdżał do więzienia, już z powrotem wylewając się w Rynek i przelewając przez Rynek zewsząd w tym jednym kierunku, podczas kiedy najpierw szeryf, za nim ta półciężarówka, a za nią samochód wuja skręcili w uliczkę za więzieniem wiodącą do rampy zakładu pogrzebowego, w którego drzwiach czekał na nich koroner: ale tamci, pędząc za oddzielającym ich od tej uliczki blokiem budynków nie tylko równoległe do drogi, jaką zrobili oni, ale ich nawet wyprzedzając, mogą pierwsi dopaść zakładu pogrzebowego; nagle, zanim zdążył się odwrócić na swoim miejscu i obejrzeć, wiedział, że tłum wykipiał już w uliczkę za nimi i za chwilę, za sekundę już spiętrzy się nad nimi, przeleje przez nich i uniesie po kolei: samochód wuja, za nim półciężarówkę, a za nią samochód szeryfa, jak trzy klatki z drobiem, i wreszcie ciśnie o rampę pod nogi koronera jako jedną zmieszaną już, udaremioną, przeżutą miazgę — wciąż się nie odwracając doznał złudzenia, że się już wychyla przez okno czy też właściwie czepia kurczowo umykającego stopnia samochodu, wrzeszcząc do nich z jakąś nie do zniesienia, niewiarygodną wściekłością:

“Głupcy! Głupcy! Nie widzicie, żeście się spóźnili, że będziecie musieli zaczynać wszystko od początku, żeby znaleźć jakiś nowy powód?”

A potem odwrócił się na swoim miejscu i obejrzał patrząc przez tylne okienko samochodu i przez sekundę czy może dwie naprawdę widząc — nie twarze, ale jedną twarz, nie tłum jednakowych twarzy albo nawet mozaikę twarzy, ale Jedną Twarz, nawet nie krwiożerczą i nienasyconą, ale po prostu pędzącą, bezduszną, pozbawioną myśli czy bodaj namiętności — jakiś Wyraz pozbawiony wyrazu i nie mający przeszłości, niczym obraz, jaki materializuje się nagle po sekundach czy minutach aż bolesnego gorączkowego wpatrywania się w niewinną kompozycję drzew, chmur

i krajobrazu na łamigłówce reklamującej jakieś mydło, czy w obcięte głowy na gazetowych zdjęciach przedstawiających okrucieństwa popełniane na Bałkanach albo w Chinach — Twarz pozbawioną godności i niezdolną nawet wywołać grozę — bez szyi, oklapłą, senną, zawieszoną w powietrzu na wprost jego twarzy, , tuż za szybą okienka w tyle samochodu, a jednocześnie potworną i spadającą na niego, tak że rzeczywiście rzucił się do tyłu i nawet zaczął już myśleć: Jeszcze sekunda i ona.:. — aż nagle: mig! — i już jej nie było, nie tylko tej Twarzy, ale i tamtych wszystkich pwarzy, za nimi była tylko pusta uliczka, a na niej nikogo i niczego w ogóle, a na ulicy widocznej za pustym wylotem uliczki stało patrząc za nimi kilka osób, które zaraz, kiedy się obejrzał, odwróciły się też i odeszły z powrotem w stronę Rynku. Tylko przez chwilę się wahał. Poszli wszyscy naokoło, żeby zająć od przodu r- pomyślał prędko i zupełnie spokojnie, mając trochę kłopotu z trafieniem ręką do klamki drzwiczek (zauważył, że samochód już stoi), spostrzegając, że i samochód szeryfa, i półciężarówka też już stoją pod rampą, gdzie czterech czy pięciu mężczyzn podnosi nosze do opuszczonej z tyłu klapy półciężarówki, i słysząc nawet za sobą głos wuja:

— No, a teraz jedziemy do domu i pakujemy cię do łóżka, zanim matka sprowadzi doktora, żeby nas obu pokłuł zastrzykami.

Znalazł wreszcie tę klamkę i wysiadając z samochodu potknął się trochę, ale raz tylko, a potem usłyszał swoje własne obcasy uderzające zbyt

mocno o beton, choć wcale nie biegł, i poczuł w nogach kurcze od siedzenia w samochodzie, a może nawet była to zdrtwiałłość od całego tego wdzierania się i skakania ze ściany wąwozu na dno, nie wspominając już o nocy spędzonej na rozkopywaniu i zakopywaniu grobu, ale te wstrząsy przynajmniej w jakiś sposób rozjaśniały mu umysł, chociaż może nie tyle one, co wiatr wywołany ruchem — tak czy inaczej, jeśli czekały go jakieś ułudy, będzie miał przynajmniej na ich przyjęcie jasny umysł; Wszedł na chodnik pomiędzy zakładem pogrzebowym a najbliższym budynkiem, ale i tak już, oczywiście, było za późno, przyplływ tej Twarzy ostatnim chluśnięciem już dawno pochłonął Rynek i chodnik przed zakładem pogrzebowym, jednym na koniec trzaskiem rozbił tafle wystawowego okna, wdarł się przez nie tłukąc na drobne kawałki małą brą-zowo-hebanową tabliczkę świadczącą o przynależności właściciela tego zakładu pogrzebowego do ogólnonarodowego związku właścicieli zakładów pogrzebowych, roztrzaskał nędzną dekoracyjną palmę w glinianej donicy i porozrywał na strzępy spłowiałą od słońca fioletową kotarę, która była ostatnią wiotką osłoną strzegącą szczątków Jake'a Montgomery'ego czy też szczątków jego udziału w ludzkiej godności.

Teraz wyszedł z pasaży dla pieszych na chodnik Rynku i zatrzymał się, znieruchomiał, jak mu się zdawało pierwszy raz od tamtej chwili, kiedy obaj z wujem wstali po kolacji i wyszli z domu jakiś tydzień, miesiąc czy rok temu, czy jeszcze daw

niej — w zesłą niedzielę. Bo teraz nie potrzebował nawet tego błyskawicznego otrzeźwienia. Oczywiście, te twarze były na Rynku, stały z nosami przyklejonymi do szyby, ale było ich nawet za mało, żeby zatarasować chodnik, nie mówiąc już o tym, aby mogły wystarczyć do ukształtowania się Jednej Twarzy: i tu nie stało więcej niż kilkanaście osób, przy czym głównie byli to chłopcy, którzy o tej godzinie powinni siedzieć w szkole — ani jednej wiejskiej twarzy i ani jednego dorosłego mężczyzny, bo nawet tych czterech czy pięciu, którzy wzrostem dorównywali dorosłym mężczyznom, to byli na pół chłopcy, na pół mężczyźni, którzy zawsze znajdowali się na miejscu, kiedy stary wujek Hogeye Mosby z przytułku, cierpiący na epilepsję, z pianą na ustach przewracał się do rynsztoka, albo wtedy, kiedy Willy Ingram przestrzelił nogi czy też łądzwie temu psu, o którym jakaś pani zatelefonowała do niego, że jest wściekły — stał u wylotu pasażu dla pieszych słysząc za sobą głośne kroki nadchodzącego wuja, mrugając boleśnie piekącymi, suchymi powiekami, przyglądając się, szukając przyczyny, Rynek nie był jeszcze pusty, za wielu ich jeszcze na nim było, ale pustoszał: koszule khaki i serze, i wzorzyste kretony wpływały na Rynek i przepływały pचेzeń ku zaparkowanym samochodom osobowym i ciężarówkom, zbijając się i tłocząc w drzwiczkach, póki po jednym wszyscy nie wdrapali się i wleźli na siedzenia samochodów osobowych, do skrzyń ciężarówek i póki nie upchali się w szoferkach; startery już - wyły, silniki to przyspieszały, to zwalniały obroty, zgrzytały i skrzypiały biegi, a pasażerowie wciąż spieszyli na swoje miejsca, i oto już nie jeden samochód, ale pięć czy sześć naraz ruszyło od krawężnika i zakreśliło, i wyrównało w kierunku jazdy zostawiając za sobą wciąż jeszcze nadbiegających i wdrapujących się przez wierzch ludzi, a potem było już ich tyle, że nawet gdyby próbował, nie potrafiłby zliczyć, więc stał obok wuja i patrzył, jak rozlewają się w cztery strumienie i wylewają w cztery główne ulice prowadzące za miasto w czterech kierunkach, już pędząc, zanim jeszcze wyjechały z Rynku, przy czym twarze, które zobaczył w jeszcze jednej, ostatniej chwili, nie oglądały się do tyłu, tylko patrzyły przed siebie, nie na coś, po prostu przed siebie i po prostu spojrzwały przed siebie tylko raz, nie patrzyły długo, a potem w ogóle przestały patrzeć i zaraz pomknęły błyskawicznie, widoczne z profilu i już chyba pędząc dużo szybciej niż pojazd, który unosił ich wszystkich, kiedy twarzami już dawno byli poza miastem, na długo przedtem, zanim zniknęli mu z oczu, dwa- kroć szybciej jeszcze znikając z samochodu; nagle poczuł obok siebie, choć go nie dotknęła, matkę, która też pewno przyszła z więzienia pasażem dla pieszych i musiała przechodzić obok tego miejsca, gdzie pewno wciąż jeszcze tamci wywłpczyli z ciężarówki Jake'a Montgomery'ego, ale przecież wuj powiedział mu, że one mogą znieść wszystko, jeśli

tylko zachowają swoje prawo, żeby móc nie przyznać, że to jest widoczne — i matka powiedziała do wuja:

Gdzie jest samochód? — po czym nie czekając nawet na odpowiedź zawróciła przed nimi w pasaż dla pieszych, szczupła, wyprostowana i sztywna, pokazując im swoje plecy, dzwoniąc i stukając obcasami po betonie, tak jak po domu, gdzie on i Aleck Sander, i ojciec, i wuj, wszyscy czterej woleliby chodzić dla odmiany przez jakiś czas całkiem lekko, przeszła obok rampy, przy której stały teraz tylko pusty samochód szeryfa i pusta półciężarówka, wyszła na uliczkę i przytrzymała już otwarte drzwiczki samochodu, kiedy obaj z wujem ją dogonili i znów zobaczyli tamtych, przemykających właśnie u wylotu uliczki jak przez scenę — samochody osobowe i ciężarówki, zwycięskie profile twarzy ani nie zdumionych, ani nie przerażonych, ale pełnych jakiejś nieodwołalnej wzgardy, śmigające u wylotu uliczki strumieniem tak ciągłym i nieprzerwanym, twarzy tak licznych, że było to tak jak wtedy, kiedy grupa starszych uczniów miejscowej szkoły albo też wędrowna, nigdzie długo nie popasająca trupa aktorów wystawiała wieczorem "Bitwę pod San Juan Hill" i nie tylko nie słyszało się, ale nawet nie trzeba się było starać nie słyszeć tych stłumionych, zlewających się szmerów za sceną, żeby widzieć, jak te przed chwilą maszerujące czy nacierające wojska, zaraz kiedy znikną za kulisami, mieszają szyki i w szalonym, bezładnym pośpiechu zamieniają między sobą kurtki, czapki

HHHHfHI

i rekwizytowe bandaże, szykując się za drżącym prospektem przedstawiającym bitwę, odwagę i śmierć do wyjścia na scenę po raz drugi, żeby natrzeć na swoje własne tyły i w heroicznej postawie raz jeszcze przedefilować w świetle kinkietów:

— Najpierw zawieziemy do domu pannę Habersham — powiedział.

^k — Wsiadaj — powiedziała matka.

A potem był pierwszy zakręt na lewo, w ulicę za więzieniem, i wciąż ich jeszcze słyszał, potem następny zakręt na lewo, w następną przecznicę, i znów oni mknęli przez proscenium strumieniem ciągłym i nieprzerwanym, zastygłe profile nad jęklwym piskiem opon po asfalcie, i jeśli on dziś rano, kiedy odprowadzał tamtą półciężarówkę, stracił dwie czy trzy minuty, zanim nadarzyła się sposobność znaleźć miejsce w tym strumieniu, włączyć się w niego i pojechać z prądem, to wuj teraz będzie potrzebował pięciu albo dziesięciu minut, nim znajdzie jakąś lukę, wydostanie się przez nią i zawróci do więzienia.

— Ruszaj — powiedziała matka. — Muszą ci zrobić miejsce.

Więc już wiedział, że wcale nie jadą do więzienia; powiedział:

— Panna Habersham...

— Jak mam to zrobić? — zapytał wuj. — Zamknąć oczy i docisnąć nogą gaz do deski?

I chyba tak zrobił, jechali już teraz z prądem i zakręcili wraz z nim w stronę domu, co było w porządku, bo nie martwił się ani przez chwilę,

jak się w ten prąd dostaną, ale jak wydostaną się z niego, zanim ten wściekły kołowrót — nie ucieczki, więc jeśli kto woli, ewakuacji — wymiecie ich w zapadającą noc i kiedyś wypłuje po długich godzinach całe mile stąd — pogruchotany, bezużyteczny wrak — gdzieś na najdalszej, ledwie widocznej na mapie granicy okręgu, tak że będą musieli wracać piechotą po nocy; powtórzył:

— Panna Habersham...

— Ma swój samochód — powiedział wuj. — Zapomniałeś?

A on nie myślał o niczym innym już bez przerwy od pięciu minut, i nawet trzy razy chciał to powiedzieć: panna Habersham w swojej półciężarówce miała do domu nawet nie pół mili i zatrzymywało ją tylko to, że w żaden żywy sposób nie mogła się tam dostać, skoro dom znajdował się po jednej, a półciężarówka po drugiej stronie tej nieprzeniknionej przegrody dotykających zderzak do zderzaka pędzących samochodów osobowych i ciężarówek, a więc tak był niedosięgły dla tej starej panny, starej damy w zużytej półciężarówce handlarki jarzyn, jakby się znajdował w Mongolii czy na księżycu; siedzi w tej swojej półciężarówce, silnik pracuje nie wiadomo już na którym biegu, trzyma nogę na akceleratorze, niezależna, samotna i opuszczona, wyprostowana i krucha w tym swoim niezmiennym i nienaruszalnym kapeluszu, archaicznym, pełnym już przeżytku, czekając i czatując, nie pragnąc niczego, tylko przedostać się za tę przegrodę, odłożyć zacerowaną bieliznę, nakarmić kurczęta, zjeść kolację i też trochę

odpocząć po tych trzydziestu sześciu godzinach, które dla lat siedemdziesięciu musiały być dłuższe niż sto dla szesnastu, siedzi czatując i pilnując tej mącającej w głowie smugi profilów przez chwilę, a nawet przez dłuższą chwilę, ale przecież nie bez końca i nie za długo, bo jest kobietą praktyczną, której wczoraj w nocy nie zabrała wiele czasu decyzja, że aby wydostać martwe ciało z grobu, trzeba jechać tam, gdzie się ten grób znajduje, i odkopać ten grób, więc i niewiele czasu zabiera jej decyzja, że aby objechać jakąś przeszkodę, szczególnie jeśli słońce stacza się już na zachód, trzeba ją okrążyć, toteż zaraz rusza równoległe do tej przeszkody i w tym samym kierunku, w którym posuwa się przeszkoda, wciąż opuszczona i samotna, wciąż jednak i niezależna, tyle że trochę zdenerwowana, a może tylko świadoma, że jedzie już nieco szybciej, niż przywykła i niż chce, szybciej w istocie, niż jeździła kiedykolwiek przedtem, a nawet mimo to nie wyprzedza tej przeszkody, tylko utrzymuje się z nią w jednym tempie, bo przeszkoda posuwa się teraz całkiem szybko — jeden nie kończący się, zwrócony do niej profilem wizg; więc na pewno już wie, że jeśli znajdzie się oczekiwana luka, może nie starczyć jej zręczności czy siły, czy szybkości albo zawiedzie ją konieczny przy tym błyskawiczny refleks, albo zabraknie jej po prostu odwagi — więc i ona jedzie coraz szybciej i szybciej, w tak wściekłym napięciu starając się nie przegapić jakiegś luki, jednym okiem jej szukając, a drugim pilnując drogi, że może zdać sobie sprawę dopiero

później, „kiedy już skręci, że skręciła nie na południe, ale na wschód, zostawiając za sobą nie tylko swój własny dom, nieubłagane coraz mniejszy i szybko wstecz od niej uciekający, ale i Jefferson, ponieważ oni albo ta twarz nie uciekali z miasta w jednym kierunku, ale we wszystkich kierunkach, wszystkimi głównymi drogami wiodącymi od więzienia, zakładu pogrzebowego, Lucasa Beauchamp i szczątków. Vinsona Gowrie i Jake'a Montgomery'ego w popłochu — rozpierzchając się jak żyjątka wodne na powierzchni sadzawki, kiedy się do niej ciśnie kamień; — teraz będzie pewno bardziej bezradna niż kiedykolwiek przedtem — cała ta mknąca przestrzeń między nią a jej domem, a przed nią druga noc, więc zbierze odwagę na wypadek, gdyby się miała pojawić teraz jakakolwiek luka, szpara — poobijana półciężarówka ledwie ślizga się po ziemi u boku tej nieprzeniknionej, zwróconej profilem smugi, podciągając, podpełzając coraz bliżej i bliżej do tej smugi, póki się nie zdarzy to nieuniknione: jakieś przeoczenie, drgnięcie ręki czy mimowolne mrugnięcie powieki w napiętym, uważnym spojrzeniu, czy po prostu jakaś nierówność gruntu — kamień albo gruda ziemi na drodze — będące równie poza zasięgiem możliwego oskarżenia, jak Pan Bóg, ale tak czy inaczej będące już za blisko i zauważone za późno — i wtedy jedno szarpnięcie ciśnie półciężarówkę w ten strumień gumowych opon kół obracających się na kulkowych łożyskach i polerowanej stalowej blachy i szalony pęd poniesie dalej pannę Habersham z rękami zaciśniętymi na bezużytecznej teraz kierownicy i nogą na nieczynnym pedale gazu, samotną i opuszczoną, pędzącą poprzez łagodne, spokojne zbocze późnego popołudnia w liliową, bezwietrzną kopułę zmierzchu, znów coraz szybciej i szybciej ku temu ostatecznemu crescendo jeszcze po tej stronie granicy opasującej okręg, gdzie tamci rozpadną się, rozprysną po wszystkich bocznych drogach i drózkach niczym króliki czy szczury dopadające wreszcie każdy do swojej nory, a ciężarówka zwolni i zatrzyma się stając trochę W/poprzek drogi może, tam gdzie dojedzie siłą własnego rozpędu i gdzie już panna Habersham będzie bezpieczna, gdzieś w okręgu Cross-man, i będzie mogła zawrócić na południe, i jadąc znów po skraju Yoknapatawpha będzie mogła zapalić światła i pędzić tak szybko, jak tylko się odważy, krętymi, bocznymi wiejskimi drogami; będzie już ciemna noc i kiedy dojedzie do okręgu Mott, będzie mogła wreszcie skręcić na zachód i jechać czekając sposobności, żeby skręcić na północ i dodać gazu; jest już godzina dziewiąta i dziesiąta, umykają nieuczęszczane drogi oplatające nieistniejącą granicę, za którą te dalekie wściekle reflektory samochodów błyskają i chłostają jasnością wdzierając się w jamy i nory, w których ukryli się tamci; i zaraz okręg Okatoba i dwunasta w nocy, i na pewno może już zawrócić na północ i wrócić do Yoknapatawpha; blada i wyczerpana, samotna i nieustępliwa pośród świerszczy, drzewnych żabek, świętojańskich robaczek, sów, lelków i psów zrywających się ze

szczekaniem spod uspiionych domów, w końcu nawet natyka się na jakiegoś człowieka w nocnej koszuli i nie zasnurowanych butach, z latarnią w ręku. •

— Gdzie pani chce się dostać, proszę pani?

— Chcę się dostać do Jefferson-.

— Jefferson jest za panią, Proszę pani.

— Wiem, musiałam zrobić ten objazd, żeby okrążyć jednego bezczelnego, niezdolnego, starego czarnucha, co doprowadził do pasji cały okręg| bo mu się zachciało udawać, że zamordował białego.

I wtem pojął, że zaraz się roześmieje, pojął to niemal na czas, niezupełnie na czas, żeby temu zapobiec, ale na czas, żeby przestać się śmiać wystarczająco prędko, właściwie bardziej czując zdziwienie niż cokolwiek innego, a matka zaraz powiedziała ostro:

— Naciśnij klakson. Zatrąb, niech zjadą z drogi.

Wtedy pojął, że to wcale nie był śmiech, a już na pewno nie tylko śmiech, chociaż ten dźwięk, jaki się przy tym wydobył, był prawie taki sam, jak śmianie się, tylko że pełniejszy i czuło się go dotkliwiej, chyba wydobywał się z większym trudem, a im dotkliwiej się go czuło i lepiej słyszało, tym trudniej mu było przypomnieć sobie, z czego to miał się śmiać, i nagle twarz zrobiła mu się mokra nie tyle spływającą, co jakąś wytryskającą strumieniem wilgocią; jakkolwiek to było, siedział oto, niezręczna, zawadzająca, druga co do wielkości bryła z ich trojga, jeszcze grubszy od matki, niż wuj był grubszy od niego, blisko siedemnaście lat i prawie już mężczyzna, a jednak, skoro trzy osoby w samochodzie musiały siedzieć bardzo ciasno, nie mógł nic poradzić na to, że kobiece ramię dotykało jego ramienia, a jej szczupła ręka leżała na jego kolanie; i siedział tam jak dziecko, które dostało klapsa, zanim się na tyle spostrzegł, żeby pomyśleć o zaprzestaniu tego.

— Uciekli — powiedział. * — Szybciej, do licha — powiedziała matka. — Wymień ich.

Wuj ich wyminął, jechali teraz po niewłaściwej stronie ulicy i prawie tak szybko, jak dziś rano do tamtego kościoła, starając się nie tracić sprzed oczu samochodu szeryfa, i to nie dlatego, że matka wyrozumowała, że skoro wszyscy już są w mieście i z całych sił starają się z niego wydostać, nikt nie będzie jechał do Rynku po tej stronie jezdni, więc tylko dlatego, że oto jedna z nich siedziała w samochodzie nawet go nie prowadząc—to zupełnie wystarczało; przypomniał sobie, jak kiedyś we troje pojechali na wycieczkę samochodem i wuj prowadził samochód; wuj powiedział wtedy:

— Wszystko dobrze, ale jak mam to zrobić? Zamknąć oczy i nacisnąć pedał gazu?

A matka powiedziała:

— Dużo to w swoim życiu widziałeś wypadków, kiedy z jednej strony i z drugiej prowadziła samochód kobieta?

A wuj powiedział:

— No już, touche, może to dlatego, że jeden z tych samochodów jeszcze stoi w warsztacie, gdzie jakiś mężczyzna wczoraj się na niego natknął.

— {Teraz już tych samochodów nie widział, słyszał tylko przeciągły, bez początku i końca i niczym nie zakłócony wizg opon i asfaltu, niby pisk dartego surowego jedwabiu, a szczęściem i dom był po tej niewłaściwej stronie ulicy, więc wszedł na podwórko wnosząc i tam ze sobą ten dźwięk, i teraz mógł już coś na tamten śmiech poradzić, pojąc po chwili zastanowienia, co go poruszyło, i wydobyć to na światło dzienne, w którym nawet sam zobaczył, że to wcale nie jest takie śmieszne; jakieś dziesięć tysięcy mil dalekie od śmiechu, tak dalekie, że mogło doprowadzić matkę do przeklinania.

—• Uciekli — powiedział i od razu, choć niemal za późno, kiedy tam jeszcze stał i przyglądał się sam sobie, wiedział, że to nieprawda, a potem jtiż szybko szedł przez podwórko, aż wreszcie stanął li wyszarpnął, a raczej po prostu uwolnił swoje ramię.

— Słuchaj — powiedział — nie jestem jakimś kaleką. Jestem tylko zmęczony. Pójdę do siebie do pokoju i położę się trochę. — A potem powiedział do wuja:— Zaraz mi to przejdzie. Przyjdź po mnie za jakieś piętnaście minut. —| Zaraz jednak znów się zatrzymał i znów powiedział do wuja: — Będę gotów za piętnaście minut—po czym już się nie zatrzymywał, a tamten dźwięk wszedł razem z nim do domu i słyszał go jeszcze w swoim pokoju nawet przez zaciągnięte story i czerwone 'drżenie pod powiekami, póki pod dotknięciem dłoni matki nic zerwał się i oparty na łokciu nie zwrócił się jeszcze raz do wuja stojącego tuż za

łóżkiem: — Piętnaście minut. Nie pójdziesz beze mnie? Obiecujesz?

—Dobrze — powiedział wuj. — Nie pójde bez ciebie. Tylko...

—Czy nie zechciałbyś, Gavin, wynieść się stąd do diabła? — powiedziała matka, po czym zwróciła się do niego: — Połóż się.

Położył się, ale tamto zostało, przenikając nawet tę rękę, istniejąc pomimo tej dłoni wąskiej, szczupłej i chłodnej, ale zbyt suchej, zbyt szorstkiej, zbyt nawet chłodnej, tak że suchość, żar i chropawość jego własnej czaszki przyjemniejsze były niż dotknięcie tej dłoni na czaszce, ponieważ do tamtego zdążył się już przyzwyczaić, czuł je już wystarczająco długo, odwrócił nawet głowę z jednej strony na drugą, ale równie małe miał szanse zepchnięcia tej jednej nieusuwalnej dłoni, jakby próbował uchylić czoło spod piętna swego urodzenia, i teraz to, co przenikało, nie było nawet jakąś twarzą, bo ci ludzie odwrócili się do niego plecami, był to więc tył głowy, jakiś wspólny jeden tył jednej Głowy, jakiś kruchy, miękką masą wypełniony czerep równie łatwy do zgniecenia, jak jajko, a jednak straszliwy w swojej zespołowej zgodnej jednomyślności i pędzący nie do niego, ale od niego.

— Uciekli — powiedział. — Nie będą sobie wyrzucać, że musieli wydać całe dziesięć centów, żeby mu kupić paczuszkę tytoniu na dowód, że mu przebaczyli.

— Tak — powiedziała matka. — Zostaw już to. To było tak, jakby ktoś powiedział człowiekowi

uczeponemu jedną ręką skały: "Trzymaj się tylko dalej", przecież nie chciał w tej chwili nic więcej prócz jakiejś szansy, żeby móc już to zostawić i poddać nicości snu tę odrobinę swojej nicości, jaka mu jeszcze została, jemu, który zeszłej nocy chciał spać i mógłby spać, ale nie miał czasu, a teraz bardziej niż kiedykolwiek chciał spać i miał na to tyle czasu, ile tylko zapragnie przez najbliższe piętnaście minut (czy najbliższe piętnaście dni, czy lat piętnaście, czy Bóg raczy wiedzieć, jak długo, bo nic im teraz wszystkim nie pozostawało, tylko mieć nadzieję, że Crawford Gowrie zechce przyjść, odnaleźć szeryfa i powiedzieć: "No dobra, ja to zrobiłem"; bo mieli tylko Lucasa, który mówił, że Vinson Gowrie nie został zastrzelony z Colta 41, a w każdym razie nie z jego Colta 41, i prócz Lucasa mieli Buddy'ego McCalluma, który mógł nic nie mówić albo powiedzieć: "Tak, to ja przehandlowałem Crawfordowi Gowrie dwadzieścia pięć lat temu ten niemiecki pistolet"; nie mieli już nawet Vinsona Gowrie, żeby ktoś z policji z Memphis mógł przyjechać, obejrzeć go i powiedzieć, jaka kula go zabiła, bo szeryf już pozwolił staremu Gowrie zabrać go do domu, obmyć z piasku i pochować na nowo jutro rano; a tym razem Hampton z jego wujem mogli go jutro w nocy wykopać), tylko zapomniał, jak się to robi — a może to o to właśnie szło, że nie śmiał zagubić w nicości tej odrobiny, jaka mu została— odrobiny, która była niczym, nie było już żalu, który by mógł pamiętać, ani litości, ani nawet świadomości hańby, nie było usprawiedliwienia

człowieka przez człowieka wobec człowieka, tego nieśmiertelnego ludzkiego pragnienia, usprawiedliwienia przez katharsis litości i wstydu, zostawał tylko jakiś stary człowiek, dla którego smutek nie był nawet niczym przyrodzonym, a zaledwie przemijającym zjawiskiem, zamordowanym synem, stary człowiek, który jednym szarpnięciem przewrócił na wznak nieznanego trupa nie po to, żeby uczynić zadość niememu oskarżycielskiemu jego wołaniu nie o litość czy zemstę, ale o sprawiedliwość, tylko wyłącznie po to, żeby się upewnić, że to nie ten trup, którego szukał, i żeby zawołać głośno bez smutku i wstydu: "Fiuu, przecież to ten diabelny Montgomery!"; i jakaś Twarz: on przecież nie oczekiwał, że Lucasa wyniosą z jego celi wysoko na ramionach w przyływie ekspiacji

i ustawią go na cokole pomnika Żołnierza Armii Konfederackiej, żeby tam przeżył swoją chwilę usprawiedliwienia i tryumfu (a może lepiej na balkonie budynku poczty obok słupa, z którego powiewa państwowa flaga), tak samo, jak nie oczekiwał niczego podobnego dla siebie ani dla Alecka Sandera i panny Habersham —■ on, który (sam) nie tylko tego nie pragnął, ale nie mógłby tego przyjąć, bo unicestwiłoby to i zniweczyło wszystko, co było jego częścią i uczestnictwem, a musiało zostać anonimowe, jeśli miało zachować wartość; on, który, oczywiście, też pragnął zostawić jakiś znak na swoim czasie w Człowieku, ale tylko tyle, nie więcej, jakiś znak na swojej części w Ziemi, ale pokornie, oczekiwał pragnąc pokornie nawet, w istocie nawet nie mając nadziei na nic

(co, oczywiście, było wszystkim), prócz jednej bezimienną szansy dla samego siebie, żeby też móc dokonać czegoś wzniosłego, dzielnego i groźnego nie po prostu w dziejach, ale dla dziejów trwania człowieka, czegoś, co by warte było miejsca w tych dziejach (kto wie? — może chciał dodać nawet jedną- bezimienną kroplę do. wzniosłości bohaterskiego, żaru tych dziejów) w podzięcie za dar swojego w nich czasu — pragnął tylko tego,, i to właściwie bez nadziei, i chciał się z tym pogodzić, że nie zdobył tego miejsca, bo nie był godny; ale już z pewnością zupełnie nie oczekiwał tego, co nastąpiło: oto życie nie zostało uchronione przed śmiercią, a nawet śmierć nie została uchroniona przed hańbą i upodleniem i wyrok wcale nie został zawieszony, tylko opieszale zaniedbano daty wykonania; upodlenie nie odczuło własnej hańby, nie pamiętano z pokorą i dumą wyniesienia i ponizenia ani chwały odwagi i uniesienia, ani chwały litości, ani dumy i wzniosłości, i smutku, zamiast tego wzniosłość znalazła ponizenie w tym, co sama zdobyła, odwagę i uniesienie upodliło starcie z nieprzyjacielem; z tą Twarzą —¹ wspólną Twarzą jego ziomków, jego ojczyzny, potomków tych samych ojców, tyy samej krwi, co jego własna, z którymi dotychczas chciałby być godny z radością i dumą, i nadzieją stanąć w jednym zwartym szeregu wobec czarnej otchłani nocy. Była to Twarz potworna, nie żarłoczna i nie wszystkożerna, i nawet nie niezaspokojona, nie zawiedziona i udaremniiona, nie 1 spragniona czy oczekująca, twarz, której cierpli-

BHHBHBHHH^B

HH

wość nawet nie była potrzebna, skoro wczoraj, dziś i jutro są jednym Teraz — niepodzielnym — Jednym [jeśli q to idzie, to wuj też przewidział to dwa czy trzy, czy cztery lata temu, tak jak przewidział i wszystko inne, o czym, w miarę jak sam coraz bardziej i bardziej stawał się mężczyzną, przekonywał się, że jest prawdą: “Widzisz, to wszystko jest teraz. Wczoraj nie mija, zanim nie przyjdzie jutro, a jutro zaczęło się dziesięć tysięcy lat temu. Dla każdego czternastoletniego chłopca z Południa — nie tylko raz, ale ilekroć tego potrzebuje — obecny jest .ten moment, kiedy to jeszcze wciąż nie wybiła druga godzina tamtego lipcowego popołudnia roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego*, oddziały stoją w pogotowiu za zasiekami, działa czekają nabite wśród drzew, rozwinięto już sztandary do ataku, a sam Pickett o długich wypomadowanych lokach, prawdopodobnie z kapeluszem w jednej ręce, a z szablą w drugiej spogląda na wzgórze czekając na sygnał Longstreeta i losy się ważą, bitwa się jeszcze nie r odbyła, nie zaczęła się nawet, i nie tylko się nie zaczęła, ale wciąż jeszcze jest czas, żeby się nie zaczynała w tym układzie sił i tych okolicznościach, które rzuciły cień na twarz nie tylko Garnetta i Kempera, i Armsteada, i Wilcoxa*, a jednak bitwa się zacznie i wszyscy o tym wiemy, za dalekośmy zaszli, chodzi nam o stawkę zbyt

wysoką i w tym momencie nie trzeba nawet być czternastoletnim chłopcem, żeby pomyśleć: Teraz. Może teraz — kiedy się tak wiele ma do stracenia i tak wiele do zyskania: Pensylwanię, Maryland, cały świat, samą złotą kopułę Waszyngtonu jako uwieńczenie tego desperackiego i niewiarygodnego zwycięstwa w tym desperackim hazardzie, w którym kości rzucono dwa lata temu*; tak samo dla każdego, kto kiedykolwiek wypłynął choćby w maleńkim czółnie pod łatanym żaglem, wiecznie obecny jest ten moment z roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego, kiedy to pomyślano: Oto ona — ostateczna granica, spoza której nie ma powrotu, moment, kiedy można jeszcze zawrócić i płynąć do portu bądź nieodwołalnie żeglować dalej i albo znaleźć ład, albo zapaść się poza wzburzoną krawędź świata. Skromna, obdarzona zdrowym rozsądkiem poetka czasów mojej młodości powiedziała: "Wraz z listkami herbaty wylewasz herbatę. I co dzień jedno słońce zachodząc umiera" — poetycka ekstrawagancja, która dość często odbija prawdę, ale do góry nogami w negatywie, bo ten, kto tym lustrem nieuważnie obraca, tak jest zajęty swoją pracą, że zapomina, że to lustro jest dwustronne; jeśli to prawda, że herbata rozpryskuje się wraz z listkami i codziennie umierają słońca, ale jest inaczej: wczorajszy zachód słońca i wczorajsza herbata nie dadzą się oddzielić spośród rozprysłych, niezniszczalnych i nierozpuszczalnych fusów miecionych nie kończącym się korytarzem jutra -r- i buty, które będziemy musieli włożyć do chodzenia, i prześcieradła, między którymi będziemy musieli układać się spać (czy też próbować usnąć), nie są od nich wolne: bo niczego nie sposób uniknąć, od niczego nie można uciec, ścigającym jest to, co umyka, a jutrzejsza noc niczym innym, jak długim, bezsennym zmaganiem z tym, co wczoraj zaniedbaliśmy i czegośmy żalowali] — a ci" jego ziomkowie nie tylko zapomnieli zadać śmierć czy nawet zadać śmierć Lucasowi, ale poniechali samego Lucasa, Lucasa w dziesięciu tysiącach wcieleń Sambo, pierzchając ślepo, bez ładu i składu przez ten otwór, niczym myszy przez otwór gilotyny, póki w tym Jednym, przypadkowym momencie nie spadnie ten ślepy, przypadkowy, obojętny nóż; jutro albo przynajmniej jutro, albo najdalej jutro, i może wtedy dotrze tam, gdzie aniołowie nie boją się ani białych, ani czarnych szesnastoletnich dzieciaków i jednej białej kobiety,, starej panny bliskiej już osiemdziesiątki; ci, co uciekli, uciekli nawet nie po to, żeby się Lucasa zaprzec, ale po prostu dlatego, żeby nie musieć mu posłać przez posłańca z drugstore'u puszki tytoniu wcale nie po to, żeby w ten sposób go przeprosić, ale żeby nie musieć głośno się przyznać, że nie mieli racji — odepchnął się więc od tej skały i poleciał w górę jednym długim susem, coraz wyżej i wyżej, zwalniając już w tym dźwięku, kiedy go już słyszał, co prawda teraz słysząc go i słuchając jako ledwie wyczuwalne drganie, i jeszcze nie poruszając się,

m§
HH

nic otwierając nawet oczu, chwilę dłużej leżał i słuchał tego dźwięku, a potem otworzył oczy i zobaczył sylwetkę wuja na tle światła za oparciem łóżka w najwyższej, całkowitej i absolutnej ciszy, w której teraz nic nie było prócz oddechu ciemności, skrzeczenia żabek drzewnych i brzęczenia owadów — ani uciekania, ani zapierania się, a nawet w tej chwili już nic nigdzie nic nagliło bądź tutaj w pokoju- bądź na zewnątrz, bądź w górze, bądź poniżej, ani przed, ani poza tymi cieniutkimi głosikami niezliczonych stworzonek i ogromnymi skurczami i rozkurczami serca letniej nocy.

— Już ich nie ma — powiedział.

— Tak — zgodził się wuj. — Już pewno o tej porze leżą w łóżkach i śpią. Zajechali do domów, na czas dojenia i nawet zdążyli przed zmrokiem na rąbać drzewa na jutro rano.

Więc to było raz, ale on wciąż się nie ruszał.

— Uciekli — powiedział.

— Nie — powiedział wuj. — To było coś więcej.

— Uciekli — powtórzył. — Doszli już do tego miejsca, gdzie nic im nie zostało do zrobienia, tylko przyznać się, że nie mieli racji. Więc uciekli do domu.

— No, w każdym razie nie stali w miejscu — powiedział wuj.

Więc to już było dwa razy, choć on nie potrzebował nawet tego pierwszego podpowiedzenia, bo przecież nie tylko nie wrócił ten przymus, ta potrzeba i konieczność, żeby znów ruszyć albo

HHHHHHHHHH

raczej w ogóle wcale się nie zatrzymywać w tamtym momencie sprzed czterech czy pięciu, czy sześciu, czy ile ich tam było tych godzin, kiedy naprawdę myślał, że się kładzie tylko na piętnaście minut (a ten przymus umiał odmierzyć piętnaście minut niezależnie od tego, czy on potrafił), ale nigdy nigdzie nie odchodził, skąd miałby wracać, bo stale był tutaj, bez przerwy, ani na chwilę go nie brakowało w wariackiej fantasmagorii, której strzępami wciąż jeszcze był otumaniony, przez którą i wśród której stracił raczej piętnaście godzin niż piętnaście minut; tamten przymus trwał stale, a przynajmniej jego w tym przymusie nie dopełniona rola, która nie była nawet jakąś drobinką, ale raczej minutodrobinką roli wuja i szeryfa w niedokończoności Lucasa Beauchamp i Crawforda Gowrie, bo jeśli coś wiedzieli w“ ogóle — zanim nie zgubił wątku dziś rano — to i tak żaden z nich nie wiedział, co mają zrobić dalej, jeszcze zanim Hampton rozporządził się tą odrobiną dowodów, które mieli, wydając je temu staremu jednorękiemu raptusowi, staremu Gowrie, od którego teraz nie odebrałoby tego dowodu nawet dwoje dzieci i staruszka; nie była to konieczność skończenia czegokolwiek, ale wręcz nieprzestawania, nawet nie po to, żeby się utrzymać tam, gdzie byli, ale żeby się za wszelką cenę nie dać wyprzedzić, niczym niemożność zatrzymania się w kieracie nie wywołana tym, żeby się chciało w tym kieracie biegać, ale tym, że się nie chce być odrzuconym na łeb, na szyję, z wściekłą siłą smyrgniętym precz, i nie czeka się

biernie na tę chwilę, aż ramię kieratu rąbnie człowieka od tyłu i popchnie, ale już trwa się w nie ustającym biegu tak samo, jak i nie zatrzymujące się ani na chwilę, nie oddalone więcej niż

0 ułamek cala od nosa i piersi ramię kieratu, które przy pierwszym pełnym oddechu porwie człowieka w swoją nieubłaganą orbitę, orbitę kieratu, pod którym on sam teraz leżał jak'tramp, który dostał się pomiędzy szyny pod pędzącym pociągiem i dotąd jest bezpieczny, póki się nie poruszy.

Więc się poruszył i spuszczać nogi z łóżka powiedział:

. — Już czas. Która godzina? Powiedziałem, na piętnaście minut. Obiecałeś...

— Dopiero pół do dziesiątej—powiedział wuj.— Mamy mnóstwo czasu, zdążysz jeszcze wziąć prysznic i zjeść kolację. Oni nie wyruszą, dopóki nie przyjdziemy.

— Oni? — zapytał; stał boso (nie był rozebrany, zdjął tylko buty i skarpetki) sięgając już po ranne pantofle. — Wracalesz do miasta. Dopóki nie przyjdziemy? To nie jedziemy z nimi? — Nie — powiedział wuj. — Trzeba będzie nas dwóch, żeby zatrzymać pannę Habersham. Panna Habersham ma się z nami spotkać w mojej kancelarii. Ruszaj się więc, pewnie już tam na nas czeka.

— Tak — powiedział, ale jedną ręką rozpinał już koszulę, a drugą pasek i spodnie, tak że mógł jednocześnie uwolnić się i od koszuli, i od spodni.

I tym razem to był naprawdę śmiech. Nic temu śmiechowi nie brakowało. Nawet go było słychać. — Więc to było dlatego — powiedział. — Żeby ich żony nie musiały rąbać drzewa po ciemku przy latarni podtrzymywanej przez zaspane dzieciaki.

— Nie — powiedział wuj. — Oni nie uciekali od Lucasa. O nim zapomnieli...

— Właśnie to samo mówię — powiedział. — Nawet tyle nie poczekali, żeby mu posłać puszkę tytoniu i powiedzieć: "Wszystko w porządku, stary, każdy się może omylić i nie będziemy ci tego mieli za złe".

— To ty tego chciałeś? — zapytał wuj. — Puszki tytoniu? To by miało wystarczyć? Oczywiście, że by nie wystarczyło. I to jeden z powodów, dla których Lucas w końcu dostanie swoją puszkę tytoniu, a oni będą na to nalegać, będą musieli na to nalegać. Zapewnią mu to, że w tym kraju będzie do końca życia dostawał swój tytoń, czy chce, czy nie chce, i to nie tylko ten Lucas, ale w ogóle Lucas: Sambo, bo to, co każe się człowiekowi skręcać z bezsenności po nocach, to nie krzywda wyrządzona drugiemu człowiekowi, ale własna pomyłka; samą krzywdę (jeśli nie może jej usprawiedliwić tym, co nazywa logiką) człowiek potrafi wymazać niweczając i ofiarę, i świadków tej krzywdy, ale pomyłka z nim pozostaje, i to jest właśnie ten szczer, którego zawsze będzie wołał zadławić na śmierć darowanym żarciem. O, Lucas dostanie swój tytoń. Oczywiście, nie będzie go chciał przyjąć i będzie próbował go odrzucić. Ale go dostanie i tu na miejscu, w okręgu Yoknapatawpha, zobaczymy pradawną orientalną zależność między obrońcą a życiem, które obronił, wyróconą do góry nogami: Lucasa Beauchamp —■

niegdyś niewolnika każdego napotkanego białego człowieka — teraz tyrana rządzącego sumieniem wszystkich białych ludzi w tym okręgu. A oni: podokrąg pierwszy i drugi, i trzeci, i piąty, też o tym wiedzą, więc po có mają teraz tracić czas na posyłanie mu dziesięciocentowej puszki tytoniu, jeśli będą musieli poświęcić temu resztę życia? Na razie przestali o nim myśleć. Nie uciekali od niego, tylko od Crawforda Gowrie; oni tylko odrzucili nawet nie ze zgrozą, ale z absolutną jednomyślnością wszelkie "nie będziesz" i "nie powinieś", które niespodzianie i bez ostrzeżenia zmieniło się w "nie wolno". "Nie zabijaj" — widzisz, tutaj nie mówi się, kogo nie wolno zabijać, to brzmi beznamiętnie — zwykły zakaz • moralny; w odległej anonimowości naszych pradziadów przyjęliśmy go, zachowywaliśmy tak długo, strzeżliśmy, podtrzymywaliśmy, nie daliśmy umilknąć dźwiękowi tych słów, przechowaliśmy niezmiennymi te słowa, dotykając ich tak długo, że wszystkie ich ostre krawędzie stórły się już do gładkości; możemy spać z nimi spokojnie w jednym łóżku, wytworzyliśmy już na nie zapas własnych antidotów, tak jak przewidująca gospodyni trzyma na jednej półce z trucizną na szczury roztwór gorczycy albo białka od jajek, żeby były na wszelki wypadek pod ręką; stały się dla nas takie znajome i zwyczajne, jak twarz naszego rodzonego dziadka, takie trudne do rozpoznania, jak twarz dziadka, gdyby się ubrał w turban indyjskiego księcia, tak samo niezauważalne, jak wiatry dziadka przy rodzinnej kolacji, i nawet

kiedy to wybucha i przelana krew.ostro kłuje nas w oczy, przykazanie zostaje tak samo nietknięte, tak samo prawdziwe: "Nie będziemy zabijać" —

i może nawet następnym razem nie zabijemy. Ale: "Nie będziesz zabijał dziecka swojej matki". Przecież objawiło się to tam na tej ulicy i ukazało ci się oko w* oko w biały dzień.

— Więc jak cała kupa Gowrie'ch i Workittów podpala Lucasa Beauchamp benzyną za coś, czego on nawet nie zrobił, to nk to jest jedna miara, a inna, jak któryś Gowrie zamorduje swojego brata?

— Owszem — powiedział wuj.

Nie możesz tak mówić.

— Owszem. Przykazanie mówi: "Nie zabijaj", a nawet jeśli zabiłeś, przykazanie wciąż pozostanie nieskalane i nienaruszone. "Nie zabijaj", i kto wie? może na drugi raz nie zabijesz. Ale to jest co innego: "Żadnemu Gowrie nie wolno zabijać swojego brata", nie ma tu żadnego może, żadnego: może na drugi raz jeden Gowrie nie zabije drugiego, ponieważ nie może mieć miejsca żaden pierwszy raz. A to jest przykazanie nie tylko dla GoWrie'ch, ale dla wszystkich: Steyensów i Mal- lisonów, i Edmondsów, a także dla McCaslinów; jeślibyśmy nie trwali w tym przekonaniu, że nie tylko nie nadejdzie, ale wręcz nie może nadejść i nie ma prawa nadejść ten moment, w którym Gowrie czy Ingrum,'czy Stevens, czy Mallison rozleje krew drugiego Gowrie czy Stevensa, czy Ingruma, czy Mallisona, jak moglibyśmy mieć nadzieję, że dorośniemy do przykazania, które mówi: "Nie zabijaj w ogóle", kiedy życiu Lucasa

^MMBW—i——i

Beauchamp nic nie będzie groziło, i to nie mimo że on jest Lucasem Beauchamp, ale dlatego, że nim jest?

— Aha, to oni uciekli, żeby nie musieć zlinczować Crawforda Gowrie — powiedział..

— Nie zlinczowaliby Crawforda Gowrie — powiedział wuj. — Było ich za wielu.

Zapomniałeś? Jeszcze kiedy ciągle byli przekonani, że Lucas zastrzelił Vinsona, i chociaż zostawili go w spokoju, przez całe rano zapychali ulicę przed więzieniem i Rynek.

— Czekali, aż przyjedzie podokrąg czwarty i to robi.

— Właśnie to mówię, jeżeli się na chwilę założy, że to prawda. Gowrie'ch i Workittów w tej części podokręgu czwartego jest za mało na tłum, nawet z dodatkiem jeszcze tych czterech czy pięciu innych, którzy by nie dali żadnemu Gowrie ani żadnemu Workittowi szczypty tytoniu do żucia, ale by się zjawili choćby tylko po to, żeby sobie popatrzeć na krew. Ale nie zrobiliby tego cały ten tłum, co tam był, bo w pewnym określonym punkcie liczebności tłum niszczy, niweczy sam siebie, może dlatego, że na koniec stał się za wielki, żeby się pomieścić w ciemności, że jaskinia, w której się rozciągnął, już nie wystarcza, żeby go ukryć przed światłem, więc w końcu, czy chce, czy nie chce, musi sam na siebie spojrzeć; a może też to jest tak, że ilość krwi zawarta w jednym ludzkim ciele przestaje już wystarczać, tak jak jeden orzech może polaskotać jednego słonia, ale dwóch czy dziesięciu już nie. Albo może? to jest tak, że czło

wiek włączając się w tłum staje się częścią masy niweczającej ten tłum przez wchłanianie, przyswajanie, a kiedy już tłum robi się za wielki nawet dla masy, człowiek na powrót staje się człowiekiem zdolnym do litości i sprawiedliwości i mającym sumienie, choćby tylko w rozpamiętywaniu swojej długiej, bolesnej ku tym ludzkim uczuciom drogi, będącej jednak zawsze drogą do tej odrobiny jednego, powszechnego jasnego światła.

-r- No to człowiek zawsze jest dobry.

— Nie — powiedział wuj. — Stara się być dobry, jeśli ci, którzy się nim posługują dla własnej potęgi i własnego wywyższenia, zostawią go w spokoju. Litość i sprawiedliwość, i sumienie, owa wiara w więcej niż boskość indywidualnego człowieka (którą my w Ameryce upodliliśmy do roli jakiejś narodowej religii brzucha i według której człowiek nie ma żadnych obowiązków wobec swojej duszy, ponieważ odpuszczono mu duszę, wobec której miałby obowiązki, i rodzi się niewydziedzicznym dziedzicem niezaprzeczalnego prawa do żony, samochodu, radia i renty starczej), bo w boskość jego ciągłości jako człowieka; pomyśl, jak by im było łatwo zwrócić się teraz przeciwko Crawfordowi Gowrie: niepotrzebny by był ten tłum pędzący w ciemnościach i co krok oglądający się za siebie, bo mieliby za sobą jedną niepodzielną opinię publiczną i ten orzech by zniknął pod kopytami całego zgranego stada słoni, z których ani jeden by w końcu nie pamiętał, czy orzech rzeczywiście tam kiedyś był, bo tłum właściwie głównie po to się zbiera, żeby ta jedna

katowska ręka, która dokonuje samego zaciągnięcia ciał pętli, zniknęła na zawsze, ukryła się w nienaruszalnym braterstwie bezimienności, i żeby ten jeden człowiek nic większe miał powody cierpieć potem na bezsenność niż płatny oprawca. Wcale nie chcieli zabić Crawforda Gowrie. Wyrzekli się go. Gdyby go zlinczowali, pozbawiliby go tylko życia. To, co oni zrobili, jest czymś gorszym: w pełnym zakresie swoich możliwości pozbawili go jego ludzkiego obywatelstwa.

Nie poruszył się jeszcze.

— Jesteś prawnikiem — powiedział. Po czym dodał: — Nic uciekali ani od Crawforda Gowrie, ani od Lucasa Beauchamp. Uciekali od siebie. Uciekali do domu, żeby ze wstydu wsadzić głowy pod pierzynę.

— Najprawdziwsza prawda—powiedział wuj. — Czy przez cały czas tego właśnie nic mówię? Było ich za wielu. Tym razem było ich jeszcze dosyć, żeby uciec od hańby, żeby zrozumieć, że nie do przyjęcia jest to jedyne wyjście, które by zresztą było wyjściem narzuconym przez tłum, bo on (ten tłum) z racji swojej szczupłości i tego, co brał za swoją ukrytość i zwartość, a co znał jako całkowity brak zaufania każdego do wszystkich, którzy się na niego składali, wybrałby to najbliższe i najprostsze wyjście — zniszczenie świadomości hańby przez zniszczenie jej świadka. Więc jeśli wolisz tak to powiedzieć, to uciekli.

— A tobie i panu Hamptonowi zostawili do sprzątnięcia te brudy, czego nawet psy nie robią. Ale prawda, pan Hampton to płatny pies i myślę, że ciebie można nazwać tak samo. Nie zapominaj

0 Jefferson — powiedział. — Zwiewali stąd całkiem prędko. Pewnie, nic wszyscy. Przecież to było dopiero wcześniej po południu i niektórzy nie mogli, bo nie mogli jeszcze pozamykać sklepów

1 też zwiewać do domu, jeszcze ciągle może się zdarzyć, że jeden od drugiego utarguje z pięć centów.

— Mówiłem też o Stevensach i Mallisonach — powiedział wuj.

— Stevens nie—powiedział. — Ani Hampton. Bo ktoś musi to skończyć, ktoś z wytrzymałym żołądkiem, żeby móc wyszorować podłogę. Szeryf jest do łapania (czy żeby starał się złapać, czy żeby miał nadzieję, że złapie, czy co to tam jest, co teraz macie zamiar zrobić) mordercy, a adwokat od tego, żeby bronił tych, co linczowali.

— Nikt nikogo nie zlinczował i nikogo nie trzeba bronić przed oskarżeniem o lincz— powiedział wuj.

— Dobrze, to ich usprawiedliwić.

— Ani usprawiedliwiać — powiedział wuj. — Bronię Lucasa Beauchamp. Bronię Sambo przeciwko Północy i Wschodowi, i Zachodowi — przeciwko ludziom z zewnątrz, którzy go zepchną i o całe dekady wstecz, nie tylko w niesprawiedliwość, ale i w smutek, i w cierpienie, i w przemoc, narzucając nam prawo oparte na przekonaniu, że wyrządzenie krzywdy człowiekowi przez człowieka może być zniesione z dnia na dzień przy pomocy policji. Sambo, oczywiście, będzie się musiał temu poddać, jest jeszcze za słaby, żeby

mógł zrobić co innego. I przeżyje to, wchłonie i przetrwa, bo Sambo ma zdolność przetrwania; on się jeszcze okaże mocniejszy niż my, bo do niego należy zdolność przetrwania i przeżycia, ale odrzuca, cofną go o całe dekady wstecz, a to, co mu zostanie po przetrwaniu, może się okazać nic; niewarte, bo my, rozdzieleni, możemy do tego czasu stracić Amerykę.

■— Ale ty to wciąż usprawiedliwiasz.

jpr Nie — powiedział wuj. — Mówię tylko, że krzywdę wyrządzamy my, Południe. My ją musimy odkupić i wykreślić sami i bez niczyjej pomocy albo choćby (dziękujemy bardzo) rad. Tyle jesteśmy winni Lucasowi, czy on tego chce, czy nie chce (a ten Lucas nie zechce nigdy), nie ze względu na jego przeszłość, bo przecież tak samo człowiek, jak i rasa, jeśli czegoś są warci, potrafią przeżyć swoją przeszłość nie potrzebując nawet od niej uciekać, i nie ze względu na wzniosłe, dość często zbyt gołosłowne krasomówstwo człowieczeństwa, ale dla tej prostej, niewątpliwej i praktycznej racji jego przyszłości: dla tej zdolności przeżycia, wchłonięcia i przecierpienia, a mimo to pozostania tym samym.

— Dobrze — powtórzył. — Nic nie zmienia tego, że ty jesteś adwokatem i że oni uciekli. Może chcieli, żeby Lucas to sprzątnął, kiedy on już pochodzi z rasy tych, co szorują podłogi. Żebyście to sprzątnęli — Lucas, Hampton i ty, bo przecież Hampton i tak powinien coś od czasu do czasu zrobić za swoją pensję, a i ciebie też wybrali na urząd z pensją. Czy pomyśleli o tym, żeby wam powiedzieć, jak to macie zrobić? Jakiej macie użyć przynęty, żeby Crawford Gowrie dał się zwabić, przyszedł i powiedział: "No dobra, chłopaki, pasuję. Rozdajcie jeszcze raz". Albo może nie mieli czasu, bo byli za bardzo zajęci swoim... swoim...

' Wuj odpowiedział spokojnie:

— Poczuciem sprawiedliwości? •

Teraz urwał zupełnie. Ale tylko na sekundę. Powiedział: — Uciekli — spokojnie i już zupełnie ostatecznie, nawet nie pogardliwie, śmigając rozwianą koszulą za siebie i w tej samej chwili opuszczając spodnie i bosymi nogami wychodząc z nich nagi, tylko w szortach.

— Ale i tak to wszystko jest w porządku. To wszystko był sen. I oni to też był sen, od którego się uwolniłem; niech sobie leżą w łóżku czy niech sobie doją krowy przed wieczorem, albo niech rąbią drzewo przed zmrokiem, czy już po ciemku, z latarnią albo bez żadnej latarni. Bo to wcale nie ońi byli moim snem, tylko musiałem od nich się uwolnić, żeby się dorwać do tego snu... — mówił teraz dość szybko, dużo szybciej, niż mu się zdawało, niż spostrzegł, kiedy było już za późno: — To było coś... ktoś... coś o tym, że może to było za dużo, czego od nas oczekiwano, za dużo od ludzi, co mają dopiero szesnaście lat czy niedługo będą mieć osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt, albo ile ońa tam ma mieć, a potem zaraz odpowiadałem na to, co mi mówiłeś, pamiętasz, o tych angielskich chłopcach niewiele starszych ode mnie, co prowadzili wojska i pilotowali zwiadowcze samoloty we

Francji w tysiąc dziewięćset osiemnastym? Pamiętasz? Opowiadałeś, że w tysiąc dziewięćset osiemnastym już chyba wszyscy brytyjscy żołnierze byli albo siedemnastoletnimi podoficerami, albo jednookimi i jednorękami, i jednonogimi dwudziestotrzyletnimi pułkownikami? — I teraz ugryzł się w język albo przynajmniej spróbował, bo w końcu coś go ostrzegawczo tknęło, i to dotkliwie, nie jakby z góry usłyszał słowa, które miał powiedzieć, ale jakby nagle odkrył nie to; co już powiedział, ale do czego to, co powiedział, zmierzało, do wypowiedzenia czego te słowa, które już wymówił, go zniewolą; ugryzł się w język, ale, oczywiście, za późno, tak iak się gwałtownie naciska hamulec przy zjeździe z góry, po czym'ku własnemu przerażeniu stwierdza się, że ciągnęło hamulca się zerwało —| ...tylko tam było jeszcze coś innego... Staralem się... — I urwał w końcu, czując, jak gorąca, ciężka krew zalewa mu kark i twarz i nie zostawia na nim ani jednego miejsca, na które można by patrzeć, nie dlatego wcale, że był prawie nagi, ale dlatego, że żadne ubranie czy wyraz twarzy, czy jakieś zagadywanie nie zdołałoby niczego zasłonić przed poważnymi, bystrymi oczami wuja.

— Hm? — powiedział wuj. I dodał: — Tak. Niektórych rzeczy nigdy nie wolno ci móc znieść. Nigdy nie wolno ci się zgodzić na znoszenie pewnych rzeczy. niesprawiedliwości i przemocy, i hańby, i wstydu. Obojętne, czy jeszcze jesteś młody, czy już jesteś stary. Ani dla opinii morow- ca, ani dla forsy, fotografii w gazecie czy majątku w banku. Po prostu nie wolno ci się z nimi pogodzić. To chciałeś powiedzieć?

— Kto, ja? — zapytał idąc już przez pokój, nie tracąc czasu na szukanie rannych pantofli.

— Nie jestem wywiadowcą, odkąd skończyłem dwanaście lat.

— Oczywiście, że nie—powiedział wuj.—Ale tylko żałuj tego; nie ma się czego wstydzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Może to prawda, że jedzenie coś z nią (z tą Twarzą) miało wspólnego — nie przestał nawet jeść starając się bez specjalnego zajęcia czy ciekawości obliczyć, ile to już dni minęło, odkąd ostatni raz usiadł do stołu, żeby zjeść, i zaraz, z tym samym jeszcze kęsem w ustach, sobie przypomniał, że nie minął nawet jeden dzień, odkąd na pół już śpiąc zjadł o czwartej rano porządne śniadanie u szeryfa — przypomniał sobie, że wuj mówił (siedząc naprzeciwko niego przy stole i pijąc kawę), że człowiek nie musi koniecznie wygryźć sobie swojej ścieżki przez świat, ale że przez czynność jedzenia, i może tylko przez nią, człowiek właściwie wchodzi w ten świat, przedostaje się w ten świat: nie przez świat, ale w świat, drażąc sobie wejście w płodną wspólnotę tego świata, niczym mól wgryzający się w wełnę, za pomocą fizycznej czynności żucia i przelękania tego świata osnowy i wątku, przyswajając sobie i swojej pamięci i czyniąc częścią siebie i swojej pamięci całe dzieje człowieka albo też nawet może niszcząc w procesie żucia te dzieje, przekreślając je, wżerając się w nie, aby je unicestwić; chępliwa dro-
mmm&m*^

binka, którą nazywa swoją pamięcią i swoim Ja, i swoim Ja Jestem, wgryza się w ową niezmierną, płodną, bezimienną wspólność świata, tę efemeryczną opokę, która spod niego wykrzepnie i rozsuje się w proch nie zauważona nawet i nie pamiętana, jeżeli nie było żadnego wczoraj i nie istnieje nawet jutro, i może tylko jakieś ascetyczne życie w jaskini, żywienie się żołądziami i źródlaną wodą naprawdę daje prawo do próżnej chwały i dumy; może trzeba mieszkać w jaskini, żywić się żołądziami i źródlaną wodą i pogrążyć się we wzniosłej, niczym nie zakłóconej kontemplacji własnej próżnej chwały i prawości, i dumy, żeby się utrzymać na wyżynie wyniosłego szczytu, bezlitosnego szczytu chwały dziejów człowieka, szczytu, który nie przyjmie żadnego kompromisu; jadł bez przerwy, i to wcale niemało, i, co już sam do tej pory nauczył się poznawać słysząc o tym od szesnastu lat, za szybko, a potem złożył swoją serwetkę, wstał i usłyszał ostatni lament matki (i pomyślał, że kobiety to właściwie niczego nie umieją znieść prócz tragedii, ubóstwa i fizycznego bólu — że kiedy on dziś rano robił to, czego mając szesnaście lat w żadnym razie nie powinien był robić, a nawet gdyby miał dwa razy po szesnaście lat — kiedy uganiał się po okolicy z szeryfem wykopując z jakichś dołów trupy pomordowanych ludzi, ona podniosła sto razy mniej krzyku niż ojciec i okazała się tysiąc razy przydatniejsza niż ojciec, ale teraz, kiedy nie miał zamiaru zrobić nic więcej, tylko przejść się z wujem do miasta i spędzić godzinę albo dłużej w tej samej kancelarii,

w której już przedtem spędził prawdopodobnie jakieś ćwierć swojego życia, to teraz ona, zapominając zupełnie i o Lucasie Beauchamp, i o Crawfordzie Gowrie, bynajmniej niestrudzona wracała do tego dnia sprzed piętnastu lat, kiedy to po raz pierwszy uparła się wybić mu z głowy, jakoby sam potrafił zapiąć sobie spodnie):

— Ale dlaczego panna Habersham tutaj nie może przyjść czekać?

— Może — powiedział wuj. Jestem pewien, że umiałyby już trafić do tego domu.

— Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi — powiedziała. — Dlaczego jej nie każesz? Przesiadanie w kancelarii adwokata do dwunastej w nocy to nie Zajęcie dla damy.

— Ani nie było zajęciem dla damy wykopywanie wczoraj w nocy Jake'a Montgomery'ego — powiedział wuj. — Ale może tym razem wreszcie uda nam się wybić Lucasowi Beauchamp z głowy to ciągle wykorzystywanie panny Habersham do zajęć, które nie przystoją damie. Idziemy, Chick.

Więc wreszcie wyszedł z domu nie wychodząc jednak ku niej (tej Twardy), bo wyniósł ją ze sobą z domu, gdzieś w którymś miejscu między swoim pokojem a frontowymi drzwiami nie tyle nabywając jej czy choćby po prostu przybierając ją> czy choćby ją odzyskując, a raczej pokutą odkupując swoje odstępstwo od niej, stając się znów godny, aby go ona przyjęła, skoro należała do niego, a raczej on do niej należał i jedzenie musiało mieć z nią coś wspólnego, i teraz obaj z wujem znów szli tą samą ulicą niemal zupełnie tak jak wtedy, niecałe dwadzieścia dwie godziny temu, ulicą wówczas pustą, jakby cofniętą w grozie i przerażeniu — niemal tak samo, bo teraz ulica wcale nie była pusta, chociaż, co prawda, nie było na niej ludzi i nie było ruchu, i była równie martwa na odcinkach od jednej latarni do drugiej, jak wymarła ulica w opuszczonym mieście, ale właściwie wcale nie opuszczona i nie zamknięta, tylko przepuszczająca ich, tych, którzy potrafią to zrobić lepiej, otwarta przed tymi, którzy potrafią to zrobić sprawiedliwie, ulica usuwająca się na bok, żeby im nie przeszkadzać, żeby nie zawadzać, a nawet nie poddawać żadnej myśli czy bodaj udzielać (dziękujemy bardzo) rady tym, którzy załatwią to sprawiedliwie i przy pomocy swoich własnych domowych sposobów, skoro to jest ich własny kłopot i ich własny wstyd, i ich własna pokuta; znów się roześmiał, ale teraz nic temu śmiechowi nie brakowało, myślał: To dlatego, że zawsze mają mnie i Alecka Sander a, i pannę Habersham, nie mówiąc już o wujku Gavinie i zaprzysiężonym, zaopatrzonym w odznakę władzy szeryfie — kiedy nagle pojął, że to jest też przynależność — to gorące pragnienie dla nich doskonałości, ponieważ oni należą do niego, a on należy do nich i odtrącanie z furją wszystkiego, co jest o jotę mniejsze niż absolutna doskonałość — to wściekłe, niemal instynktowne skurczenie się w sobie i skok, żeby ich bronić wszędzie i przed wszystkimi, aby samemu, własnoręcznie móc ich bez litości obdrzeć ze skóry, skoro należeli do niego — i nie pragnął nic więcej, jak stanąć wraz z

nimi — niezmienny i niezłomny: we wspólnej hańbie, jeśli hańba być musi, wspólnej pokucie, skoro pokuta na pewno być musi, ale nade wszystko w jednej niezmiennej, trwałej, niezłomnej wspólności: jeden naród, jedno serce, jedna ziemia; więc nagle powiedział:

— Posłuchaj...

I urwał, bo jak zwykle więcej słów już nie było potrzeba.

— Tak? — powiedział wuj. I zaraz, ponieważ on więcej nic nie mówił, powiedział: :— Aha, rozumiem. To nie o to chodzi, że oni mieli słusność, ale że ty się myliłeś.

— Gorzej — powiedział. — Miałem poczucie własnej prawości.

— Nic w tym złego, że się je ma — powiedział wuj. — Być może, to ty miałeś słusność, a oni się mylili. Tylko nie ustawaj-

— Nie ustawać w czym? — zapytał.

— Nic w tym złego, jak się człowiek przechwała i pyszni — powiedział wuj. — Tylko nie ustawaj.

I— Nie ustawać w czym? — powtórzył. Ale wiedział już w czym; zapytał: — Czy nie czas już i na ciebie, żebyś przestał być wywiadowcą?

— Tonie jest wywiadowca—powiedział wuj.— To jest trzeci stopień. Jak się ten stopień nazywa?

— Harcerz orli — powiedział.

— Harcerz orli — powtórzył wuj. — Zawołanie wywiadowcy: Nie zgadzaj się.

Zawołanie orła: Nie ustawaj. Rozumiesz? Nie, to nie tak. Nie zwracaj sobie zresztą głowy, żeby zrozumieć.

Ńie zwracaj sobie nawet głowy tym, żeby nie zapomnieć. Tylko nie ustawaj.

— Ach — powiedział. — Nie potrzebujemy się teraz martwić ustawianiem. Zdaje mi się, że teraz najważniejsze jest to, do czego idziemy i jak.

— Przecież wiesz — powiedział wuj. — Przed piętnastoma minutami sam powiedziałeś, już nie pamiętasz? Że czego to pan Hampton i Lucas użyją jako przynęty, żeby złapać Crawforda Gowrie w taką pułapkę, żeby pan Hampton mógł go przytrzymać. Więc użyją Lucasa.

Pamiętał to potem: obaj z wujem stali obok samochodu szeryfa w uliczce za więzieniem i patrzyli, jak Lucas z szeryfem wyłaniają się z bocznych drzwi więzienia i idą w ich stronę przez ciemne podwórko. Podwórko było naprawdę całkiem ciemne, bo światło latarni z rogu nie sięgało tak daleko i nie dobiegał tak daleko żaden dźwięk; minęła dopiero dziesiąta i był jeszcze poniedziałkowy wieczór, pod ciemną czarą nieba niby w próżni pod szklanym kloszem stary ślubny bukiet leżało miasto, Rynek, który był bardziej niż wymarły — opuszczony, o czym sam się przekonał, bo poszedł zaraz popatrzeć na Rynek, zostawiając wuja na rogu uliczki.

— Dokąd idziesz?! — zawołał za nim wuj, ale on nawet nie odpowiedział idąc już ostatnią milczącą i pustą przecznicą, wdzwanając się rozmyślnie jawnymi krokami w głuche milczenie, idąc niespiesznie, idąc sam, choć wcale nie samotnie, przeciwnie — wiedząc i czując, że jest nie dzierzawcą, ale właścicielem, wicekrólem, a jed-

nak przyjmując to z pokorą —r chociaż sam z siebie nie ma siły, przynajmniej jest naczyniem jakiejś siły, jak aktor wyglądający zza kulis albo spoglądający z pustej galerii w dół, na scenę jeszcze pustą, zastawioną dekoracjami, ale jeszcze bezludną, na którą jednak za chwilę wejdzie i na której zajmie miejsce w samym ognisku akcji ostatniego aktu, sam przez się pie będąc niczym i grając może nie w żadnej wielkiej sztuce, ale właśnie w tej, w której gra i którą ma zakończyć, dorysować i zdjąć ze sceny pełną, bezpieczną i całą; więc szedł dalej w ciemności na pusty Rynek i zatrzymał się, kiedy tylko mógł już z zupełną łatwością jednym spojrzeniem przeniknąć cały ten czarny, zamarły czworokąt z jednym na całej swojej przestrzeni światłem, palącym się w barze otwartym przez całą noc ze względu na dalekobieżne ciężarówki, którego (tego baru) prawdziwym uzasadnieniem — jak ktoś powiedział — prawdziwym powodem udzielenia mu licencji przez miasto — było to, że ułatwił nocne cziiwanie zastępcy Willy'ego Ingrama, który, Ghociaz miasto wybudowało mu w uliczce małą budkę-biuro z piecykiem i telefonem, zamiast siedzieć w niej, urzędował w barze gdzie miał z kim pogadać i gdzie można go było złapać telefonicznie, a ponieważ niektórym ludziom, szczególnie starszym damom, nie podobało się to, że wywoływano do nich policjanta z nocnej knajpy, gdzie był automat muzyczny, połączono jego telefon z wielkim wiszącym na zewnątrz na murze dzwonem alarmowym, który dzwonił wystarczająco głośno, żeby

go usłyszał w barze kelner albo szofer jakiejś ciężarówki i żeby powiedział policjantowi; prócz światła z baru były jeszcze dwa oświetlone okna na pierwszym piętrze (i pomyślał, że panna Habersham oczywiście w końcu zdołała*namówić wuja, żeby jej dał klucz od kancelarii, i zaraz przyszło mu do głowy, że się myli, że tb wujowi się udało ją namówić, żeby wzięła klucz, bp ona by tak samo dobrze poczekała na nich w zaparkowanej półciężarówce — po czym dodał: gdyby . czekała — bo w tym już na pewno się mylił, a naprawdę to było tak: wuj zamknął ją w kancelarii na klucz, żeby Lucas i szeryf mieli czas wyjechać z miasta), ale jeśli światło w kancelarii • adwokata miało prawo się palić, ilekroć sam adwokat albo jego woźny, zapomniał je zgasić wychodząc, a bar tak jak elektrownia był instytucją publiczną, to ani jedno, ani drugie światło się nie liczyło, a i bar był tylko oświetlony (nie mógł stąd zajrzeć do środka, ale gdyby muzyka grała, byłby ją i tutaj dosłyszał, więc pomyślał o tym, że oficjalne wyłączanie na dwanaście godzin automatu muzycznego prawdopodobnie było pierwszą urzędową czynnością nocnego policjanta, obok obowiązku dziurkowania co godzina swojej karty w kontrolnym zegarze przytwierdzonym do muru obok bocznego wyjścia z banku, co robił od czasu paniki wywołanej w zeszłym roku w sierpniu zjawieniem się wściekłego psa), i przypomniał sobie inne, normalne poniedziałkowe wieczory, kiedy to z podokręgu czwartego (ani pierwszego bądź drugiego, trzeciego czy piątego, czy zresztą

choćby z samej dzielnicy podmiejskich klasycy- stycznych portyków) nic waliła się z rykiem żadna żądza krwi czy zemsty, żadna furia rasowej czy klanowej solidarności, żeby wśród wiekowych ceglanych murów i starych drzew, i doryckich głowic zbudzić szcęk i łoskot i przynajmniej na jedną noc nimi wstrząsnąć; o dziesiątej wieczorem w poniedziałek, chociaż pierwszy seans filmu skończył się w kinie już czterdzieści czy pięćdziesiąt minut temu, można jeszcze było spotkać paru stałych bywalców, którzy późno przyszedli i dopiero teraz wracali do domu, i wszystkich tych młodych ludzi, którzy do tej pory siedzieli w drugistorze nad coca-colą wrzucając od czasu do czasu pięcio- centówki do muzycznego automatu, a teraz wło- , czyli się jeszcze bez poczucia czasu, bez pośpiechu i bez celu, bo dla nich celem i przeznaczeniem była sama ta majowa noc, i nieśli ze sobą ten cel i przeznaczenie wałęsając się majową nocą — a (jako że był to dzień targu bydłęcego) ponadto może jeszcze parę zapóźnionych samochodów osobowych i ciężarówek, których pasażerowie zostali w mieście, żeby też pójść na film czy żeby odwiedzić krewnych albo przyjaciół i zjeść z nimi kolację, i dopiero teraz rozjeżdżali się na wszystkie strony ciemnej odwijającej mile ziemi, w noc, w sen, w jutro; przypomniał sobie nie dalej jak wczorajszą noc, kiedy to też myślał, że Rynek jest pusty, zanim miał czas przez .chwilę mu się przysłuchać i przekonać się, że wcale nic jest pusty — była noc niedzielna, ale z więcej niż niedzielnej nocy spokojem, a prawdę mówiąc ze

286

spokojem, który nie miał nic wspólnego z żadną nocą, a ze wszystkich nocy już na pewno nie miał nic wspólnego z niedzielną nocą, która tylko dlatego była nocą niedzielną, że kalendarz wprowadzono już przedtem, zanim szeryf przywiózł Lucasa do więzienia: pustka, którą by można nazwać pustką, gdyby się nazywało próżnym i pustym pole przed uszykowaną armią, milczące i bez życia, albo gdyby się nazywało spokojnym i bezpiecznym przedsiónek magazynu z dynamitem albo spokojną otchłań pod spustami tamy — to było uczucie nie oczekiwania, ale przybywania, i to nie ludzi: kobiet i starców, i dzieci, ale mężczyzn, nie tyle chmurnych, co poważnych, nie tyle niecierpliwych, co spokojnych, siedzących spokojnie i nawet za wiele nie rozmawiających, siedzących w salkach od tyłu, a nie tylko w kabinach kąpielowych i toaletach w głębi zakładu fryzjera i w szopie za domem gry, zapchanej skrzynkami napojów chłodzących i zarzuconej pustymi butelkami po whisky, ale w magazynach sklepów i po garażach, i za zaciągniętymi zasłonami samych biur, które przez szefów nawet, samych właścicieli tych składów i garaży, uważane były nie za miejsca handlu, ale przybytki samej godnej profesji, nie czekających bynajmniej na wydarzenia, które czas im za moment przyniesie, ale na moment czasu, w którym oni sami w mimowolnym niemal porozumieniu utworzą to wydarzenie i będą mu przewodniczyć, a nawet oddadzą się na jego usługi w chwili nic tylko o te sześć czy dwanaście, czy piętnaście

godzin nie spóźnionej, ale będącej wprost kontynuacją tamtej chwili, w której kula przeszła Vinsona Gowrie, kontynuacją, bo między tymi dwiema chwilami nie upłynął wcale czas i tym sposobem wszystko wskazywało na to, że Lucas jest już martwy, gdyż umarł wtedy, w tej samej chwili, w której utracił prawo do życia, a im pozostawało tylko przewodniczyć na jego sati *, a teraz, dziś w nocy, pamiętać, bo jutro będą już to mieli za sobą, jutro, oczywiście, Rynek się obudzi i otrząśnie, minie jeszcze jeden dzień i Rynek zmyje z siebie ślad wczorajszego przepicia, minie jeszcze jeden dzień i jeszcze, a zniknie nawet wstyd, tak że w sobotę cały okręg z bezbłędną jednomyślnością cykania jednego mechanizmu i pulsowania jednego organizmu i w beztróskim rozgwarze zaprzeczy nawet, że kiedykolwiek istniała chwila, w której się mogli mylić — więc nie potrzebował nawet przypominać sam sobie w tej absolutnej, najwyższej i zupełnej ciszy, że miasto nie jest martwe czy choćby opuszczone, ale tylko cofnęło się robiąc miejsce tej prostej domowej sprawie, która musi być załatwiona prostym domowym sposobem bez czyjejś pomocy czy wtrącania się, czy choćby (dziękujemy bardzo) rad; załatwione przez trzy osoby zgola do tego niepowołane — jedną białą starą pannę, jednego białego chłopaka i jednego czarnego, którzy zdemaskowali potencjalnego mordercę Lucasa —, a także przez samego Lucasa i szeryfa okręgu, którzy chwyтали teraz tego mordercę, działając na koniec razem; przypomniał sobie słowa wuja, kiedy on sam stojąc boso na dywaniku miał w palcach oba brzegi nie rozpiętej koszuli pół godziny temu i kiedy jedenaście godzin temu wspinali się na sam szczyt wzgórza ku kościołowi, i te tysiące chyba innych razy, 'odkąd tylko był na tyle duży, żeby słuchać |i rozumieć, i pamiętać: ...bronić nie Lucasa czy nawet jedności Stanów Zjednoczonych, ale bronić Stanów Zjednoczonych przed obcymi z Północy, Wschodu i Zachodu, którzy kierując się najwznioślejszymi (powiedzmy) motywami i intencjami próbują doprowadzić• Stany Zjednoczone do rozłamu w czasach, w których żaden naród nie śmiałyby zaryzykować rozłamu, i posługują się prawami federalnymi i federalną policją, żeby położyć kres haniebnej sytuacji Lucasa; może nie być wśród jakiegokolwiek przypadkowo wybranego tysiąca Południowców ani jednego, który by rzeczywiście nad tą sytuacją bolał czy choćby się nią przejmował, tym niemniej zamsze znajdzie się wśród nich jeden gotów sam własnoręcznie zlinczować Lucasa, obojętne za °9» a żaden z tych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu plus tamten jeden, co czyni cały tysiąc, "e zawaha ńę odepchnąć z całą swoją siłą (wśród nich wciąż i ten jeden, który gotów jest dokonać mczu) obcego> który by ńę tu zjawił, żeby przemocą Werweniować czy tego jednego ukarać... Mówisz * l^onią): Musisz dobrze znać Sambo, jeśli uwa- z^l e możesz być taki spokojny, taki pewny tego,

że on pozostanie bierny, a ja odpowiadam: Nie znam go wcale i—według mnie—żaden biały go nie zna, ale znam białych z Południa, nie tylko tamtych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, ale • i tego jednego, bo ten jeden też do nas należy — i co więcej — ten jeden istnieje tylko na Południu... zobaczysz występujące przeciwko garstce białych na Południu nieć Północ zjednoczoną ze Wschodem i Zachodem, i z Sambo, ale całe papierowe przymierze teoretyków i fanatyków, prywatnych i osobistych mścicieli plus pewna jeszcze liczba innych, którym się będzie zdawało, że są oddaleni o wystarczającą ilość mil, aby móc nam przeciwstawić swoje poglądy, i nawet może zobaczysz, jak tamci liczbą przewyższają zjednoczone Południe, które chcąc nie chcąc czerpać będzie posiłki z twoich własnych odwodów, i to nie z jakiegoś tam zaplecza, ale ze wspaniałych twoich miast, dumy twojej kultury, z miast takich, jak Chicago i Detroit, i Los Angeles, i zewsząd, gdzie tylko jeszcze są ciemni ludzie lękający się wszelkiego koloru skóry czy kształtu nosa innego niż ich własny i czepiający się tej sposobności, żeby zwrócić przeciw 'Sambo cały swój nagromadzony dziedziczny wstręt i całą swoją pogardę i strach przed Indianami i Chińczykami, i Meksykanami, i mieszkańcami Wysp Karaibskich, i przed Żydami, zmusicie nas, tego jednego z pierwszego przypadkowo wybranego tysiąca i tych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu z drugiego tysiąca, którzy naprawdę boleją nad haniebną sytuacją Lucasa, przejmują się nią i chcieliby ją naprawić, i naprawiali, naprawiają i będą nadal

290

naprawiali, aż (nie jutro może) sytuacji tej położą kres, być może nie po to, żeby poszła w niepamięć, ale żeby wspomniano ją z mniejszym bólem i goryczą, skoro sprawiedliwość będzie Wymierzona Lucasowi przez nas samych, a nie wydartą nam i narzuconą mu z pomocą bagnatów — zmusicie nas, wbrew naszej woli, do przymierza z ludźmi, z którymi nic nas nie łączy, w obronie zasady, która nas samych boli i przeraża... musimy tę sprawę załatwić, i to załatwić ją sami bez pomocy albo czyjegoś wtrącania się, czy choćby (dziękujemy bardzo) rad, bo tylko my możemy to zrobić, jeżeli równość Lucasa ma być czymś więcej niż sama sobie więzieniem za nieprzeniknionym murem pierwszego pokolenia dziedziców zwycięstwa z lat tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden — tysiąc osiemset sześćdziesiąt pięć, które prawdopodobnie więcej nawet niż John Brown *przyczyniło się do zablokowania sprawy wolności Lucasa w martwym punkcie, w którym wciąż zdaje się tkwić już od stu lat, od czasu kapitulacji Lee*... a kiedy mówicie, że nie wolno, aby Lucas czekał na to jutro, ponieważ to jutro nigdy nie nastąpi, bo wy nie tylko przybliżyć go nie możecie, ale nie chcecie, to my możemy tylko powtórzyć: To nie wasza sprawa — i powiedzieć wam: Przyjdźcie tu i przyjrzyjcie się nam — zanim się zdecydujecie; a wy odpowiadacie: O nie,

dziękujemy, ten smród i stąd czuć aż za dobrze — więc my mówimy: Ale jednak, może zechcecie obejrzeć sobie przysze łupy, dom, który kiedyś szykujecie się splądrować, naród skłócony, w czasie kiedy historia wciąż nam udowadnia, że przedsiönkiem zagłady jest rozłam — a wy mówicie : Przynajmniej my zginiemy w imię ludzkości — i odpowiadamy wam: Jeśli wszystko legnie w gruzach prócz tego zaimka osobowego w pierwszym przypadku i tego czasownika, jakąż wtedy będzie cena za człowieczeństwo Lucasa, i zawrócił, pobiegł z powrotem krótką, wymarłą, pustą przecnicą do rogu, za który przedtem nie czekając na niego skręcił wuj, przebiegł uliczkę spiesząc do miejsca, gdzie stał samochód szeryfa, a potem obaj z wujem patrzyli, jak szeryf i Lucas idą ku nim przez ciemne podwórko, szeryf pierwszy, a Lucas jakieś pięć stóp za nim, nie prędko, ale energicznie, nie ukradkiem i nie skradając się, właśnie tak, jak idą dwaj mężczyźni po* prostu zajęci, właściwie nie śpiesząc się, ale nie mając czasu do mitrężenia, jak przechodzą przez furtkę i na ukos skracają sobie drogę do samochodu, przy którym szeryf zatrzymał się i otwierając tylne drzwiczki powiedział:

. — Wsiadaj.

Lucas wsiadł, szeryf zamknął za nim drzwiczki, otworzył przednie i odchrząkując wgramolił się do samochodu, a cały samochód przysiadł na resorach i kołach, kiedy opuszczał się na swoje miejsce, przekręcił kluczyk i zapalił motor, a wuj stał teraz przy szybie i trzymał krawędź tej szyby obiema rękami, jakby przypuszczał czy sobie nagle wyobraził, że przytrzyma ten samochód i nie da mu ruszyć, i mówił to, o czym on myślał i przestawał już myśleć, i myślał znów od trzydziestu czy czterdziestu minut:

— Weź pan kogoś ze sobą.

— Wziąłem — powiedział szeryf. — Zdaje się, żeśmy to wszystko ustalili już ze trzy razy dziś po południu.

— Żeby pan Lucasa nie wiem jak liczył, to zawsze tylko będzie jeden — powiedział wuj.

— Niech mi pan da mój pistolet —*- powiedział Lucas—i nikomu nie będzie trzeba nikogo liczyć. Już ja policzę.

Przyszło mu do głowy, że pewno szeryf już wiele razy powtarzał Lucasowi, żeby się zamknął, co może było powodem, że nie powiedział tego teraz — ale (nagle) zrobił to, powoli i ciężko, i pomrukując odwrócił się na swoim miejscu, obejrzał się na Lucasa ciężko wzdychając i powiedział żalonym głosem:

—; I po tym całym piwie, coś go sobie nawarzył w sobotę przez samo sterczenie tam z tym pistoletem w kieszeni i oddychanie tym samym powietrzem, co jeden Gowrie, teraz chcesz z tym pjestoletem w rękę wleźć na drugiego Gowrie. Masz przestać gadać i siedzieć cicho, a jak będziemy dojeżdżać do mostu Whiteleafa, masz się położyć na podłodze za mną za oparciem i dalej siedzieć cicho. Słyszysz, co mówię?

— Słyszałem, co pian mówił — powiedział Lucas. — Ale jakbym miał swój pistolet...

Tymczasem jednak szeryf odwrócił się już do wuja:

— I żebyś pan nie wiem ile razy liczył Crawforda Gowrie, to on też wciąż jest tylko jeden — i mówił dalej tym swoim łagodnym, wzdychającym, niechętnym głosem, odpowiadając jednak na myśli wuja, zanim wuj jeszcze zdążył je wypowiedzieć, zapytać: — Kogo złapie? — a i on też to samo pomyślał przypominając sobie ten przeciągły, Zgrzytliwy wizg opon po asfalcie, głos oszalałych samochodów osobowych i ciężarówek rozpierzchających się na łeb, na szyję, uciekających w osłupiałym przerażeniu, w nieodwracalnej ucieczce, miotających się we wszystkich kierunkach ku najodleglejszym, niewidocznym na mapie schronieniom, jakie można było znaleźć w tym okręgu, omijających tylko małą wysepkę w podokręgu czwartym znaną pod nazwą Calc- donia Church, pędzących ku schronieniu — temu, co dawne, znane, bliskie, ku domowi, gdzie kobiety i starsze dziewczęta, i dzieci doją krowy i rąbią drzewo na jutro rano, a maleństwa przyświecają im trzymając latarnie, i gdzie mężczyźni i starsi synowie, kiedy nakarmią już muły przed jutrzejszą orką, siadają czekając na kolację na frontowym ganku w zapadającym zmierzchu — lelki — noc — sen — niemal to' widział (przypuśćmy nawet, że jakieś szaleństwo mordercy przywiedzie jeszcze kiedyś Crawforda Gowrie w zasięg kikuta fcmtej ręki, w co ponieważ Crawford też jest jednym z Gowrie'ch — tak samo, jak szeryf, nie wierzył — i teraz już wiedział, dlaczego w sobotę po południu Lucas w ogóle wyszedł żywy ze sklepu Frasera, -nie mówiąc już o tym, że wyszedł cało z samochodu szeryfa przed więzieniem: to sami Gowrie już przedtem wiedzieli, że on tego nie zrobił, więc udawali tylko i czekali, aż kto inny, może Jefferson, wywlecze go na ulicę; po czym przypomniał sobie — -w mgnieniu czegoś jak wstyd — niebieską koszulę przykucającego człowieka i niezręczną, sztywną, jedyną rękę usiłującą wytrzeć mokry piasek z martwej twarzy i wiedział już, że cokolwiek ten oszalały, stary człowiek pomyśli jutro, to wówczas nie zamyślał nic przeciwko Lucasowi, - bo wówczas na nic nie było miejsca poza jego synem) — noc i pewno stołowy pokój, i znów pewno siedmiu Gowrie'ch, siedmiu mężczyzn w tym domu od dwudziestu lat bez jednej kobiety, siedmiu, bo JForrest wczoraj przyjechał z Vicksburga na pogrzeb i prawdopodobnie jeszcze tam był dziś rano, kiedy szeryf wysłał do starego Gowrie wiadomość, żeby spotkał się z nim przy kościele, a pośrodku stołu zapalona lampka wśród zaskorupiałych cukierni- czek, garnków z melasą i ostrym sosem, wśród soli i pieprzu w tych samych opakowaniach z banderolami', w których przyniesiono je ze sklepu, a ten stary człowiek na prezydialnym miejscu przy stole, trzymając jedyną rękę na tym wielkim pistolecie, ogłasza wyrok, przekleństwo i wykonanie wyroku na tym z Gowrie'ch, który przekreślił własną przynależność do Gowrie'ch krwią swojego brata — a potem ciemna droga, ciężarówka (tym razem nikomu nie zarekwirowana^bo Vinson

miał własną, nową, wielką, potężną ciężarówkę, którą można byłoby przystosować do przewożenia drzewa, kłoców albo bydła), za kierownicą prawdopodobnie ten sam, co wtedy, bliźniak, i ciało zwalone na podłogę jak kłoda przymocowana ciężkimi łańcuchami, i szybka jazda z Caldonii, z podokręgu czwartego do ciemnego, milczącego, czekającego miasta, potem spokojną ulicą, przez Rynek, do domu szeryfa, i ciało zwalone i ciśnięte na frontowy ganek domu szeryfa, podczas kiedy ciężarówka może nawet czeka, aż drugi bliźniak zadzwoni do drzwi.

— Już niech się pan nie martwi Crawfordem — powiedział szeryf. — On nic przeciwko mnie nic ma. Na mnie głośuje. Ma teraz tylko kłopot ten, że musi dodatkowo zabijać facetów, jak na przykład tego Jake'a Montgomery'ego, kiedy w ogóle tylko o to mu chodziło, żeby Vinson go nie nakrył na tym, że podkrada drzewo jemu i wujowi Sudleyowi Workittowi. Nawet gdyby mi wskoczył na stopień, zanim się połapię, to i tak będzie musiał stracić minutę czy dwie, żeby otworzyć drzwiczki i sprawdzić, gdzie* jest Lucas — o ile tylko Lucas do tej pory dobrze się postara i naprawdę zrobi to, co mu mówiłem, a dla jego własnego dobra, radzę mu to zrobić.

— Ja zrobię — powiedział Lucas. — Ale jakbym tylko miał swój...

— Tak — powiedział wuj ochrypłym głosem — jeśli tylko on tam będzie.

Szeryf westchnął.

— Dał pan mu już znać?

— Zrobiłem, co mogłem — powiedział wuj. — I jak mogłem. Wyzaczyłem spotkanie mordercy z policjantem w taki sposób, że ten, kto mu to w końcu powtórzy, nie będzie nawet wiedział, że była przeznaczona dla mordercy, i sam morderca nie tylko będzie przekonany, że ta wiadomość nie była dla niego przeznaczona, ale i uwierzy, że jest prawdziwa.

— No, cóż — powiedział szeryf — albo do niego dojdzie, albo nie i albo uwierzy, że jest prawdziwa, albo nie uwierzy i albo będzie na nas czekał pod mostem Whiteleafa, albo nie będzie, a jeżeli nie będzie, dojedziemy obaj z Lucasem do szosy i Wrócimy do miasta. — Włączył silnik i zostawił go na wolnych obrotach; zapalił już światła. — Ale może tam być. Ja też mu wysłałem wiadomość.

— W porządku — powiedział wuj. — A to dlaczego, panie Bones?

— Powiedziałem burmistrzowi, żeby zwolnił dziś Willy'ego Ingruma, żeby Willy mógł dziś wieczorem • jechać i załatwić sprawę drugiego pogrzebu Vinsona, a zanim Willy się zabrał, powiedziałem mu w tajemnicy, że mam zamiar dziś wieczorem przewieźć' Lucasa do Hollymount, żeby Lucas mógł jutro zeznawać w sprawie Jake'a Montgomery'ego, i że będę jechał przez stary skrót do mostu Whiteleafa, i przypomniałem Willy'emu, że droga do wąwozu nie jest jeszcze skończona, więc samochody muszą tamtędy przejeżdżać na pierwszym biegu, i powiedziałem mu, żeby na pewno nikomu o tym nie pisał ani słowa.

— Och — powiedział wuj nie puszczając jeszcze całkiem tych drzwi. — Obojętne, kto tam mógł mieć jakieś prawa do Jake'a Montgomery'ego, kiedy żył, teraz on należy do okręgu Yoknapatawpha. No, ale — dodał teraz z ożywieniem, puszczając już te drzwiczki — nie szukamy w tej chwili prawnika, tylko mordercy. W porządku — powiedział. — Dlaczego pan nie rusza? — Zaraz — powiedział szeryf. — Idź no pan do swojej kancelarii i rozejrzyj się za panną Eunice. I ją mógł Willy mijać na ulicy, a jeśli go spotkała, to bardzo możliwe, że w tej swojej półcięzarówce jeszcze przed nami będzie na moście Whiteleafa.

Więc wrócił na Rynek i przeszli go teraz na przełaj do miejsca, gdzie pusta półcięzarówka stała przednimi kołami na chodniku, zresztą też pustym, i weszli na górę wśród milknącego głuchego jęku i trzasku schodów ku otwartym drzwiom kancelarii, przez które przechodząc pomyślał bez zdziwienia, że panna Habersham jest chyba jedyną kobietą, jaką zna, która zaraz po otworzeniu cudzych drzwi wyjmując pożyczony klucz z zamka i nie zostawia go na pierwszej napotkanej płaskiej powierzchni, ale wkłada z powrotem do torebki czy kieszeni, tam gdzie go włożyła, kiedy go jej pożyczono, i nie siada na krześle przy stole; nie siedziała na krześle przy stole, siedziała sztywno wyprostowana, w tym samym kapeluszu, tylko w innej sukni, zupełnie zresztą takiej samej, jak ta, którą miała na sobie wczoraj wieczorem, i trzymała na kolanach tę samą torebkę, zaciskając na niej rękę w tych

^HHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHHH

swoich rękawiczkach po osiemnaście dolarów para, a na podłodze, u stóp najbardziej niewygodnego, najtwardszego krzesła w tym pokoju równo stały obok siebie jej stopy w pantoflach po trzydzieści dolarów para, na płaskich obcasach, u stóp krzesła ustawionego przy drzwiach, na którym nikt nigdy naprawdę nie siadał, żeby biurko nie wiem jak było zatłoczone, a przesiadła się w fotel przy stole dopiero wtedy, kiedy wuj po dobrych dwóch minutach nalegań wytłumaczył jej wreszcie, że to może potrwać ze dwie czy trzy godziny, bo kiedy tylko weszli, otworzyła* swój złoty, ozdobny, przypięty do piersi zegarek myśląc chyba, że do tej pory szeryf już nie tylko powinien być z powrotem z Crawfordem Gowrie, ale może nawet po zakończonej sprawie i z wyrokiem w ręku w drodze do więzienia; więc on usiadł na swoim miejscu obok zbiornika z wodą do picia, a wuj zdołał wreszcie zapalić zapalką fajkę mówiąc wciąż, i nie tylko poprzez dym, ale w dym, i wypuszczając słowa razem z dymem:

— ...co się wydarzyło, bo trochę z tego, co się wydarzyło, to my nawet wiemy, choćby tyle, że nam w końcu Lucas powiedział, mimo że jak* jaki detektyw czy szpieg międzynarodowy dobrze uważał, żeby nam nic takiego nie powiedzieć, co by wyjaśniło jego postępowanie, nie mówiąc już

0 tym, że dowiodłoby jego niewinności; Vinson

1 Crawford'byli współnikami i kupowali drzewo od starego Sudleya Workirta, jakiegoś tam dziesiątego pociotka czy wuja pani Gowrie albo coś w tym rodzaju, a więc ułożyli się ze starym

Sudleyem o cenę od jednego sąga, ale że zapłacą mu wtedy, jak drzewo będzie sprzedane, a sprzedadzą nic wcześniej, jak wszystko zostanie porznięte i dostarczone przez Yinsona i Crawforda i jak oni dostaną swoje pieniądze, i mieli wynająć tartak i drwali do ścinania drzew, i mieli to drzewo ciąć i układać tam na miejscu, nie dalej jak milę od domu starego Sudlcya, i ani wióra mieli nie ruszyć, dopóki wszystkiego nie zetną. Ale — tylko że tego to my właściwie jeszcze nie wiemy, póki Hampton nie dostanie w swoje ręce Crawforda — chociaż to musiało być tak, bo inaczej skąd byście, u licha, mogli się dokopać Jake'a Montgomery'ego w grobie Vinsona? I ile razy pomyślę o tej części całej tej historii i sobie przypomnę, jak to we troje wróciliście z góry na to właśnie miejsce, gdzie dwoje was słyszało, a jedno nawet widziało, jak przejeżdżał ten człowiek, co już z trupem jednej- swojej ofiary na siodle muła przed sobą przeżył taką niespodziewaną i nie znoszącą chwili zwłoki zmianę całego planu, że kiedy ledwie sześć godzin potem zajechaliśmy tam z Hamptonem, to w tym grobie już nikogo nie było...

— Ale on tego nie zrobił — powiedziała panna Habersham.

— Co? — zapytał wuj. — ...Na czym to ja skończyłem? Aha... tylko że Lucas Beauchamp, kiedy któregoś wieczora wyszedł się przejść, coś usłyszał i poszedł tam, i zobaczył' albo może właśnie tamtędy przechodził i zobaczył, albo może już się domyślał i to dlatego poszedł się przejść, i to akurat tam i tamtego wieczora, i zobaczył, że na jakąś ciężarówkę, którą może poznał, może nie, ktoś ładuje to drzewo, o którym wszyscy w okolicy wiedzieli, że ma zostać na miejscu, póki nie zwinie się i nie przeniesie całego tartaku, co jeszcze nie tak zaraz miało nastąpić, więc Lucas popatrzył i posłuchał, i może nawet chodził do okręgu Crossman do Glasgow i do Hollymount, aż dowiedział się na pewno, nic tylko kto co noc przewozi po trochu to drzewo, po trochu, niewiele na raz, nie tak dużo, żeby ktoś, kto tam nie co dzień przychodził, mógł zauważyć (a z tych, co tam byli co dzień czy co się tym drzewem na tyle interesowali, był tam Crawford, reprezentujący siebie i swojego brata, i wuja, właścicieli tego lasu, a więc i tych desek, którzy jako właściciele mogli robić z tymi deskami, co im się podobało, i z których jeden całymi dniami uganiał się po okolicy, za swoimi pilnymi interesami, a drugi to był staruszek po pierwsze pokręcony reumatyzmem, a po drugie na pół ślepy, co by niczego nie dojrzał, gdyby nawet zaszedł tak daleko od domu — no i ci tracze najęci na dniówkę, których by to nic nie obchodziło, nawet jakby wiedzieli, co tam się robi po nocy, byleby dostali co sobota swoje pieniądze), ale dowiedział się też, co ten ktoś robi z tym drzewem, i może nawet po tropie doszedł już do Jake'a Montgomery'ego, chociaż to, że Lucas wie o Jake'u, nic nie zmieniało, tylko tyle, że Jake prawdopodobnie uratował Lucasowi życie przez to, że został zamordowany i że wpakowano go do grobu Vinsona. Ale nawet kiedy mi już Hope opowiedział tyle, ile wreszcie wyciągnął

z Lucasa u siebie w kuchni dziś rano, kiedy Will Legate przywiózł go z więzienia, a my panią odwoziliśmy do domu, to jeszcze nie wyjaśniało wszystkiego, bo wciąż jeszcze powtarzałem to samo, co powtarzałem od tamtej chwili kiedyście mnie dziś rano wszyscy troje obudzili i Chick mi powiedział, co Luca mówił mu o tym pistolecie, cie — dlaczego to był Vinson? Dlaczego Crawford musiał zabić Vinsona, żeby pozbyć się świadka swojej kradzieży? Nie żeby mu się miało nie udać ten pomysł z Lucasem, bo Lucas właściwie powinien był umrzeć, kiedy tylko pierwszy biały zobaczył go nad ciałem Vinsona z kieszenią wypchaną tym pistoletem, ale dlaczego on, to zrobił w ten sposób, dziwaczny, nie mieszczący się w głowie okrężną drogą bratobójstwa? Więc teraz, kiedyśmy mieli naprawdę trudny problem do obgadania z Lucasem, poszedłem dziś po południu do Hamptona, wchodzę do kuchni, a tam sobie siedzą przy stole z jednej strony kucharka Hamptona, z drugiej Lucas i zajadają placki kukurydziane i jarzyny nie z talerza, ale wprost z dwu-galonowego garnka, więc powiedziałem:

“— .Więc on cię jednak nakrył... to znaczy, nie, mam na myśli Crawforda...”

A on mówi:

“— Tak. Ja też mam na myśli Vinsona. Ale za późno już było, ta ciężarówka już była naładowana i jechała prędko i bez reflektorów, i w ogóle, a on powiada: «Czyja to ciężarówka?», a ja na to nic”.

„— No dobrze SI ja mówię -1- co dalej?”

„— To wszystko — Lucas mówi — dalej nic”.

“— Miał strzelbę?”

„— Nie wiem :— mówi Lucas. — Miał kij”.

A ja mówię:

“— Dobrze, mów dalej” . .

A on mówi:

“— Dalej nic. Zamachnął się tym kijem, postął tak z minutę i mówi: «Powiedz mi, czyja to była ciężarówka®, a ja nie mówię nic, to on opuścił ten kij i zawrócił, i tyle go widziałem” . .

“— Więc wzięłeś swój pistolet — powiedziałem — i poszedłeś” — a on mówi:

“— Wcale nie musiałem nigdzie chodzić. Przychodzi on do mnie, teraz to ja mówię o Crawfordie, na drugi wieczór przychodzi on do mnie do domu i już mnie chce płacić, żebym mu mówił, czyja to była ciężarówka, już mnie chce płacić kupę pieniędzy, pięćdziesiąt dolarów, już mnie te pieniądze pokazuje, a ja mówię, że jeszcze nie jestem taki pewny, czyja to była ciężarówka, a on mówi, że tak czy owak, to on mi te pieniądze zostawi, póki ja nie będę pewny, a ja mówię, że ja już jestem pewny, co ja zrobię, że ja poczekam do jutra, a to było w piątek wieczorem> aż będę miał jakiś dowód, że pan Workitt i Vinson dostali swoją część pieniędzy za to brakujące drzewo”.

“— Tak? — powiedziałem. — I co dalej?”

„— A potem pójdę i powiem panu Workittowi, żeby on lepiej...”

“— Powtórz —■ powiedziałem. — Pomału”.

“— Powiem panu Workittowi, żeby on lepiej liczył swoje deski”.

“— I to ty, Murzyn, wybierałeś się do białego, żeby mu powiedzieć, że jego krewniacy go okradają... i do tego jeszcze do białego z czwartego podokręgu. Nie wiesz, na co się narażałeś?”

“— Na nic wcale się nie narażałem — on mówi — bo zaraz na drugi dzień, w sobotę, dostaję kartkę...”

I wtedy już powinienem był wiedzieć wszystko

o tym pistolecie, bo Gowrie najwidoczniej o tym wiedział, przecież z pewnością nic napisałby w tej kartce: “Skradzione pieniądze oddałem, chciałbym, żebyś to sam sprawdził, przyjdź z pistoletem

1 nie rób trudności” — czy coś podobnego, więc mówię:

“— Ale dlaczego z pistoletem?”

A on mówi: “— To była sobota”.

A ja mówię:

Tak, dziewiątego. Ale dlaczego miałeś ten pistolet?” «r- I zaraz już wiedziałem, mówię: * — Już wiem. Nosisz pistolet, kiedy wkładasz lepsze ubranie na sobotę, tak jak go nosił stary Caro- thers, zanim oddał go tobie”.

A on mówi:

“— Zamm sprzedał go mnie”.

A ja mówię;

“~r- Dobra, dobra, mów dalej”.

I cm mówi:

n — ...dostałem wiadomość, żeby się z nim spotkać w tym sklepiku, ale...”

I znów wuj zapalił zapałkę i rozpałał fajkę mówiąc dalej, a to, co mówił, przechodziło przez cybuch fajki razem z dymem, przy czym prawie widać było te słowa:

— Ale w ogóle nie doszedł do sklepiku, bo Crawfórd siedział już w lesie na pieńku przy ścieżce i czekał, zanim jeszcze Lucas zdążył na dobre wyjść z domu, i teraz to Crawfórd zajął się tym pistoletem — zanim jeszcze Lucas zdążył powiedzieć dzień dobry albo zapytać, czy Vinson i pan Workitt są zadowoleni, że dostali pieniądze, czy w ogóle zanim zdążył powiedzieć słowo, Crawfórd powiedział: “Choćby nawet ten pistolet zdołał wystrzelić, to i tak pewno nic będziesz nim mógł do niczego trafić”, no, a teraz to pewno pani sama sobie potrafi dopowiedzieć do końca; Lucas opowiedział, że w końcu Crawfórd postawił pół dolara o zakład, że Lucas nie trafi w ten pieńek z odległości piętnastu stóp, ale Lucas trafił, więc Crawfórd dał mu te pół dolara i podeszli jeszcze dwie mile w stronę sklepiku, a wtedy Crawfórd kazał tam Lucasowi poczekać, bo pan Workitt miał przysłać do sklepiku pokwitowanie za swój udział w tym brakującym drzewie, więc Crawfórd powiedział Lucasowi, że pójdzie i je Lucasowi przyniesie, żeby mógł je obejrzeć własnymi oczami; więc ja go pytam:

Jeszcze nawet wtedy niczego nie podejrzewałeś?”

A on mówi:

H — Nic. Przeklinał mnie i przeklinał, tak że nic nic można było podejrzewać*!.

I przynajmniej to można sobie dopowiedzieć do końca i bez doszukiwania się jakiejś kłótni między

Vinsonem a Crawfordem, i bez zbytniego łamania głowy można sobie wyobrazić, co Crawford powiedział albo zrobił, żeby być pewnym, że Vinson będzie czekał w sklepiu, i żeby go potem wysłać przodem tą ścieżką; wystarczyło, żeby powiedział: “— Dobra jest. Mam go. Jeżeli wciąż jeszcze nie będzie chciał powiedzieć, czyja to była ciężarówka, to pogadamy z nim inaczej”, bo i to też nie jest ważne, dosyć, że potem Lucas zobaczył, że Vinson nadchodzi ścieżką od strony sklepiu, i to nieźle się spiesząc, jak mówi Lucas, chociaż Lucas pewno chciał powiedzieć, że Vinson był zniecierpliwiony, zdziwiony i zły, ale prawdopodobnie głównie zły, prawdopodobnie zupełnie tak samo, jak Lucas czekał, aż tamten odezwie się pierwszy i wszystko wyjaśni, tylko że, jak mówi Lucas, Vinson pierwszy przestał czekać i jeszcze idąc odezwał się i zdążył powiedzieć: “— Więc się namyśliłeś. Kiedy, jak mówi Lucas, potknął się o coś i machnął kozła prosto na twarz i Lucas przypomina sobie, że wtedy usłyszał strzał i zrozumiał, że to, o co Vinson się potknął, to był jego brat Crawford, a potem byli już tam i wszyscy pozostali, zanim, jak mówi Lucas, zdążył choćby usłyszeć, jak biegną przez ten las, więc powiedziałem:

“— Myślę, że wtedy to już wyraźnie zobaczyłeś, żeś się gotów paskudnie potknąć o Vinsona, niezależnie od tego, czy stary Skipworth i Adam Fraser znajdują się tam pod ręką czy nie”, ale w każdym razie zapytałem go: “Ale dlaczego im wtedy tego nie wytłumaczyłeś?”, więc przynajmniej Lucas nie musiał mi odpowiadać: “Nie wytłumaczyłem czego i komu?” — Więc on był w porządku, nie mówię o Lucasie, oczywiście, tylko o Crawfordzie, nie był to w jego wypadku zwykły pech, ale... — I nagle znów to nastąpiło, a teraz on już wiedział, co to jest, to panna Habersham coś zrobiła, choć nie wiedział co, bo nie było nic słyhać i ona się nie poruszyła, i to nawet nie było to, żeby jeszcze bardziej znieruchomiała, ale coś się z nią stało, choć nic od zewnątrz, tylko od wewnątrz, i ona jakby nie tylko nie była tym wcale zdziwiona, ale jakby to sama spowodowała i rozstrzygnęła o tym nie poruszając się wcale, nawet na tyle, żeby zaczerpnąć głębiej oddechu, przy czym wuj nawet i tyle nie zauważył — ■ ...ale wygląda na to, że z całego rodu ludzkiego jego jednego bogowie wybrali i wyróżnili, aby dowieść nie sobie samym, bo sami nigdy o tym nie wątpili, ale żeby dowieść człowiekowi, posługując się tym najniższym wspólnym mianownikiem, tego, że ma duszę, i doprowadzili go w końcu do tego, że zamordował brata...

— Wrzucił go do kurzawki — powiedziała panna Habersham.

r— Tak — ■ powiedział wuj. — Makabryczne, prawda? ...że zamordował brata przez głupi pech, że jakiś stary Murzyn cierpi na bezsenność, a potem musiał wyplątywać się z tego przy pomocy planu, intrygi prostej i tak bezbłędnie dostosowanej do warunków biologicznych i geograficznych, że ten tutaj Chick by ją nazwał naturalnym splotem wydarzeń, a wreszcie udaremnionej przez

H

fakt, że jakieś dziecko, o którego istnieniu na tym świecie on nawet nie wiedział, cztery lata temu wpadło do strumienia w obecności tegoż cierpiącego na bezsenność Murzyna, tylko że tej części historii właściwie też nie znamy i skoro Jake Montgomery już nam nic nie może opowiedzieć, pewno nigdy nie poznamy, co też nie ma znaczenia i nie zmienia faktu, bo z jakiegoż to innego powodu Jake znalazłby się w grobie Ymsona, jeśli nic dlatego, że kupując drzewo od Crawforda (sprawdziłbyśmy to telegraficznie dziś po południu u ostatecznego odbiorcy w Memphis) wiedział, skąd je brano, musiał wiedzieć, bo było to zgodne z naturą i charakterem Jake'a i w istotny sposób wpływało na jego dochód jako pośrednika, więc kiedy Vinson, wspólnik Crawforda, potknął się nagle śmiertelnie w lesie za sklepikiem Frasera, Jake nie potrzebował kryształowej kuli jasnovidza, żeby z niej wszystko wyczytać, a jeśli to są tylko domysły, to muszą pani wystarczyć albo niech nam pani da coś lepszego, a wtedy chętnie i ja, i pan Hampton odstawimy od swoich; Jake wiedział i o tym dawnym wojennym trofeum Buddy'ego McCalluma, i ze względu na Crawforda wolę przypuszczać... — znów tamto nastąpiło, wciąż nie będąc żadnym znakiem na zewnątrz, ale teraz i wuj to zobaczył czy wyczuł, czy pojął (czy w jakiś inny sposób to uchwycił) i urwał, i nawet przez sekundę zdawało się, że coś powie, ale zaraz w następnej widocznie o tym zapomniał i opowiadał dalej: — ...że, być może, Jake wymienił cenę swojego milczenia i nawet tę cenę uzyskał i wziął

pieniądze albo na razie zadatek, ale może cały ten czas miał zamiar oskarżyć Crawforda o morderstwo i może jednocześnie utrzymywał wszystkie kontakty, żeby dostać więcej pieniędzy, albo może on nie lubił Crawforda i chciał się zemścić, albo może skrupuły nie pozwalały mu się pogodzić z morderstwem, i po prostu wykopał Vinsona, żeby załadować go na muła i zawieźć do szeryfa — w każdym razie tej nocy po pogrzebie ktoś, kto miał istotne powody, żeby wykopać Vinsona, wykopał go, i tym kimś musiał być Jake, a ktoś, kto nie tylko nic chciał, żeby Vinson został wykopany, ale miał istotne powody, żeby szpiegować tego, kto miał istotne powody, żeby go wykopać, wiedział, że Vinson został odkopany gdzieś koło — mówiłeś, że było koło dziesiątej, kiedy obaj z Aleckiem Sanderem zaparkowaliście ciężarówkę, a tamtego wieczora zrobiło się wystarczająco ciemno do rozkopywania grobów koło siódmej, więc to wynosi trzy godziny — i właśnie to mam na myśli, że Crawford... — mówił wuj, a on zauważył tym razem, że wuj urwał nawet wcześniej, już oczekując tego, i to znów przyszło, ale znów bez żadnego dźwięku czy poruszenia, kapelusz na głowie panny Habersham tkwił akuramy i nieruchomy, ręce w rękawiczkach złożone były ze schludną precyzją, torebka leżała na kolanach, a stopy stały jak wrośnięte nieruchomo jedna przy drugiej, jakby wstawiła je w obrysowane, kredą miejsce na podłodze — ...że Crawford, kiedy tam siedział na czatach w tym zielsku za ogrodzeniem, zobaczył nie tylko zdradę szanta

żysty, ale całą czekającą go od nowa mękę i niepewność, nie mówiąc już o fizycznym wysiłku i — skoro jeden człowiek wiedział, że on nie może dopuścić, aby to ciało trafiło do rąk policji, istniała możliwość, że inni jeszcze o tym wiedzą czy to podejrzewają, więc to ciało i tak by musiał wydobyć z grobu, a- tu oto ten człowiek pomagał mu wiedząc o tym czy nie wiedząc, więc pewno Crawford zaczekał, aż Jake wy dostał ciało i zaczął je już ładować na muła (zresztą i do tego do. szliśmy, że to był roboczy muł Gowrie'ch, ten sam, na którym dziś rano przyjechały bliźniaki; późnym popołudniem w niedzielę Jake sam go pożyczył i ma pani rację, jeżeli się pani domyśla, ód którego z Gowrie'ch go pożyczył — od Crawforda), ale i wówczas w żadnym razie by nie zaryzykował wystrzału z pistoletu, a zresztą nie użyłby pistoletu, gdyby nawet mógł, i prędzej by zapłacił Jake'owi drugi raz całą tę cenę milczenia, żeby tylko móc użyć tego narzędzia, którego użył do roztrzaskania Jake'owi czaszki, a potem włożył go do trumny i z powrotem zasypał grób — i wtedy go to ogarnęło, ta rozpaczliwa śmiertelna konieczność pośpiechu, samotność, i śmienie poza wszelką ludzką społecznością, podczas gdy miał przeciwko sobie nie tylko zgrozę i potępienie, i wyrzeczenie się go przez wszystkich ludzi, ale i samą inercję ziemi i straszliwy, nieubłagany pęd mijającego czasu — a kiedy się już nawet uporał z całym tym wrogim sprzymierzeniem i grób już znów wyglądał przywoicie łącznie ze zdjętymi przedtem kwiatami, i dowód jego pierwszej zbrodni był sprzątnięty i niegroźny... — i to znów by nastąpiło, tylko że tym razem wuj nie przestał mówić —...mógł się wreszcie wyprostować i odetchnąć pełną piersią pierwszy raz od tamtej chwili, kiedy to Jake podszedł do niego naśladowując palcami liczenie pieniędzy, a wtedy nagle usłyszał to, po usłyszeniu czego rzucił się na oślep w górę zbocza, a zaraz potem schołgał się na brzuchu i po raz drugi przyłgął do ziemi spazmatycznie chwytając powietrze, tym razem nie tylko ze wściekłością i przerażeniem, ale niemal w osłupieniu i z niedowierzaniem, że jeden człowiek może mieć aż takiego pecha, i przyglądał się, jak wy troje nie tylko na nowo rujnujecie całą jego pracę, ale i podwajacie mu ją na przyszłość nie tylko odkrywając Jake'a Montgomery'ęg, ale zakopując z powrotem grób i nawet kładąc na miejsce te kwiaty — nie mógł sobie na to pozwolić, żeby w tym grobie znaleziono jego brata Yinsona, ale biada mu, gdyby dopuścił do tego, żeby znaleziono tam Jake'a Montgomery'ego, kiedy (o czym musiał już wtedy wiedzieć) rano przyjedzie tu Hope Hampton — tym razem wuj urwał czekając, żeby panna Habersham to powiedziała, a ona powiedziała:

— Cisnął swojego brata w kurzawkę.

— Ach — powiedział wuj na każdego może przyjść taka chwila, kiedy naprawdę nic innego nie pozostanie mu do zrobienia z bratem czy mężem, czy wujem, czy kuzynem, czy teściową — tylko się ich pozbyć. Ale nie ciska się ich w kurzawkę. Czy o to pani idzie?

—' Cisnął go w kurzawkę — powiedziała ze

spokojną i nieodwołalną ostatecznością, bez ruchu, bez najmniejszego drgnienia, poruszając tylko wargami, i to ledwie na tyle, żeby przemówić, a dopiero później podnosząc rękę, otwierając zegareczek przypięty na piersiach i patrząc, która godzina.

— Nie dojechali jeszcze do mostu White-leafa — powiedział wuj. — Niech się pani nie martwi, będziemy go tutaj mieli, może i wiadomość wysłana przeze mnie do niego dotarła, a już na pewno każdy człowiek w tym okręgu dowie się

O wszystkim, co kiedykolwiek powiedziano Wil*ly'emu Ingramowi w sekrecie, będzie tutaj mieli, bo on nic innego nie może zrobić, bo widzi pani, mordercy to hazardziści i jak amator-hazardzista, tak samo amator-morderca wierzy przede wszystkim nie w swoje szczęście, tylko w cuda, że jakiś cud już to załatwi, ale poza tym, przypuścimy, że on już wie, że i tak przepadł, i że cokolwiek Lucas może zeznać o Jake'u Montgomerym czy kimś innym, to już nic nie może mu zaszkodzić,

I że jego ostatnia, niepewna szansa to uciec z tego okręgu, albo też przypuścimy, że on wie nawet, że i to będzie na próżno, wie na pewno, że to już ostatnie chwile tego, co wciąż jeszcze może nazwać swoją wolnością, przypuścimy, że wie nawet na pewno, że już jutrzejsze słońce nie wzejdzie dla niego — co by pani chciała jeszcze przedtem zrobić, jaki by był pani ostatni czyn, testament pani nieśmiertelnych przekonań, zanimby się pani na dobre wyniosła ze swojej rodzimej ziemi, a może nawet z tego świata, gdyby się pani nazywała Gowrie i gdyby pani krew i wszystkie pani myśli, i wszystkie pani czyny przez całe życie były myślami i czynami, i krwią jednego z Gowrie'ch, jeśliby pani wiedziała czy choćby tylko przypuszczała, czy choćby tylko miała nadzieję, że w pewnym określonym momencie w samochodzie wlokącym się na pierwszym biegu o północy przez opuszczony wąwóz znajdzie pani przyczynę i powód całej swojej męki, zawiedzionych nadziei, wściekłości i żalu, i wstydu, i straty nie do naprawienia, i to nie będzie nawet biały człowiek, ale czarny, i gdyby pani jeszcze wciąż miała ten swój pistolet i przynajmniej jeden z tych starych autentycznych dziesięciu niemieckich naboí... Ale niech pani będzie spokojna — dodał prędko — niech pani będzie spokojna o pana Hamptona. On pewno nawet nie wyciągnie pistoletu, właściwie to nawet nie jestem pewny, Czy on ma jakiś pistolet, bo on już taki jest, że wnosi ze sobą we wszystkie sytuacje może nie pokój, może nie opanowanie pierwotnych instynktów, ale swoją obecnością przynajmniej na jakiś czas powściąga wszelką brutalność i gwałtowność, po prostu tylko poruszając się wolno i oddychając głęboko; dwie czy trzy kadencje temu w latach dwudziestych zdarzyło się, że jakaś dama z Sadyby Francuza — nie będę wymieniał nazwisk — pokłóciła się o (zdaje się) jakiś tort konkursowy na kościelną dobroczynną kolację z drugą damą, której mąż miał nielegalną gorzelnię zaopatrującą w whisky Sadybę Francuza od lat i nie sprawiającą nikomu najmniejszego kłopotu, póki ta pierwsza dama nie

zażądała oficjalnie od pana Hamptona, żeby tam jechał, zniszczył tę gorzelnię i aresztował tego, co pędzi tę whisky, a potem, za jakiś tydzień czy dziesięć dni, przyjechała sama do miasta i powiedziała panu Hamptonowi, że jak tego nie zrobi, to ona złoży na niego skargę do gubernatora stanu i do prezydenta w Waszyngtonie, i wtedy już Hope tam pojechał, a na miejsce zaprowadziły go nie tylko jej dokładne wskazówki, ale i ścieżka j miejscami wydeptana po kolana przez tych, co od lat nosili z tej gorzelni pełne po brzegi galonowe gąsiory whisky, tak że można było tą ścieżką iść nawet bez latarki, którą ze sobą zabrał, i rzeczy- . [wście znalazł tam gorzelnię, tak pięknie położoną, jak tylko można sobie wymarzyć, chytrze ukrytą i osłoniętą, a jednak i dostępną — ogień palił się pod kociołkiem i pilnował go jakiś Murzyn, który oczywiście nie wiedział, czyja to gorzelnia ani kto ją prowadzi, ani w ogóle nic o tej gorzelni, nawet zanim jeszcze spostrzegł wzrost Hamptona, a wreszcie i jego oznakę, i który, jak opowiadał Hampton, najpierw. zaproponował mu łycezek whisky, a potem przyniósł mu w czerpaku wodę ze strumienia i usadowił go wygodnie pod drzewem, podsycając nawet ogień, żeby sobie wysuszył przemoczone stopy, kiedy będzie czekał na powrót właściciela, i siedzieli sobie — jak opowiadał Hope — całkiem wygodnie przy tym ogniu w ciemności, gawędząc o tym i o owym, a Murzyn od czasu do czasu pytał go, czy mu nie przynieść J drugiego czerpaka wody, aż wreszcie — jak opowiadał Hampton — usłyszał taki wściekły wrzask

314

3H

szpaka przedrzeźniacza, że otworzył oczy i kiedy pomrukał nimi przez chwilę w świetle słońca, zanim mógł patrzeć, i kiedy wreszcie spojrział, zobaczył tego ptaka na gałęzi nie wyżej jak trzy stopy nad swoją głową i zobaczył, że zanim załadowali tę gorzelnię, żeby ją przenieść na inne miejsce, któryś z nich musiał przynieść z najbliższego domu kołdrę do przykrycia i poduszkę dla niego pod głowę, i Hope mówił, że na tej poduszce była nawet świeża powłoczka, co zauważył, kiedy przed powrotem do miasta zaniósł tę kołdrę i tę poduszkę do sklepu Varnera, żeby ją zwrócono z podziękowaniem temu komuś, do kogo należała. A kiedy indziej...

-7- Ja się nie martwię — powiedziała panna Habersham.

— No, bo nie ma czego — powiedział wuj. — Znam przecież Hope'a Hamptona...

— Tak — powiedziała panna Habersham. — Ja znam Lucasa Beauchamp.

— Och -r- powiedział wuj. I zaraz dodał: — Tak. — Po czym powiedział: —

Oczywiście. — A potem dodał: — Poprośmy Chicka, żeby włączył czajnik, to się napijemy kawy czekając; co pani na to?

— Bardzo mi będzie miło — powiedziała panna Habersham.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W końcu już wstał i podszedł do jednego z frontowych okien wychodzących na Rynek, bo 0 ile poniedziałek był dniem targów bydłowych, to sobota należała do radia i samochodów; w poniedziałek przyjeżdżającymi byli głównie mężczyźni, przyjeżdżali, parkowali swoje samochody osobowe i ciężarówki wokół Rynku, szli prosto do hal targowych i zostawali tam, aż czas już było wracać na Rynek, żeby zjeść obiad, a potem wracali do hal targowych i zostawali tam, aż czas już było wsiadać do samochodów osobowych i ciężarówek

I jechać do domu, zanim się zupełnie ściemni. Ale nie w sobotę, w sobotę przyjeżdżali mężczyźni i kobiety, i dzieci, i staruszkowie, i niemowlęta, i przyjeżdżały młode pary po zezwolenia na śluby mające się odbyć jutro w wiejskich kościołach, a inni po całotygodniowe zakupy podstawowych artykułów i przysmaków, takich jak banany i sardynki po dwadzieścia pięć centów puszka, herbatniki i ciastka, po ubrania i pończochy, i po paszę, i nawozy sztuczne, i kultywatory; kupno tych rzeczy nie zajmowało nikomu wiele czasu, a niektórym nie zajmowało go wcale, więc niektóre

samochody właściwie ani przez krótką chwilę nie były zaparkowane, a mniej więcej w ciągu godziny przyłączały się do nich i inne samochody i nie zatrzymując się jechały jedne za drugimi, jak w procesji, często nawet na drugim biegu, i ponieważ jechały tak ciasno jedne za drugimi, więc okręcały i okręcały Rynek, a potem jechały aż do końca ulicami jednorodzinnych domków między gęsto rosnącymi drzewami, zakrecały tam i wracały, i znów krążyły, i krążyły po Rynku, jakby tylko po to przyjechały aż z dalekich okolicznych osiedli i sklepików na skrzyżowaniach dróg, i samotnych farm, żeby nacieszyć się tym ludnym wjeżdżaniem i wyjeżdżaniem, nieustającym ruchem i rozpoznawaniem znajomych, zefirową gładkością asfaltowanych ulic i uliczek i żeby napatrzeć się tym schludnym, świeżo malowanym domkom z malusienkami, schludnymi podwóreczkami i grządkami kwiatów, i klombikami, domkom, które przez ostatnich parę lat wyrosły wzdłuż tych ulic tak gęsto jedne obok drugich, jak sardynki, w puszcze czy banany; więc radia musiały głośniej niż kiedy indziej grać przez rozkręcone na cały regulator głośniki, żeby je było słyszeć ponad pyrkaniem spalinowych wybuchów i wizgiem opon, i zgrzytem biegów, i nieustającym trąbieniem klaksonów samochodowych, tak że na długo przedtem, zanim się doszło do Rynku, nie tylko nie można było odróżnić, w którym miejscu jeden głośnik zaczyna, a drugi kończy, ale można nawet było nie próbować rozróżnić, co te radia grają czy reklamują.

Ale ta sobota była chyba ukoronowaniem wszystkich sobót, więc nawet i wuj wstał z za stołu i podszedł do drugiego okna, dlatego też tak się złożyło, że zobaczyli Lucasa, zanim Lucas wszedł do biura — chociaż to jeszcze było nie zara[^]; wciąż jeszcze tylko on (tak mu się zdawało) sam stał przy oknie i patrzył w dół na Rynek zapchany i zatłoczony tak, że nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem był taki zapchany i zatłoczony — jasne, słoneczne, niemal gorące powietrze ciężkie było od zapachu akacji kwitnącej na podwórzu sądowym, na chodnikach przesuwał się ciasno zbity, powolny, czarno-biały tłum ludzi przybyłych dziś do miasta jakby za wspólnym porozumieniem, żeby się zebrać w pojednaniu i w ten sposób pozbawić nie tylko wszelkiej wagi, ale i wykreślić z pamięci tamtą inną> sobotę sprzed zaledwie siedmiu dni, którą zrabował im jakiś stary Murzyn pakując się w sytuację taką, że oni musieli uwierzyć, że zamordował białego człowieka — tamtą sobotę i niedzielę, i poniedziałek zaledwie sprzed tygodnia, a jednak z powodzeniem mogące nigdy nie istnieć, skoro nic po nich nie pozostało: Vinson i jego brat Crawford (w grobie samobójcy — i obcy jeszcze przez całe tygodnie będą się pytać, cóż to za więzienie i za szeryfa ma Yoknapatawpha, jeśli człowiek zamknięty w tym więzieniu za morderstwo wciąż jeszcze może znaleźć pod ręką Luga, choćby z jedną jedyną kulką w magazynku, a przez te wszystkie tygodnie nikt w Yoknapatawpha nie potrafi na to odpowiedzieć) leżą już jeden obok drugiego w pobliżu kamiennego nagrobka swojej matki na cmentarzu w Caledonia, a Jake Montgomery gdzieś w okręgu Crossman, gdzie ktoś się zajął jego ciałem z tych samych powodów, dla których tutaj k[^]s zajął się ciałem Crawforda, panna Habersham siedzi u siebie w hallu*cerując skarpetki, zanim nadejdzie pora karmienia kurcząt, Aleck Sander w jaskrawej sobotniej koszuli i w szykownych spodniach wałęsa się tam w dole po Rynku i pogryza orzeszki czy banany, a on tu stoi w oknie i przygląda się temu niespiesznemu, nieprzypieszalnemu, gęstemu tłumowi i ruchliwym, niemal wszędobylskim błyskom i połyskom znaczka na czapce Willy'ego Ingruma, ale głównie i przede wszystkim przygląda się temu ruchowi i słucha tego hałasu, tych głośników i samochodów ~ muzycznych automatów w. drugistorze i w domu gry, i w kawiarni, i grzmiących głośników przytwierdzonych na zewnątrz na ścianach nie tylko składu płyt i nut, ale i domu towarowego, i obu składów z paszą, i słyszy, jak ktoś (jńkże radia mogą być zawodne), kto wszedł na ławkę na podwórku sądu, wygłasza ,całĄ przemowę przez inny głośnik z tubą wielkości lufy działa obleşni- czego przymocowaną do dachu samochodu, nie mówiąc już o radiach, które wydzierają się po mieszkaniach i domach prywatnych, gdzie gospodynie i służące pościeliły łóżka, zamiotły, a teraz zabierają się do gotowania obiadu; wszystko po to, żeby nigdzie w zasięgu najdalszych, ostatecznych granic miasta żadnemu mężczyźnie, żadnej kobie

cie czy dziecku, mieszkańcom tego miasta albo przybyszom, albo gościom nie groziła ani jedna sekunda ciszy; i patrzył na te samochody, bo, mówiąc ściśle, w ogóle nie widział samego Rynku, tylko gęstą, nieprzeniknioną masę samochodów mielącą się jak w diabelskim młynie, posuwającą się ślimaczym tempem dwoma strumieniami wokół Rynku w ostrej, nieuchwytej dla oka aurze kwasu węglowego i w ogłuszającym ryku klaksonów, i od czasu do czasu lekkim trzasku zderzaków, masę samochodów, z których te posuwające się w pierwszym strumieniu wymykały się jeden za drugim w ulice odchodzące od Rynku, a drugi szereg z przeciwnej strony sunął równie powoli w stronę Rynku i na Rynek, jadąc tak gęsto i pomalutką i zlewając się w jedną stłoczoną mozaikę ruchem tak nieskończenie powolnym, że ledwie zasługującym na nazwę ruchu, i chyba można by było przejść przez Rynek stąpając po nich — czy nawet można by na dobrą sprawę dojść z Rynku do granic miasta, a zresztą nawet dojechać konno, na przykład na Highboyu, dla którego pięcio- czy sześciostopowy skok z dachu jednego samochodu na drugi ponad znajdującą się między nimi maską innego wozu byłby niczym, albo gdyby tak te mniej więcej nieruchome dachy samochodów były pokryte jedną gładką, nieprzerwaną nawierzchnią desek niczym most i gdyby się jechało nie na Highboyu, ale na koniu rączym, na koniu, który by umiał galopować — jak pędząca burza siedem stóp nad ziemią, niczym ptak, i mknąć szybko jak

MMI

jastrząb czy orzeł — z takim uczuciem w żołądku, jakby mu w nim eksplodowała cała butelka wody sodowej, myślał o tym rycerskim, wspaniałym, rzeczywiście przepyszonym tętencie konia pędzącego w którymkolwiek kierunku po luźnych deskach tego mostu długiego dwie mile, kiedy nagle odezwał się od drugiego okna wuj:

— Amerykanin właściwie niczego nie kocha poza swoim samochodem: ani żony, ani dziecka, ani swojego kraju, ani, przede wszystkim, swojego konta w banku (właściwie to on nie kocha tego swojego bankowego konta ani w przybliżeniu tak bardzo, jak się podoba przypuszczać cudzoziemcom, ponieważ wyda każdą sumę i wyczerpie całe swoje konto na kupno jakiegokolwiek przedmiotu, jeśli tylko ten przedmiot będzie wystarczająco bezwartościowy), tylko swój samochód. Bo samochód stał się naszym narodowym symbolem płci. Właściwie nic nas nie bawi, jeśli nie możemy się tym podniecić. A z drugiej strony cała nasza tradycja, otoczenie i wychowanie zabrania nam robienia czegoś po kryjomu i ukradkiem. I tak musimy rozwodzić się z żoną dzisiaj, żeby zmazać z naszej kochanki złe imię kochanki, po to, żeby jutro rozwieść się z żoną, żeby zmazać z naszej kochanki... i tak dalej. W rezultacie Amerykanka stała się zimna i bezpłciowa; przedmiotem swojego libido musiała uczynić samochód, nie tylko dlatego, że jego blichtr i wymyślność, i szybkość dogadzają jej próżności i niedołężności (a to z powodu ubrania, jakie narzuciło jej krajowe stowa

rzyszenie kupców) w poruszaniu się pieszo, ale i dlatego, że z samochodu nie wyjdzie wymiętoszo- na i rozczochrana, spocona i nieświeża. Więc aby jeszcze w ogóle móc zdobyć chociaż- cząstkę jej uwagi i w czymkolwiek zyskać nad nią władzę, Amerykanin musi zdobyć ten samochód. I dlatego może sobie mieszkać w podnajetej mysiej dziurze, ale musi i będzie posiadał samochód i nie tylko będzie go posiadał, ale będzie posiadał co rok świeży, nowy, niepokalanie dziewiczy i nikomu go nie pożyczy, nie pozwoli, aby jakakolwiek inna ręka poznała kiedy najwyższą, czystą, zawsze kuszącą, zawsze tajemniczą poufałość jego pedałów i dźwigni, choćby sam nie miał dokąd w nim jechać, a nawet mając dokąd, nigdy by nigdzie nie pojechał, gdyby ta jazda miała samochód zbeczcześcić, skazić i obdrapać, zostaje więc w domu i spędza cały niedzielny- ranek na myciu go, pastowaniu, polerowaniu, ponieważ myjąc go, pastując i polerując pieści ciało kobiety od dawna już odmawiającej mu prawa do swojego łóżka.

— To nieprawda — powiedział.

— Mam ponad pięćdziesiąt lat — powiedział wuj. — Piętnaście lat swojego męskiego wieku zajęty byłem spódniczkami. Przekonałem się, że rzadko którą pociąga miłość albo płeć. One chcą wyjść za męża.

— A jednak w to nie wierzę — powiedział.

— To dobrze — powiedział wuj. — Nie wierz. I nawet jak będziesz miał więcej niż pięćdziesiąt lat, nie wierz w to.

I to właśnie wtedy, chyba w tej samej chwili,

322

zobaczyli Lucasa przechodzącego przez Rynek — zobaczyli jego kapelusz włożony na bakier i wąski ostry błysk złotej wykałaczki, a on powiedział:

— Jak myślisz, gdzie on ją trzymał przez ten czas? Wcale jej nie widziałem. Na pewno miał ją przy sobie wtedy po południu, w sobotę, bo nie tylko był w tym czarnym garniturze, ale i pistolet wziął ze sobą, prawda? Pewno nigdy mu się nie zdarzyło wyjść z domu bez tej wykałaczki.

-r— To ja ci o tym nie mówiłem? — zapytał wuj. — Kiedy tylko pan Hampton wszedł do domu Skipwortha, gdzie Skipworth przykuł Lucasa, kajdankami do łóżka, Lucas zaraz dał panu Hamptonowi wykałaczkę i poprosił, żeby pan Hampton ją przechował, dopóki on jej nie odbierze.

— Och — powiedział. — On idzie tutaj.

'— Tak — powiedział wuj. — Idzie się z nas natrząsać — i dodał szybko: — Och, on jest dżentelmenem, nie powie mi w oczy, że się myliłem, zapyta mnie tylko, ile jest mi winien jako adwokatowi.

A potem on usiadł na swoim krześle obok zbiornika z wodą do picia, a wuj znów tak jak przedtem usiadł za swoim stołem i usłyszeli przeciągle zeszcłłe dudnienie i skrzypienie schodów, i Lucasa kroki równe, chociaż niespieszne, i Lucas wszedł;— bez krawata i, chociaż w koszuli tkwił ten guzik, tym razem nawet bez kołnierzyka, ale pod swoją czarną marynarką w staroświeckiej białej kamizelce, która była nie tyle brudna, co wyplamiona, a na kamizelce zwisiała mu pętłą wytarta złota dewizka — była to ta sama twarz,

323

którą zobaczył po raz pierwszy, kiedy ociekając wodą gramolił się z lodowatego strumienia owego ranka cztery lata temu, twarz nic a nic nie zmieniona, dla której nic a nic się nie wydarzyło, skoro nawet starość nie była dla niej wydarzeniem — Lucas wszedł, włożył wykałaczkę do jednej z górnych kieszonek kamizelki i powiedział nie zwracając się ani specjalnie do niego, ani specjalnie do wuja:

— Panowie — po czym zwrócił się do niego: - Młody człowieku...; — zwracając się uprzejmie i z wyżyn swojej niedostępności z czymś więcej niż uprzedzająca grzeczność, niemal z pogodną, bezpośrednią wesołością, mówiąc, podczas gdy zdejmował zawadiacko zbakierowany kapelusz: — ...chyba ostatnio nie wpadałeś do żadnych strumieni, co?

— Nie wpadałem Hf odpowiedział. — Czekam, aż będziecie znów mieli lód na waszym strumieniu.

— Będę ci rad, jeszcze przed zamrożeniem:— powiedział Lucas.

Siadaj, Lucas -^powiedział wuj, ale on już sam zabierał się do siadania zajmując to samo twarde krzesło przy drzwiach, na którym nikt inny prócz panny Habersham nigdy nie siadał, i usiadł trochę bokiem, jakby pozował przed kamerą, układając sobie kapelusz na przedramieniu denkiem do spodu, wciąż patrząc na nich obu i znów powtarzając:

— Panowie.

— Nie przyszedłeś tutaj po to, żebym ci powiedział, co masz robić, ale ja i tak powiem —' powiedział wuj.

Lucas prędko mrugnął. Patrzył na wuja.

— Nie powiem, żebym po to przyszedł — powiedział. Po czym dodał zachęcająco: — Ale zawsze z chęcią posłucham dobrej rady.

— To idź odwiedzić pannę Habersham — zaproponował wuj.

Lucas popatrzył na wuja. Teraz mrugnął dwa razy.

— Ja tam się nie bardzo nadaję do odwiedzania — powiedział.

— I do tego, żeby wisieć, też się nie bardzo nadawałeś — powiedział wuj. t— A chyba nie potrzebuję ci przypominać, jak mało brakowało, żebyś wisiał.

— Nó, tak — powiedział Lucas — zdaje mi się, że pań nie potrzebuje. I co pan chce, żebym jej powiedział?

— Nic nie potrafisz jej powiedzieć — powiedział wuj. — Ty nie potrafisz powiedzieć: "dziękuję". I o tym już też pomyślałem. Zanieś jej kwiaty.

— Kwiaty?—powtórzył Lucas. — Jakie ja tam mam kwiaty, odkąd Molly umarła.

• — Aha, jeszcze to — powiedział wuj. — Zadzwoń do domu. Moja siostra przygotowuje bukiet. Chick zawiezie cię moim samochodem, weźmiesz ten bukiet, a potem Chick cię podwiezie pod bramę panny Habersham.

■SHHHs

_J — Niech pan sobie tym nie zawraca głowy — powiedział Lucas. — Jak już będę miał te kwiaty, to mogę iść na piechotę.

— I możesz tak samo cisnąć gdzieś te kwiaty — powiedział wuj. — Ale już ja wiem, że nie pójdziesz tam na piechotę, i myślę, że nie ciśniesz tych kwiatów, jak będziesz siedział w samochodzie z Chickiem.

— No — powiedział Lucas — jak tylko to pana zadowoli... — [A kiedy wrócił, do miasta i na koniec trzy przecznice dalej znalazł miejsce do zaparkowania samochodu, i kiedy wrócił na górę po schodach, wuj pocierał właśnie zapałkę, po czym podniósł ją do fajki i poprzez dym, z dymem i w dym powiedział:

— Ty i Booker T. Washington *, nie* to nie tak, ty i panna Habersham, i Aleck Sander, i szeryf Hampton, i Booker T.« Washington, bo on zrobił tylko to, czego wszyscy po nim oczekiwali, więc nie było żadnego istotnego powodu,, dla którego miałby to robić, kiedy wy wszyscy zrobiliście nie tylko to, czego nikt po was nie oczekiwał, ale

0 czym gdyby na. czas wiedziały, całe Jefferson

1 Yoknapatawpha powstałyby przeciwko wam w jednej chwili i jednomyślnie, żeby do tego nie dopuścić, i nawet od dziś za rok niektórzy was będą wspominać (o ile w ogóle będą wspominać) z potępieniem i niesmakiem nie jako upiory rabujące groby i żerujące na trupach i nie jako tych, co sprzeniewierzyli się swojej białej skórze, ponieważ i jedno, i drugie z osobna dałoby Się wybaczyć, ale jako tych, którzy zbezczęścili grób białego człowieka, aby ratować życie czarnego, a więc mieliście wszelkie istotne powody, dla których musieliście to zrobić. Więc tylko nie ustawaj — a on powiedział:

— Chyba nie myślisz, że tylko dlatego, że znów jest sobota po południu, ktoś się zaczął za krzakiem jaśminu u panny Habersham z wycelowanym w nią pistoletem i zaczeka tylko, żeby Lucas wszedł na schodki qd frontu. Zresztą Lucas dziś nie wziął pistoletu, a prócz tego ten Crawford Gowrie... — a wuj powiedział: .

— Dlaczegoż by nie? To, co tam leży w ziemi przy kościele w Caledonia, w zesłą sobotę tylko przez sekundę czy dwie było Crawfordem Gowrie, a Lucas ze swoim kolorem skóry znajdzie się jeszcze w dziesięciu tysiącach sytuacji, których człowiek mądrzejszy by uniknął i z których człowiek jaśniejszy by się wykręcił dziesięć tysięcy razy po tym, jak to, co było Lucasem Beauchamp przez sekundę czy dwie w zesłą sobotę, też zostało w ziemi przy tym jegó kościele w Caledonia, bo ten ofaręg Yoknapatawpha, który powstrzymałby w zesłą sobotę tieljie i Alecka San- dera, i pannę Habersham, ten okręg Yoknapatawpha naprawdę mają rację i życie Lucasa, to, że oddycha, je i śpi, jest bez znaczenia, tak samo jak są bez znaczenia twoje życie i moje, z wyjątkiem niezaprzeczonego prawa do życia w spokoju i bezpieczeństwie, i prawdę mówiąc, sama ta ziemia byłaby bardziej bezpieczna i sjjokojna,

gdyby zawierała* w sobie o wielu, wielu mniej Beauchampów i Stevensów, i Mallisonów wszystkich kolorów skóry, jeśli by znalazł się jakiś bez- bolesny sposób wymazania nie trupów zawadzających i pochłaniających miejsce, bo na to sposób by się znalazł, ale wymazania pamięci, na co nie ma sposobu, owej niepokonalnej, nieśmiertelnej pamięci; świadomości, że oni kiedyś byli żywi, pamięci, która trwa bez końca jeszcze dziesięć tysięcy lat potem w dziesięciu tysiącach wspomnień o niesprawiedliwości i cierpieniu, i jest nas zbyt wielu nie ze względu na miejsce, jakie zajmujemy, ale dlatego, że jesteśmy gotowi sprzedać 'wolność tanio, za byle cenę, aby tylko nie stracić tego, co nazywamy naszą własnością — zagwarantowaną konstytucją i ustawami swobodę dążenia przez każdego i spełniania przez każdego jego prywatnego postulatów szczęścia i zaspokojenia bez względu na nieszczęście innych i ofiary, gdybyśmy nawet musieli po drodze ukrzyżować tego, którego kształt nosa czy kolor skóry nam nie odpowiada, a nawet i z tym można by sobie dać radę, jeśli tylko ta garstka innych, która wierzy, że życie ludzkie jest cenne z tej prostej przyczyny, że człowiek ma prawo oddychać niezależnie od swojego pigmentu i kształtu nosa, którym wciąga powietrze, jeśli tylko ta garstka gotowa jest bronić owego prawa za każdą cenę, a nie potrzeba do tego wielu, w zesłą niedzielę w nocy wystarczyło troje, nawet jeden .człowiek może wystarczyć, i jeśli dosyć będzie tych pojedynczych ludzi gotowych na coś więcej niż tylko żal i wstyd, Lucas nie będzie już musiał narażać się na to, że ktoś nieproszony uratuje mu życie — a on powiedział:

— Tamtej nocy to chyba nie było nawet trojga. Już prędzej jedna osoba i dwa razy po pół — a wuj powiedział:

— Powiedziałem ci, że człowiek ma prawo być dumny. Ma prawo się nawet chełpić. Ale tylko nie ustawaj.] Lucas podszedł do stołu, położył na nim swój kapelusz, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki skórzaną zamykaną na zatrzask sakiewkę pokrytą patyną niczym stare srebro i prawic taką dużą jak torebka panny Habersham i powiedział:

— Zdaje mi się, że ma pan dla mnie mały rachunek.

— Za co? — spytał wuj.

— Za to, że pan prowadził moją sprawę — powiedział Lucas. — I To niech pan powie, ile się panu należy w jakichś godziwych granicach. Chcę panu zapłacić.

— Nie mnie płąć — powiedział wuj, — Ja nic nie zrobiłem.

— Ja po pana posłałem — powiedział Lucas. — I pana Upoważniłem. Ile się panu należy?

— Nic — powiedział wuj — bo ja ci nie uwierzyłem. Temu tutaj chłopakowi zawdzięczasz, że dzisiaj chodzisz po świecie.

Więc Lucas teraz zwrócił się do niego, w jednej ręce trzymając sakiewkę, a drugą rękę podnosząc, żeby tę sakiewkę otworzyć z zatrzasku — zwrócił

Jdo niego twarz, w której nie tyle nie było żadnej zmiany, ale która po prostu die zechciała się z tym pogodzić, że coś się zmieniło; otworzył już sakiewkę.

" — Dobrze. To jemu zapłacę.

— A ja każe aresztować was obu —¹ powiedział wuj. — Ciebie za przekupywanie nieletniego, a jego za udzielanie porad prawnych bez licencji-

Lucas odwrócił się do wuja; widział, jak Lucas i wuj patrzają na siebie. A potem znów Lucas dwa razy mrugnął.

— Dobrze — powiedział Lucas. — To ja zwrócę panu koszty. Niech pan powie, jakie pan miał koszty, w godziwych granicach, i załatwmy już to.

— Koszty? — powtórzył wuj. — No tak, miałem jeden wydatek; kiedy tu siedziałem w zeszyły wtorek i próbowałem wszystkie te sprzeczne historie, które mi na koniec opowiedziałeś, spisać w takim porządku, żeby pan Hampton mógł na tyle dojść z tym do ładu, żeby ciebie zwolnić z więzienia, czym się więcej starałem, tym bardziej mi się to gmatwało, a czym bardziej mi się to gmatwało, tym bardziej byłem wściekły, tak że kiedy się wreszcie uspokoiłem, moje pióro sterczało wbite stalówką w podłogę jak strzała. Oczywiście papier jest urzędowy, ale wieczne pióro było moje i koszty wyniosły dwa dolary, kiedy musiałem założyć do tego pióra nową stalówkę. Jesteś mi winien dwa dolary.

— Dwa dolary? ■— powtórzył Luca⁶. Znów mrugnął dwa razy. A potem znów mrugnął dwa

KRHmSHSHaB

razy. -r—Tylko dwa dolary? — Teraz mrugnął tylko raz, a potem coś zrobił ze swoim oddechem: to nie było westchnienie, po prostu uwolnił swój oddech i włożył dwa palce, kciuk i wskazujący, do sakiewki. — To mi nie wygląda na dużo, ale przecież ja jestem farmer, a pan jesteś prawnik, i czy pan pilnuje swojego interesu dobrze, czy źle, to nie moje zmartwienie.

I wyciągnął z sakiewki zniszczony banknot zwinięty w kulkę, nie większą od zeszcłej oliwki, rozwinął tę kulkę na tyle, żeby móc zobaczyć, co to za banknot, a potem rozprostował ten banknot i położył na stole, a z sakiewki wydobył pół dolara i też położył na stole, po czym wyliczył cztery dziesięciocentówki i dwie pięciocentówki wyjmując je po jednej, z sakiewki i kładąc na stół, a potem przeliczył pieniądze jeszcze raz, przesuwając o jakieś pół cala wskazującym palcem, przy czym wargi mu się poruszały pod wąsem i w drugiej ręce trzymał wciąż otwartą sakiewkę, potem zabrał dwie dziesięciocentówki i jedną pięciocentówkę, włożył je do ręki trzymającej otwartą sakiewkę, a z sakiewki wydobył dwudziestopięciocentówkę, położył ją na stole, przez sekundę popatrzył na te monety i położył dwie dziesięciocentówki i pięciocentówkę z powrotem na stół, a pół dolara schował do sakiewki.

— Tu nie ma więcej jak siedemdziesiąt pięć centów — powiedział wuj.

— Niech się pan nic nie martwi — powiedział Lucas, wziął dwudziestopięciocentówkę, wrzucił ją z powrotem do sakiewki i zatrzasnął sakiewkę,

ale on patrzył na Lucasa i spostrzegł, że ta sakiewka ma co najmniej dwie oddzielne prze-
grody, a może i więcej, i zobaczył, jak druga przegroda, mogąca pomieścić rękę niemal do
samego łokcia, otwiera się pod palcami Lucasa, a Lucas stoi przez jakiś czas zacierając w
głęb tej przegrody, jakby spozierał w dół na swoje odbicie w studni, a potem wydobywa z tej
przegrody zasupłany i brudny sukienny woreczek na tytoń, wyrzuszony i sprawiający
wrażenie czegoś solidnego, i ten woreczek uderza o powierzchnię stołu ze stłumionym suto
brzęczącym chrzęstem.

t- To teraz jest równo — powiedział Lucas. — Pół dolara centami. Planowałem te centy
zanieść do banku, ale teraz to pan mi zaoszczędzi drogi. Chce pan przeliczyć?

— Tak — powiedział wuj. — Ale to ty płacisz. To ty je masz policzyć.

— Tu jest pięćdziesiąt centów — powiedział Lucas.

— Interes jest interesem — powiedział wuj.

Więc Lucas rozsypał woreczek, wytrząsnął te
centy na stół i policzył je, jeden po drugim, przesuając każdy wskazującym palcem do tej
pierwszej gromadki dziesięciocentówek i pięciocentó-
wek, a liczył na głos, po czym
zatrzasnął sakiewkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, a drugą ręką popchnął
wszystkie te monety i zgnieciony banknot przez stół, dopóki nic zatrzymały się o bibułę, po
czym wyjął z bocznej kieszeni marynarki kolorową chustkę do nosa, wytarł sobie ręce,
schował chustkę z powrotem

i stał ji/ż znów niezależny i spokojny i nie patrzył ani na niego, ani na wuja stojąc w tym
nieustającym wrzasku głośników radiowych i przeszywającym uszy wyciu samochodowych
klaksonów, i całym w ogóle zgiełku soboty tego okręgu, zgiełku unoszącym się nad
pogodnym popołudniem,

— A czego chcesz teraz? — zapytał wuj. — Na co teraz czekasz?

— Na kwit — powiedział Lucas.